ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ DLA „DO RZECZY”:

Czy Ukraina może stać się groźna dla Polski?



Prezydent Nawrocki zbuduje własną siłę polityczną? – zastanawia się Ziemkiewicz



WYJŚCIE Z CIENIA – ZASKAKUJĄCA KARIERA MAI CHWALIŃSKIEJ

Jak Izrael metodycznie roznieca trzecią wojnę światową

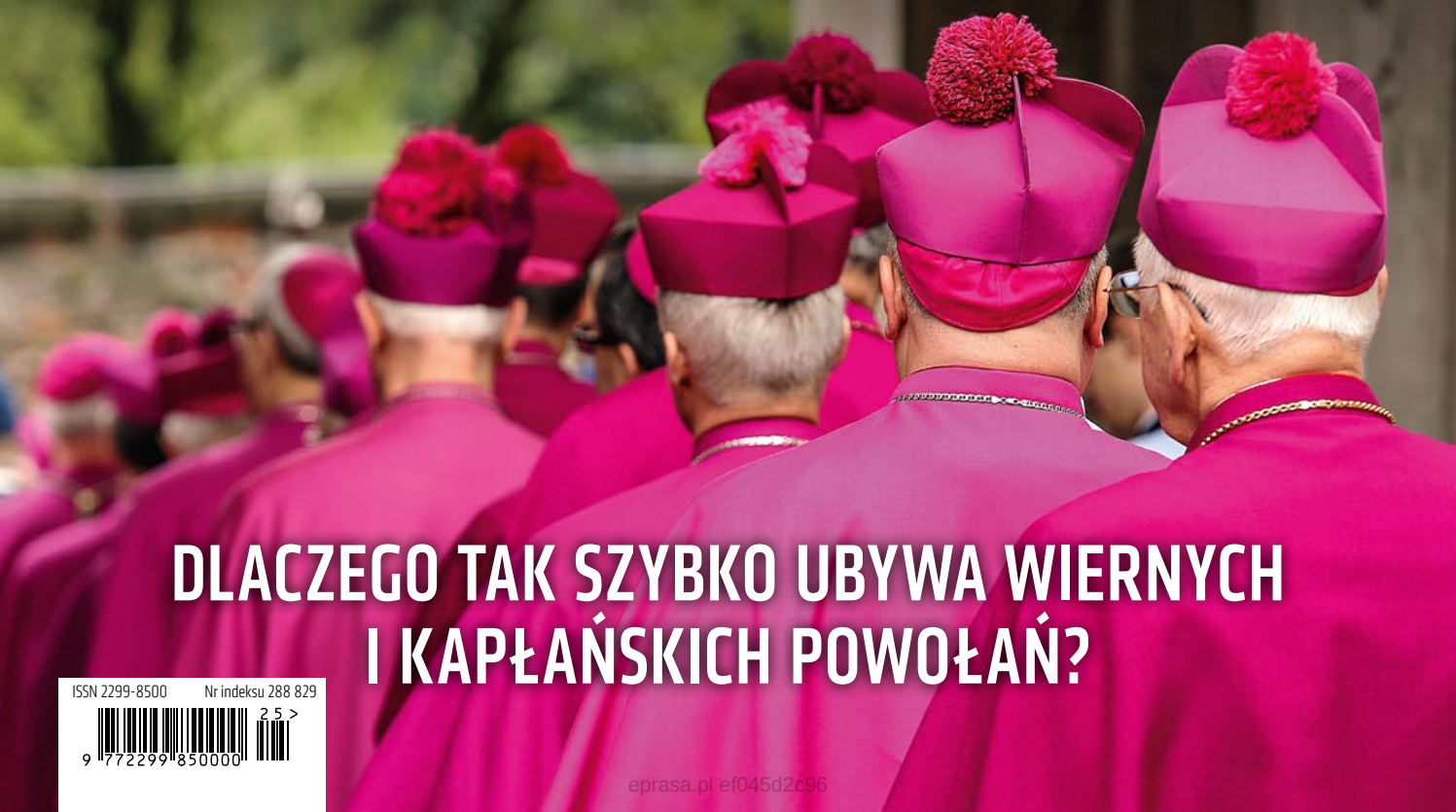
TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 25/685 15–21 CZERWCA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zapaść Kościoła w Polsce



DLACZEGO TAK SZYBKO UBYWA WIERNYCH I KAPŁAŃSKICH POWOŁAŃ?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl ef045d2c96

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



HOŁD PRUSKI – NAJWIĘKSZY BŁĄD POLSKI?

Droga do hołdu – Prymas Jan Łaski przekonywał polskiego króla, że państwo krzyżackie musi zniknąć. Dlaczego Zygmunt I Stary postanowił zawrzeć kompromis i oszczędzić Krzyżaków?

„Cud" nad Nogatem – Bitwa pod Grunwaldem słusznie uchodzi za jeden z największych triumfów polskiego oręża. Jednocześnie jest to wręcz sztandarowy przykład zmarnowania znakomitej koniunktury politycznej

Sowieckie „strefy 51" – W czasach ZSRS w tzw. miastach zamkniętych testowano i produkowano najnowsze rodzaje broni, m.in. biologicznej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wiele tych miast pojawiło się na mapach, ale ich mieszkańcy wciąż żyją pod kontrolą specsłużb

W łagrach, Auschwitz i leprozorium – Polscy kandydaci na błogosławionych bronili wiary, świadczyli o niej, żyli, myśląc o Bogu, a także o ludziach – nie tylko chrześcijanach

Dramat skradzionych dzieci Reunionu – To jeden z najbardziej haniebnych epizodów w dziejach Francji. I jeden z najbardziej zapomnianych

Nazistowski „męczennik" – NSDAP uczyniła z tego mordu bardzo przydatny mit; Horst Wessel stał się kimś w rodzaju nazistowskiego „męczennika". Ludzie, którzy brali udział w tym mordzie, szybko zostali okrutnie ukarani

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ef045d2c96

Izraelowi wojna niestraszna



PAWEŁ LISICKI

Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma – to powiedzonko znakomicie opisuje sytuację na Bliskim Wschodzie. Mimo ciągłych opowieści Donalda Trumpa, że już za momencik, już za chwileczkę zostanie zawarte porozumienie USA z Iranem, wojna raz po raz rozpala się w najlepsze. Gniewne pohukiwania prezydenta USA tego nie zmienią. Nic nie dają groźby, wybuchy wściekłości, mniej lub bardziej buńczuczne deklaracje. Jest ich zresztą tak wiele i są tak zmienne, że nie tworzą sensownej całości. W środę Donald Trump ogłosił, że „Tyran Bliskiego Wschodu jest martwy". Nie bardzo wiadomo, na czym owa „martwość" polega, skoro Iran zdołał uderzyć w amerykańskie ośrodki, a wcześniej zniszczyć śmigłowiec Apache. Dodatkowo swoje oświadczenie prezydent USA okrasił opowieścią o tym, że Teheran zbyt długo negocjował w sprawie umowy kończącej wojnę, która „byłaby dla niego świetna".

Nie wiem już czasem, śmiać się czy płakać. Z jednej strony seria tych osobliwych aktywności amerykańskiego polityka staje się coraz bardziej groteskowa, z drugiej jednak trudno się bawić, gdy giną ludzie, a konflikt lada moment może przejść z fazy zamrożenia do fazy gorącej. Najbardziej szokujące jest to, że nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni ani nadmiernej przenikliwości, żeby przewidzieć, że pierwotna decyzja o ataku na Iran była dramatycznym błędem.

Ameryka została wykorzystana przez swojego najbliższego sojusznika, Izrael, do realizacji celów sprzecznych z amerykańskim interesem narodowym. Już po kilkunastu godzinach było wiadomo, że wspólna izraelsko-amerykańska napaść na państwo Persów musi się skończyć źle. Przypominam to, bo wówczas zdecydowana większość polskich ekspertów, i to przede wszystkim tych związanych z prawicą, bujała w obłokach i opowiadała, że Amerykanie pokazali siłę i że Polska powinna się cieszyć, iż ma takiego potężnego sojusznika. Znawcy ci opowiadali niesłychane historie o tym, że działanie USA to wyprzedzające uderzenie w Chiny, że Waszyngton wszystko doskonale rozplanował i przygotował. Ba, zdarzali się i tacy, którzy głosili, że w całej awanturze wątek izraelski jest marginalny. O święta naiwności!

Prawda jest banalnie prosta. Zniszczenie Iranu było od lat stałym celem Beniamina Netanjahu. Próbował osiągnąć go wcześniej przy pomocy innych prezydentów USA, nieskutecznie. Nawet skądinąd mający dość utrudniony kontakt z rzeczywistością Joe Biden nie dał się nabrać. Wszyscy wiedzieli, że pakowanie się w wojnę z Iranem – państwem o powierzchni pięć razy większej niż Polska i ludności niemal 100-milionowej, państwem, które od lat przygotowywało się do starcia i dysponuje świetnie wyszkoloną i zaangażowaną kadrą przywódczą – jest czymś na granicy szaleństwa. Wiadomo było z góry, że odpowiedzią Iranu będzie zamknięcie cieśniny Ormuz oraz uruchomienie swoich sojuszników w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Tak samo, jak było wiadomo, że w Iranie nie ma nastrojów rewolucyjnych i zewnętrzny atak jedynie skonsoliduje władzę. Ta powszechna wiedza nie dotarła do prezydenta USA, który to dzięki swemu najbliższemu partnerowi, premierowi Netanjahu, wiedział lepiej i zaatakował.

Teraz mleko się rozlało. Z tej pułapki Stany Zjednoczone nie wiedzą, jak wyjść. Teoretycznie powinny przyznać się (wewnętrznie) do porażki i z uśmiechem na twarzy (na zewnątrz) wycofać. Jak to jednak zrobić, skoro żaden z celów, jakie sobie Amerykanie postawili, nie został zrealizowany? Być może Donaldowi Trumpowi udałoby się nawet sprzedać porażkę jako zwycięstwo Amerykanom, ale swoich izraelskich sojuszników nie oszuka. A Izrael wcale nie zamierza Trumpowi ułatwiać sytuacji. Nie po to premier Netanjahu tak się natrudził, by do wojny z Iranem doszło, by teraz się z niej wycofywać. Dlatego za każdym razem, gdy Trump wspomina o „wspaniałych osiągnięciach w negocjacjach", Izrael uderza w południowy Liban i w znajdujący się tam Hezbollah, co siłą rzeczy musi uruchomić odwet ze strony Teheranu. I tak się wszystko kotłuje.

Co z tego wszystkiego wynika dla Polski? Nasz główny sojusznik zachowuje się nierozumnie i coraz bardziej ryzykownie. Gorzej. Nasz główny sojusznik stał się w coraz większym stopniu zakładnikiem Izraela, a na pewno tych sił i środowisk w Izraelu, którym żadna wojna niestraszna. Są to ludzie na wskroś przesiąknięci ideologią podboju. Wielu z nich nie tylko wierzy w rozszerzenie potęgi politycznej swojego państwa (koncepcja budowy Wielkiego Izraela), lecz także ma nadzieję na realizację planów co się zowie eschatologicznych, z odbudową Trzeciej Świątyni w Jerozolimie na czele. Przy okazji muszą jeszcze wyeliminować (zabić lub wygnać) wszystkich nie-Żydów. To zaś oznacza nieustanną wojnę – nie tylko z Iranem, lecz także z Turcją czy Egiptem – bo bez niej zamiar nie będzie mógł zostać zrealizowany. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z KS. PROF. ANDRZEJEM KOBYLIŃSKIM
KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO SPOKOJU
Dokąd prowadzą nas biskupi?

19 WOJCIECH GOLONKA
ZAPAŚĆ KOŚCIOŁA W POLSCE



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZY PREZYDENT NAWROCKI ZBUDUJE WŁASNĄ SIŁĘ POLITYCZNĄ?
Prawdziwy lider prawicy

25 ŁUKASZ WARZECHA
DOBRA SZTUKA SAMA SIĘ NIE OBRONI

28 FILIP MEMCHES
PIĘKNODUCHY KONTRA OBSESJONACI. IZRAEL DZIELI POLSKĄ LEWICĘ

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
BURZA O BIAŁO-CZERWONY PASEK

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
ARTYSTYCZNY KICZ PAWLIKOWSKIEGO
Człowiek bez ojczyzny

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
CO NAS WZRUSZA

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 MICHAŁ KRUPA
NETANJAHU W PUŁAPCE
Jak Izrael metodycznie roznieca trzecią wojnę światową

43 MARCIN SKALSKI
PORZUCIĆ ZACHÓD, URATOWAĆ POLSKOŚĆ

46 JAN FIEDORCZUK
CO SIĘ STAŁO Z POGROMCAMI „RUSKICH ONUC”?

48 JACEK PAŁKIEWICZ
PAMIĘĆ, KTÓREJ NIE WOLNO ZDRADZIĆ

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
LEON XIV WOBEC ZGNILIZNY W EUROPIE

HISTORIA

52 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PANNA „S” W OKU KAMERY
Filmy o Solidarności

ŚWIAT

56 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM PARAFIANOWICZEM
CZY UKRAINA MOŻE STAĆ SIĘ GROŹNA DLA POLSKI?
Zełenski buduje obraz wroga w postaci Polski

59 WITOLD REPETOWICZ
PORAŻKA ROSJI W ARMENII

62 PIOTR SEMKA
PANI PREFEKT Z WATYKANU

EKONOMIA

64 JACEK PRZYBYLSKI
BUŁGARSKA LEKCJA
Poważne kłopoty nowego członka strefy euro

68 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SADOWSKIM
CORAZ MNIEJ WOLNOŚCI GOSPODARCZEJ W POLSCE

SPORT



72 RADOSŁAW WOJTAS
WYJŚCIE Z CIENIA
Zaskakująca kariera Mai Chwalińskiej

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
REWIA NA KORCIE
Moda w sporcie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (54), PRZYBYLSKI (55), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ef045d2c96

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **D. Klamka/East News, M. Cholewiński/Zuma Press/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Reset z Rosją? Po co?", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 21/2026

Chciałbym się ustosunkować do stwierdzenia Pana Ziemkiewicza z polemiki z Marcinem Skalskim („Reset z Rosją? Po co?") z nr. 21/2026. Cytuję: „Nie rozumiem, jak ważne jest dla Rosjan panowanie na Ukrainie". Ukraina przed wojną z Rosją była dobrze uprzemysłowionym krajem, z ludnością ok. 45 mln mieszkańców, bez powszechnej niechęci do Rosji – wygranie przez Janukowycza wyborów prezydenckich o tym świadczy. Współpracującą z Rosją w wielu dziedzinach.

Przed agresją Federacja jasno zdefiniowała swoje cele: neutralność, czyli brak obcych baz zgodnie z duchem ukraińskiej konstytucji z 1996 r., oraz denazyfikacja (w rosyjskim rozumieniu oznaczała neutralizację struktur paramilitarnych, które od 2015 r. były używane przeciwko ludności Donbasu).

W jakim stopniu przyjęcie tych warunków było nie do przyjęcia przez Ukrainę? W kwietniu 2022 r. leżała na stole w Stambule umowa dwóch stron o zaprzestaniu wojny. Premier Wielkiej Brytanii, a może jeszcze inni, przekonali Zełenskiego do zerwania porozumienia. W tym momencie Ukraina przestała być normalnym państwem. Stała się narzędziem w obcych rękach, nie do końca określonych. Skutki po czterech latach: ubytek ludności ok. 15 mln, śmierć i kalectwo tysięcy żołnierzy, delegalizacja partii politycznych, prześladowanie Kościoła prawosławnego, cenzura, nachalna propaganda banderyzmu, życie za obce pieniądze, darmowa broń.

Symbolem barbarzyństwa obecnej ekipy jest wyrzucanie z bibliotek rosyjskiej światowej literatury. Czy ta sytuacja nie jest ważna i groźna dla wszystkich sąsiadów tego państwa?

Z poważaniem
Tomasz Jankowski

Dziecko zamiast psiecka

Chciałam podzielić się kilkoma myślami, które nasunęły mi się po doświadczeniach osobistych i lekturze świetnych tekstów Pani Joanny Bojańczyk pt. „Inwazja staruszek" oraz Pana Dariusza Wieromiejczyka „Wstyd całować się z psem" („DRz" nr 21/2026).

Poruszam pomijany, a istotny aspekt przeciwko tzn. planowanej bezdzietności. Pytania, od których nie uciekniemy nawet w strefach bezrefleksyjnego komfortu i w egzotycznych krajach podczas urlopu. Pytania, które we współczesnym zabieganym świecie schodzą na odległy margines myślenia, uwikłanego w pośpiech, potencjalnego kandydata na rodzica.

To pytania o ciąg dalszy egzystencji. Jaka będzie Twoja starość? Komu przekażesz to wszystko, o co z takim trudem zabiegasz? A może zaznasz smaku niedołężności? A gdy zbliżać się będzie już śmierć, kto będzie Ci towarzyszył? Kto się Tobą zajmie? Inaczej – czy Twoje psiecko podoła?

Tak się zdarzyło, że zaznałam „oddechu" śmierci w momencie wiosennego odrodzenia życia. Wszyscy moi najbliżsi odeszli w maju. Mam przed oczami i nigdy nie zapomnę, jak dorosły syn reanimuje masażem serca gasnące serce ojca. Rozpacz wnuków w obliczu śmierci dziadka. W maju się nie umiera...?

Twoje dzieci są arcyważne w sztafecie pokoleń, muszą zmierzyć się ze śmiercią ukochanych dziadków, potem rodziców. Wydarza się to raz. Nie da się tego nigdzie nauczyć, w żadnej szkole, nawet prywatnej. Czy jako rodzina „międzygatunkowa" zdacie egzamin? „Kiedy zwierzę to nie rzecz, a równoprawny członek rodziny...".

Każde dziecko otwiera przed Tobą nowy świat, tworzy nową historię Twojej rodziny, miejscowości, kraju. Przez Boga jest zawsze kochane i planowane. Nie rezygnuj z najwspanialszej, najprawdziwszej, a jednocześnie najtrudniejszej przygody Twojego życia. Zostań mamą. Zostań tatą.

Pozdrawiam
Anna Teleon, Lublin
Dumna mama Krzysia, Helenki i Marcina

eprasa.pl ef045d2c96



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Robi się coraz groźniej

Decyzja o tymczasowym areszcie wobec dziennikarza Leszka Kraskowskiego musi budzić zdumienie. Oto sąd w Piasecznie na wniosek tamtejszej prokuratury rejonowej wymierza niezwykle surowy środek zabezpieczający, w sytuacji gdy formalny powód – rzekome groźby pod adresem policji – to jedynie emocjonalny wpis na platformie X. Wybuch naganny, ale nieadekwatny dla kary paromiesięcznego pobytu za kratkami.

Niepokoi też, że jako powód kary aresztu podawane jest efektownie brzmiące sformułowanie o „posiadaniu broni palnej". Faktycznie oznaczało znalezienie broni gazowej, która nie ma nic wspólnego z pistoletami z ostrą amunicją.

Sam poznałem Kraskowskiego ponad trzy dekady temu w redakcji „Życia" z kropką Tomasza Wołka. Był bardzo rzetelnym dziennikarzem, wyczulonym na nieprawidłowości w życiu politycznym i biznesowym. Potem rozdzieliły nas podziały, które naznaczyły Polskę w latach dwutysięcznych. Z przykrością czytałem, jak parę lat temu życzył na platformie X naszemu tygodnikowi zniknięcia jako „jednego z najbardziej plugawych wydawnictw na rynku".

Ale dziś te animozje nie mają żadnego znaczenia. Leszek Kraskowski udowodnił, że potrafi się wznieść ponad polskie linie politycznego podziału, samotnie prowadząc śledztwo w sprawie znaków zapytania wokół Romana Giertycha i jego związków ze spółką Polnord. I stąd naturalne podejrzenie, że naraził się w ten sposób obozowi obecnej władzy. Jest tajemnicą Donalda Tuska, dlaczego Roman Giertych ma tak silną pozycję w szeroko rozumianej politycznej rodzinie Koalicji 13 grudnia. Opowieści Donalda Tuska: „Nie zajmuję się praktyką adwokacką pana Romana Giertycha, niech on sam tłumaczy się ze swoich zawodowych dokonań. Mnie interesuje zachowanie pana Giertycha jako posła" pokazują, że wszechmocny rzekomo liberał z Gdańska boi się dotknąć swojego byłego adwokata.

Nie chcę teraz wchodzić w dywagacje, dlaczego Giertych ma tak mocną pozycję, ale tym bardziej nie sposób nie reagować głębokim niepokojem na typową szykanę prokuratorską wobec dziennikarza. Przeraża łatwość, z jaką sąd w Piasecznie wydał nakaz trzymiesięcznego aresztu dziennikarza. Wygląda to na chęć zastraszenia każdego, kto zajmie się w naszym kraju sprawami „niewłaściwej osoby". Milczy na ten temat Tusk, milczą inni liderzy Koalicji. A przecież całkiem niedawno staliśmy wobec groźby aresztu dla weterana opozycji Adama Borowskiego, który też miał to nieszczęście, że wszedł w drogę Romanowi Giertychowi. Sprawa jest tak drastyczna, że poparcie dla Kraskowskiego wyraził nawet najbardziej twardogłowy dziennikarz „Gazety Wyborczej" Wojciech Czuchnowski. Protestują Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Rzecznik Praw Obywatelskich. A Kraskowski nadal siedzi. W obecnych realiach tylko przekroczenie odpowiedniej skali oburzenia społecznego wywołuje reakcję ekipy Tuska. Może więc czas na wielki marsz w obronie Kraskowskiego? Wiem jedno. Wymiar sprawiedliwości jest w Polsce poza jakąkolwiek społeczną kontrolą. ©℗



FOT. ALBERTO ESTEVEZ/EPA/PAP

SAGRADA FAMÍLIA OFICJALNIE GOTOWA

Po ponad 140 latach budowy bazylika zaprojektowana przez katalońskiego architekta Antoniego Gaudíego, jedna z najsłynniejszych świątyń Europy, osiągnęła docelową wysokość 172,5 m i oficjalnie została najwyższym kościołem świata. 10 czerwca – w 100. rocznicę śmierci Gaudíego – Leon XIV pobłogosławił najwyższą wieżę budowli: Wieżę Jezusa Chrystusa.

CZYTAJ TAKŻE „LEON XIV WOBEC ZGNILIZNY W EUROPIE" NA STR. 50

CORAZ KRÓTSZA WOLNOŚĆ

Dzień Wolności Sektora Prywatnego – wyliczany co roku przez Instytut Misesa – w tym roku przypadnie dopiero 18 sierpnia. Niestety, z roku na rok data ta przesuwa się na coraz późniejszą. W 2025 r. Dzień Wolności Sektora Prywatnego wypadał 9 sierpnia, rok wcześniej – 26 lipca. Ten trend jest odzwierciedleniem rosnących wydatków sektora publicznego i coraz większej redystrybucji dochodu przez polityków walczących w ten sposób o głosy wyborców. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ef045d2c96



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Donald Polnord Tusk

Leszek Kraskowski jest już drugą osobą publiczną, zastraszaną i prześladowaną przez organa państwa w związku z aferą Polnordu. Aferą, której zamiecenie do tego stopnia mówi o sprawie wszystko, że już nie trzeba przypominać szczegółów. Wyrzucono prokuratora, który przez cztery lata zgromadził dowody i przygotował akt oskarżenia, przysłano nowego, który błyskawicznie umorzył sprawę, a uzasadnienie utajnił – i to właśnie Kraskowski owo „tajne" uzasadnienie opublikował, pokazując, jak bardzo jest bezczelną i kompromitującą tę władzę hucpą. Ujawnił zresztą wiele podobnych, formalnie biorąc, tajemnic śledztwa – m.in. tę, że ukradzione miliony odnalazły się na prywatnym koncie żony Romana Giertycha.

Wcześniej gniew wszechmocnego w kręgach władzy mecenasa dotknął Adama Borowskiego, zasłużonego działacza podziemia, dziś już człowieka w poważnym wieku, którego sąd na życzenie Giertycha skazał na pół roku bezwzględnego więzienia. W tamtej sprawie także szło o Polnord i także nie skazano Borowskiego za to, czym naprawdę się naraził, tylko poszukano pretekstu.

Ewidentnie państwo Tuska, z samym Tuskiem włącznie, jest na usługi Giertycha. Człowiek, który wzbudzał kiedyś wściekłość michnikowszczyzny, dziś jej rozkazuje. „Faszysta" stał się idolem – wystarczyło tylko, że przelicytował wszystkich innych w nienawiści do PiS. Teoretycznie nie pełni żadnej funkcji (poza przewodniczeniem „zespołowi parlamentarnemu"), ale cały aparat propagandowy Tuska, cała machina władzy, w tym szczególnie jej segment od „praworządności" otrzymały wyraźnie prikaz, by chronić szarą eminencję Tuska przed wywlekaniem na światło dzienne jego brudów. Trudno nie traktować poważnie krążących w obozie władzy plotek, że Giertych po prostu trzyma premiera i przewodniczącego KO za jakieś tutejsze „akta Epsteina".

Jest w prawie pojęcie „współudział po fakcie". Właśnie w ten sposób afera Polnordu stała się aferą rządu Tuska. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Sabotaż czy szaleństwo?

Makabryczne doniesienia o atakach ze strony migrantów i radykalna odpowiedź młodych Irlandczyków w Belfaście obnażają (który to już raz) konsekwencje polityki migracyjnej. Chaos, morderstwa i gwałty, utrata poczucia bezpieczeństwa, ogromne obciążenie budżetu – to tylko niektóre z kosztów, które płacą społeczeństwa.

Nie unieważniając ideologicznie motywowanej inżynierii społecznej i prawnoczłowieczych narracji, otwarcie granic dla przybyszów z Afryki i Azji tłumaczone było koniecznością ratowania rynku pracy i systemów emerytalnych. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: depresja demograficzna. Zapaść populacyjna jest zaś konsekwencją rewolucji kulturowej, która przyniosła erozję wartości takich jak: rodzina, małżeństwo, rodzicielstwo, tożsamość, odpowiedzialność za wspólnotę. Proces destrukcji cywilizacji został przepowiedziany i już dawno opisany choćby przez Orianę Fallaci, a wcześniej przez Rogera Scrutona.

Przywołuję te oczywistości sprowokowany tym, co wyrabia minister Nowacka. Szefowa MEN, z obłąkańczą konsekwencją, wyrzuca z programów wątki tożsamościowe, marginalizuje religię i etykę, z pogwałceniem delegacji ustawowej eliminuje wychowanie do życia w rodzinie. W to miejsce wprowadza od września obowiązek edukacji tzw. zdrowotnej, gdzie nawet po wyjęciu segmentu dotyczącego seksualności pozostaje wiele antyrodzinnych, ideologicznych treści. Na przykład jako jedyne przyczyny depresji podane są… ciąża i poród! Seksualność funkcjonuje poza kontekstem małżeństwa i rodziny, nie ma słowa o negatywnych skutkach wczesnej inicjacji (jest tylko „świadoma zgoda"), nic o ubocznych skutkach antykoncepcji, za to na szczycie wartości jest szacunek dla różnorodności rozumianej jako nobilitacja LGBT. W kontekście nienotowanej w naszej historii zapaści demograficznej program Nowackiej to albo antynarodowy sabotaż albo kompletne szaleństwo. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Wesoło, ale nie do śmiechu



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Młodziutki 29-letni lekarz Dawid Kacprzyk zarabia w państwowym warszawskim szpitalu na SOR 200 tys. zł miesięcznie. Stop. Ktoś mógłby przypuszczać, że tajemnicą jego gargantuicznych zarobków jest przynależność do Koalicji Obywatelskiej (jest radnym) i to, że był szefem partyjnej młodzieżówki, ale sprawę wyjaśniła Dorota Łoboda, rzecznik Klubu Koalicji Obywatelskiej, która pana Dawida zna. Stop. Więc pani z Koalicji o krezusie doktorku z Koalicji rzekła: „Nie pojawił się jakikolwiek zarzut, że pan Dawid zarobił te pieniądze nieuczciwie". Stop. Majstersztyk, rozejść się.

Jest problem rządowy, gdyż pani od SAFE, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocnik rządu od nielegalnej pożyczki SAFE, która nie jest przez rząd nazywana nielegalną pożyczką, chociaż jest nielegalną pożyczką, bo zaciągnięto ją bez ustawy, bo prezydent nie podpisał ustawy, to sami sobie podpisali, ale do rzeczy, więc ta pani napisała na portalu X: „Nie ma w ramach SAFE przekazywania pieniędzy Ukrainie, pieniądze wydaliśmy w polskim przemyśle zbrojeniowym i kupujemy na rzecz Wojska Polskiego". Stop. Ej, no fajnie, tyle że jest problem rządowy, gdyż Magdalena Sobkowiak-Czarnecka (wszystko wskazuje, że to ta sama osoba) w czasie wywiadu w telewizji pytana, ile z 44 mld euro z naszej pożyczki SAFE dostanie za nic Ukraina, odpowiedziała: „To będzie niewielka część, która, myślę, że będzie zbliżona do 4–5 proc. całości kwoty". Stop. 5 proc. to ok. 10 mld zł, które mamy dać Ukrainie za nic, no chyba że w ramach wdzięczności nazwą kolejną jednostkę wojskową imieniem Bohaterów UPA albo jakiemuś zbrodniarzowi, który ma na koncie mordowanie Polaków, postawią pomnik.

Lewica wybrała intelektualnie zaskakującą postać na kandydata na prezydenta Krakowa. Stop. Pani poseł nazywa się Daria Gosek-Popiołek i zasłynęła m.in. tym, że nie wiedziała, ilu jest w Sejmie posłów. Bo niby skąd mogła wiedzieć, jak jej nikt nie powiedział? Stop. Perfekcyjnie opanowała też trik „przepraszam, muszę pilnie zadzwonić", kiedy dziennikarze zadają jej jakieś pytanie, a ona nie wie. A skąd ma wiedzieć, jak jej nikt nie powiedział? Stop. Szanowne Krakusy! Głosujcie na Darię z Lewicy, będziecie mieli wesoło, choć nie do śmiechu! ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BAŚKĄ POLAKOWI W TWARZ

Barbarą Kurdej-Szatan Polakowi w twarz, czyli jak przejechać prętem po klatce, a potem dziwić się, że ludzie mają dość. Aktorka, która w listopadzie 2021 r. zamieściła na Instagramie wulgarny wpis wymierzony w Straż Graniczną (sprawę ostatecznie sąd umorzył), zagościła w TVP Info. Kurdej-Szatan wróciła do sprawy, w czym usłużnym pytaniem pomogła prowadząca program „Kwiatki polskie". – Polska potrafi budować, ale też niszczyć swoich bohaterów w bardzo krótkim czasie. Ty poczułaś to na własnej skórze. Czy ty masz takie wrażenie, że gdzieś postąpiłaś nie tak, albo może masz poczucie winy, że coś tam nie zagrało w tej twojej sytuacji? – zagaiła. – Wiesz co, tak jak właśnie powiedziałam wcześniej, na całym świecie, w każdym państwie, niezależnie od tego, jakie się nosi mundury, stroje, czy ktoś jest sprzątaczką, prezesem czy sprzątaczem – żeby nie było, że tylko kobiety, niezależnie od tego, kto jaką profesję wykonuje, ludzie są różni i tu, i tu [...]. Ludzie są różni w każdej przestrzeni. I tak samo zapewne na tej granicy, którą właśnie skomentowałam – sytuację konkretną, bo ja skomentowałam po prostu konkretną sytuację, jedno nagranie skomentowałam, gdzie po prostu ludzie ubrani w te mundury traktowali malutkie dzieci i kobiety tak, jak nie powinni traktować. Ja się po prostu nie zgadzam na coś takiego, niezależnie od tego, kto ma jaki kolor skóry, kto co nosi i kto skąd pochodzi – podkreśliła. – Masz wrażenie, że oberwałaś nieproporcjonalnie do tego, bo tłumaczyłaś to wielokrotnie? – dopytała prowadząca. – Tak, tłumaczę to wielokrotnie, aż po prostu mam trochę dość – szczerze mówiąc – tłumaczenia, bo mam wrażenie, jakby do ludzi kompletnie nic nie docierało. Ale pewna strona polityczna zadbała o to, żeby do ludzi nie dotarło, tylko żeby dotarło tylko to, co oni chcą, aby dotarło. Trudno walczyć z wiatrakami. Jakbym miała cały czas o tym opowiadać i tłumaczyć, to bym chyba zwariowała i musiałabym zajmować się tylko tym. A ja chcę zająć się swoją rodziną, pracą, przyjaciółmi, tym, co dobre wokół mnie. Ale okazuje się, że jakby nie jestem pierwsza, pewnie nie ostatnia – stwierdziła gorzko Barbara Kurdej-Szatan. Pamięć bywa zawodna, ale chyba akurat była pierwsza, która nazwała obrońców granicy „mordercami". Chyba tak.



FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

SMUTNE ŻYCIE PANI BLANI

Z dziejów „antydzieciowego" szaleństwa. Pisarka Blanka Lipińska podzieliła się na Instagramie „traumatycznym" przeżyciem, czyli wizytą w sklepie, podczas której spotkała kilkuletnią dziewczynkę. Gdzie problem? Według relacji dziecko... wielokrotnie mówiło słowo „mamo". Nie, spokojnie, nie do Blani, tylko do swojej mamy. – Chciałabym w tym momencie oddać oficjalnie hołd wszystkim kobietom decydującym się na dziecko. Przed sekundą stałam w sklepie przy kasie. Mała dziewczynka [...]. Ile ona może mieć lat? Ze cztery? Słuchajcie, przy trzecim „mamo" zaczęłam liczyć. 18 razy powiedziała „mamo" w ciągu, ja wiem, trzech minut. A to są tylko trzy minuty z życia tej kobiety. Ona ciągle coś od niej chciała. „Mamo, a to, mamo, a to, mamo, a mogę, mamo, mamo". Ludzie, przecież ja bym zwariowała przy pierwszych 10 minutach – żaliła się Blania. – Drogie kobiety, decydujące się na bycie matkami, wy macie jakieś nadludzkie możliwości. Wy macie jakieś nadludzkie pokłady spokoju i cierpliwości. Każda z was powinna dostać jakąś nagrodę. Nagrodę dla człowieka bez nerwów – dodała. To nie koniec wynurzeń. – Ja mam nadwrażliwość sensoryczną. U mnie, jak zwróciliście uwagę, wiecznie jest wokół cisza, dlatego że dźwięki niestety wyprowadzają mnie z równowagi. Nieważne, czy to jest muzyka czy to jest wiertarka. Jakikolwiek dźwięk, który jest stale wokół mnie, będzie powodował u mnie po prostu furię. Pogodziłam się z tym. Próbuję to niwelować. Pomyślałam sobie, Boże, a co z tymi biednymi rodzicami, którzy mają nadwrażliwość sensoryczną tak jak ja. Okazuje się, że żyjecie, próbujecie sobie z tym radzić i cierpicie. Tym bardziej łączę się z wami w bólu – zakończyła. Niech nikt nie mówi pani Blani, że wiele (a pewnie zdecydowana większość) kobiet kocha być mamą i kocha swoje dzieci. To się jej w głowie nie zmieści.

MARYLO, GDZIE JESTEŚ?

Za nami najnudniejszy festiwal świata, czyli festiwal w Opolu. Od lat ci sami śpiewają to samo. Odnotować można jedynie, że Maryla Rodowicz odmówiła TVP udziału. – Nie pojawię się na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, ponieważ zgodziłam się wystąpić na festiwalu TVN w Sopocie pod koniec sierpnia. Nie chcę się powtarzać. Chcę być atrakcją na jednym festiwalu, a nie na wszystkich – stwierdziła w rozmowie z Plejadą. Artystka śledziła jednak to, co dzieje się na scenie, i opublikowała na Facebooku wpis. „Co słychać? Oj było głośno, było, dzisiaj w amfiteatrze w Opolu. Koncert gigantów rock'n'rolla Lady Pank i giganta tekstów ich piosenek Andrzeja Mogielnickiego. Wczoraj feta dla Bogdana Olewicza, dzisiaj dla Andrzeja Mogielnickiego. I dla Agnieszki O. Agnieszkaaaaaaaaaa... Gdzie jesteś?" – napisała Maryla Rodowicz. I dla takich komentarzy warto mieć Internet. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ruszyły właśnie mistrzostwa świata w piłce nożnej i musimy przyznać, iż FIFA wykonała ogromny krok w kierunku całkowitej inkluzywności, która miałaby polegać na tym, iż w turnieju wezmą udział wszystkie 211 federacji, no może 210, bo ten kraj i tak by się, nawet w takiej formule, nie zakwalifikował xD.

Natomiast obecny stan jest taki, iż po raz pierwszy w historii mundial został rozszerzony do 48 uczestników, dzięki czemu mamy szansę oglądać (of kors albo dla beki, albo z uwagi na zainteresowania socjologiczno-kulturoznawcze, iż sport sam w sobie nas przecież nie interesuje) reprezentacje, które wcześniej były wykluczane przez opresyjny system polegający na przyznawaniu mniejszej puli miejsc dla kontynentów innych niż Europa. No i jaki mamy efekt? Spójrzcie sami, co za piękna różnorodność. Na mundialu jest Jordania, jest Uzbekistan, Curaçao (śmieszne, że nazwali kraj od drinka, ale of kors mieli do tego prawo) czy też Republika Zielonego Przylądka.

Natomiast nie gra Polska, co sprawia, iż przeciętny janusz, który tak naprawdę nie jest koneserem piłki nożnej, a zwykłym nacjonalistą i ksenofobem, którego interesuje wyłącznie to, że grają „nasi", automatycznie traci zainteresowanie tym wyjątkowym turniejem i jeszcze jest oburzony, iż zostaliśmy z niego wykluczeni przez Szwedów.

No bo powiedzcie szczerze: gdyby naprawdę się interesował futbolem, to wstałby w środku nocy obejrzeć mecz Curaçao, przeanalizować jego występ pod kątem nowinek taktycznych, może znaleźć sobie nowego idola, a nie w kółko ten Lato i Lubański, no ale nie. Mecze Curaçao o 3 w nocy są tym, co oddziela prawdziwego fana piłki nożnej od janusza spragnionego rozbudzenia nacjonalistycznych uczuć.



Naszym zdaniem brak reprezentacji Polski może mieć tylko pozytywny wpływ społeczny. Nie będziemy musieli w kółko słuchać ekspertów, widzieć setek artykułów na temat kolejnego treningu polskiego zespołu i co piłkarze zjedli na obiad, nie będzie w końcu tych smutnych analiz po przegranych meczach, nie będzie tej narodowej pompki, a potem wielkiego rozczarowania. Of kors my nie bylibyśmy rozczarowani, no ale oglądanie tego w każdej stacji i na każdym portalu jest męczące.

Dawno nic nie było o ekonomii, a jak pewnie pamiętacie, jest to nasze hobby i nie chwaląc się, czujemy się mocni. Kiedyś postulowaliśmy, aby podnieść płacę minimalną do poziomu średniej krajowej i chociaż to się jeszcze nie stało, to czytamy ostatnio, iż wynagrodzenia Polaków szybko rosną, a my mamy wobec tego sprzeczne odczucia.

Bo z jednej strony jest to niewątpliwy sukces rządu i pana premiera osobiście. Jeśli pensje rosną, to ludziom zazwyczaj żyje się lepiej, więc to bardzo spoko, iż wszyscy widzą, że rząd dowozi i w sumie taka jedna niespodzianka naszym zdaniem kasuje wszystkie niespełnione obietnice, bo w sumie chyba lepiej mieć więcej hajsu niż wyższy drugi próg kwoty wolnej, czy o co to tam dokładnie chodziło.

Z drugiej strony mamy pewne wątpliwości, iż jak wiecie, gospodarczo jesteśmy liberalno-lewicowi (a światopoglądowo lewicowo-liberalni) i martwimy się, iż rosnące wynagrodzenia będą trudnością dla przedsiębiorców, którzy nie będą mogli sobie pozwolić na pracowników, a biznesy zaczną padać. Nietrudno sobie wyobrazić, iż opozycja z obłędem w oczach tylko czeka na taką sytuację, iżby gardłować, że Tusk nawet dobrobytu nie umie wprowadzić. Trudna sprawa, nie do końca jeszcze wiemy, co należy o tym myśleć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Coś ważniejszego

Donald, nie wiem, co mam mówić. Bo pytają, dlaczego cię nie było ze Starmerem, Macronem, Merzem i Zełenskim w Londynie.
Mów, Adam, że miałem coś ważniejszego.

Będą pytali, co takiego.
Mów, że walczę o przyszłość energetyczną Polski.

Za mało. Jak?
Mów, że prowadzę badania nad zimną fuzją jądrową i jestem blisko rozwiązania.

Ty? Badania? Gdzie?
W Sopocie. W piwnicy.

Uwierzą?
Nie ma znaczenia, i tak nie sprawdzą. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie będę bronić ośmiu gwiazdek, to nie o to chodzi, tylko że jednak tam nie było tej nienawiści na tle rasowym".

DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF *w TVP Info*

eprasa.pl ef045d2c96

dwaj panowie g

To, co najpiękniejsze – mundial. Zawsze czekamy cztery lata, by oglądać z zapartym tchem i upewnić się, że jeden do zera to niebezpieczny wynik i że wygra prawdopodobnie ta drużyna, która wygra walkę w środku pola. W PRL słynny był żart: „Kim chciałbyś zostać, synku, jak dorośniesz? Rencistą, tato". Dziś to się sprawdza w wersji „ekspertem telewizyjnym, tato".

Nasza miłość do futbolu jest łatwo wytłumaczalna – w odróżnieniu od np. sondaży rezultat meczu można jedynie podwyższyć. To bardzo odświeżające doświadczenie po paru latach pisania o partiach, które ciężko pracują nad tym, by swoje rezultaty obniżać.

Dla tych, którzy nie znają, przypominamy z okazji mundialu ogólne zasady kibicowania, sformułowane niegdyś przez legendę ZChN, Mariana Piłkę (w rozmowie z Robertem Mazurkiem). Otóż najpierw kibicujemy Polakom. A jeśli Polacy nie grają? Wówczas kolejność jest następująca: wtedy najpierw kibicujemy krajom katolickim, następnie ogólnie: chrześcijańskim. I tu wolimy prawosławie od heretyków. Jeśli nie grają chrześcijanie, to kibicujemy monoteistom. A na końcu wszystkim, byle nie Niemcom.

Mecze mundialu transmitowane są w telewizji reżimowej, zwanej czasem publiczną. Cieszy się ona – jak wiadomo – niezbyt wielką oglądalnością, więc trzeba ratować ją różnymi zastrzykami finansowymi. Dlatego w blokach reklamowych przy transmisjach emitowane są reklamy akcji społecznych różnych ministerstw. Na przykład Ministerstwo Finansów chwali się, że można podatki rozliczać przez Internet. A Ministerstwo Edukacji – że w szkołach dzieci dostają warzywa, owoce i mleko. Czekamy na kampanię Ministerstwa Sprawiedliwości. Może coś w stylu: „Wybieraj zawód ostrożnie, bo jak zostaniesz dziennikarzem, to zamkniemy cię w więzieniu".



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z życia partii. W konkurencji do STROP Mateusza Morawieckiego (Stowarzyszenie Rozwój Plus) powstało w PiS stowarzyszenie konkurencyjne, które zwie się POPIP (Po Pierwsze Polska). Ojcuje mu Jacek Sasin. Najbardziej spodobało nam się ogłoszenie, że członkowie stowarzyszenia „deklarują pełną lojalność wobec Prawa i Sprawiedliwości". Wygląda więc na to, że w PiS powstał PiS. Uważamy, że misja nie zostanie wypełniona dopóty, dopóki przewodniczącym tego stowarzyszenia nie zostanie Jarosław Kaczyński.

Tymczasem za kulisami oczywiście trwa ciąg dalszy naparzanki. POPIP-owcy chwalą się, ilu to ludzi się do nich zapisało. STROP-owcy odpowiadają, że wielu członków partii do tego zmuszono, a poza tym do STROP też się niedługo zapiszą nowi, i to z dużymi nazwiskami. Czekamy niecierpliwie, aż wszyscy członkowie PiS będą należeli do jakiegoś stowarzyszenia. Zorganizujemy wówczas okrągły stół, przy którym negocjować się będzie warunki powołania w partii konfederacji. Tych stowarzyszeń.

eprasa.pl ef045d2c96

Oprócz „deklarowania pełnej lojalności wobec PiS" głównym celem POPIP jest „aktywne wspieranie kampanii prof. Przemysława Czarnka". I tu pojawia się kłopot. Słyszeliśmy bowiem od wiewiórek, że późną jesienią ma nastąpić wymiana Czarnka na jakiegoś innego kandydata na kandydata na premiera. Oznacza to, że POPIP stanie się zbędny. No bo do wspierania nowego kandydata trzeba będzie powołać nowe stowarzyszenie.

Na pytanie: „Kto miałby być nowym kandydatem na kandydata w miejsce starego kandydata na kandydata?" odpowiadamy od ręki. Otóż Nowogrodzka wciąż marzy o Zbigniewie Boguckim, czyli szefie Kancelarii Prezydenta Karola Tadeusza. Tyle że osoba głowy państwa nadal nie chce się zgodzić, by Bogucki rzucił robotę w Dużym Pałacu. Na Nowogrodzkiej fantazjuje się jednak, że da się Karola Nawrockiego przekonać. A jeśli się nie da, to przekona go obiektywny bieg wypadków.

Tymczasem wiewiórki ćwierkają, że Polskę odwiedził ważny Amerykanin, prawdziwy amerykański szef nowej telewizji Newsmax. Tej, o której krążą plotki, że będzie grała na STROP Morawieckiego. Z okazji wizyty doszło do spotkania, które ponoć organizował ambasador Tom Rose. A na spotkaniu pojawił się nie kto inny jak Morawiecki. Jakże lubimy, kiedy plotki okazują się faktami autentycznymi.

Jak wiadomo, w ubiegłym tygodniu w Warszawie gościł szef ukraińskiego wywiadu, niejaki Budanow. Miał cały zestaw rozmówców aktywnych w dzisiejszej polityce. Ale poprosił też o dołączenie dwóch emerytów. Pierwszy z nich to Aleksander Kwaśniewski. Ukraińcy go cenią od niepamiętnych lat. Nieoficjalnie widzą go również w roli negocjatora pokojowego z Rosją, choć nie wiadomo, czy Kreml zgodzi się, by negocjował Polak. Drugim emerytowanym rozmówcą był były szef wywiadu Piotr Krawczyk. Jego z kolei Ukraińcy cenią za pomoc w ewakuacji z Ukrainy w pierwszych dniach wojny szefa niemieckiego wywiadu Brunona Khala, a także za dostarczenie kluczowych informacji, które pomogły ukraińskiej obronie w pierwszych dniach wojny.

Skoro wątek niemiecki: ambasada Polski w Berlinie wyprzedaje sprzęty ze swojej starej siedziby. Po taniości, więc niby można sobie za drobne urządzić mieszkanie. Niestety, jeśli ktoś spodziewa się luksusów, będzie zawiedziony. Większość mebli to taniocha z Ikei.

Niemcy mawiają: „Einmal ist keinmal", co na polski tłumaczy się: „Jeden raz to jak nic". Jak się wydaje, tę właśnie zasadę wziął sobie do serca minister zbrojeń Kosiniak-Kamasz, który witał dwa razy myśliwce F-35. Najpierw było powitanie nieoficjalne, potem oficjalne. Podobno ma być jeszcze powitanie robocze i przedstawienie „efów" gawiedzi. Też lubimy się witać do skutku.

Nasza miłość do futbolu jest łatwo wytłumaczalna – w odróżnieniu np. od sondaży rezultat meczu można jedynie podwyższyć

Àpropos zielonych braci: Peezel wierzga Tuskowi w sprawie następcy Karola Nawrockiego w IPN. Wbrew Złemu Donaldowi z Sopotu chce bowiem zagłosować za kandydaturą Mateusza Szpytmy. Kołalicja Łobywatelska ma jednak problem, bo Szpytmy nienawidzą ludzie od Jana Grabowskiego i zapowiadają, że jak Sejm przyjmie tę kandydaturę, to uwalą kandydata w Senacie. I tak zabawa potrwa do wyborów. Ale nie prezesa IPN, tylko parlamentarnych.

Kołalicja Łobywatelska wraz z Peezelem ogłosiła kandydata w przedterminowych wyborach na prezydenta Krakowa. Ma to być Monika Piątkowska. Sam Donald Tusk powiedział o niej, że jest „kandydatką wyśmienitą". Cóż, nie wiemy, co teraz myśleć o Monice. Bo pamiętamy, jak o Miszalskim mówił, że to „kwintesencja rzetelności".

Przeciwko tej decyzji buntuje się koalicyjna Polska 2050, która ustami Pełczyńskiej-Nałęcz dziwi się, że samorządową kandydatkę na prezydenta Krakowa przedstawiono na rządowej konferencji w Warszawie. Nas bardziej zainteresował fakt, że potwierdziła naszą wiadomość, iż z ramienia tej operetkowej partii kandydować chce Paweł Śliz. Bylibyśmy jednak ostrożni z rekomendowaniem go jako „z babki prababki i z dziada pradziada Krakusa". Widzicie, jak się za daleko w czasie cofniecie z tymi rekomendacjami, to dojdziemy do tego, że Kraków założono na prawie niemieckim.

Wydawnictwo Agora z okazji 22-lecia istnienia ogłosiło konkurs na napisanie w 22 słowach recenzji którejś z wydanych przez nie książek. Chętnie weźmiemy udział. „Adam Michnik bardzo, ale to bardzo, bardzo, a nawet bardzo, bardzo, bardzo zaszkodził Polsce, na szczęście na czas opisał to Rafał Ziemkiewicz". To nasza recenzja pakietu książek Agory „Adam Michnik, edycja specjalna". Nagrodę prosimy przesłać pocztą.

Natomiast Muzeum Historii Polski ogłosiło plebiscyt na historyczne wydarzenie roku. Oczywiście i tu mamy pewniaka. Nasza propozycja to bezprawne wyrzucenie Roberta Kostro ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski. Tym, którzy odpowiadają, że to wydarzenie z roku 2024, odpowiadamy: No i co z tego?

Dostaliśmy e-maila od Konfederacji Lewiatan, która cieszy się bardzo, że „rząd przyjął projekt ustawy wdrażający unijną dyrektywę o równowadze płci we władzach spółek publicznych", co oznacza, że „kobiety mają zyskać większy udział we władzach spółek", a nawet – jak twierdzi Henryka Bochniarz – że „rząd otwiera drogę kobietom". I że to dobrze. Z ciekawości zajrzeliśmy do składu zarządu Konfederacji Lewiatan. Głupia sprawa – facetów jest tam 13, kobiet tylko osiem. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

MUNDIAL OFICJALNIE ROZPOCZĘTY

W czwartek 11 czerwca rozpoczęły się finały piłkarskich mistrzostw świata 2026. Rozgrywki potrwają do 19 lipca.

To pierwszy mundial, w którym udział bierze aż 48 reprezentacji (Polski, niestety, zabrakło). To również pierwszy taki turniej, którego gospodarzem są trzy państwa: Meksyk, Kanada oraz Stany Zjednoczone. I we wszystkich tych trzech krajach odbyły się uroczyste ceremonie otwarcia. W trakcie turnieju rozegrane zostaną łącznie 104 mecze w 16 miastach.

W Meksyku otwarcie mundialu odbyło się w czwartek na legendarnym stadionie Azteca. Ceremonię uświetniła Shakira, której piosenki – jak choćby słynne „Waka Waka" czy „La La La" – od lat znane są milionom fanów piłki nożnej.

Świetnie zaprezentowali się także reprezentanci jednego z gospodarzy. W czwartkowym meczu otwarcia na Estadio Azteca Meksyk pokonał RPA 2:0. ***(jap)*** © ℗

FOT. IAN ROBLES/DPP IMAGES/FORUM

FOT. XXXXXX

eprasa.pl ef045d2c96



eprasa.pl ef045d2c96



Z ks. prof. Andrzejem Kobylińskim, filozofem, kierownikiem Katedry Etyki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

rozmawia Ryszard Gromadzki

Kościół świętego spokoju

RYSZARD GROMADZKI: Polska, podobnie jak inne kraje Zachodu, skazana jest na nieodwracalną laicyzację, a masowe odwrócenie się Polaków od Kościoła doprowadzi do jego marginalizacji?

KS. PROF. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI: Wszystko na to wskazuje. Co więcej, to nie jest sprawa przyszłości, ale częściowo już teraźniejszości. Obecnie w naszym krają dokonują się głębokie procesy ateizacji i sekularyzacji. Wydaje się, że ich dalszy rozwój jest nieuchronny. Negatywne konsekwencje tych procesów będą bardzo podobne do tego, co wydarzyło się wcześniej w wielu innych krajach na świecie. Należy podkreślić, że polskie społeczeństwo jest wciąż najbardziej religijne w Europie. Jeśli nawet mówimy o kryzysie wiary w naszym kraju, to spadamy z bardzo wysokiego poziomu religijności. Z jednej strony przejawia się to we wciąż wysokim odsetku Polaków uczestniczących w praktykach religijnych, deklarujących wiarę w Boga czy w życie wieczne. Z drugiej strony zajmujemy nie tylko pierwsze miejsce w Europie, lecz także na świecie, gdy chodzi o tempo zachodzących procesów sekularyzacji i ateizacji. Nie ma takiego drugiego kraju na świecie, w którym procesy utraty wiary i spadku religijności wśród ludzi młodych, w porównaniu z religijnością ludzi starszych, zachodziłyby tak szybko jak w Polsce. Widzimy to gołym okiem w naszych rodzinach i wśród znajomych, ale mamy także naukowe potwierdzenie tych trendów ze strony amerykańskiego ośrodka Pew Research Centre. Odwołuję się do badań, które ta prestiżowa instytucja przeprowadziła na całym świecie w drugiej dekadzie obecnego stulecia, opublikowanych w 2018 r.

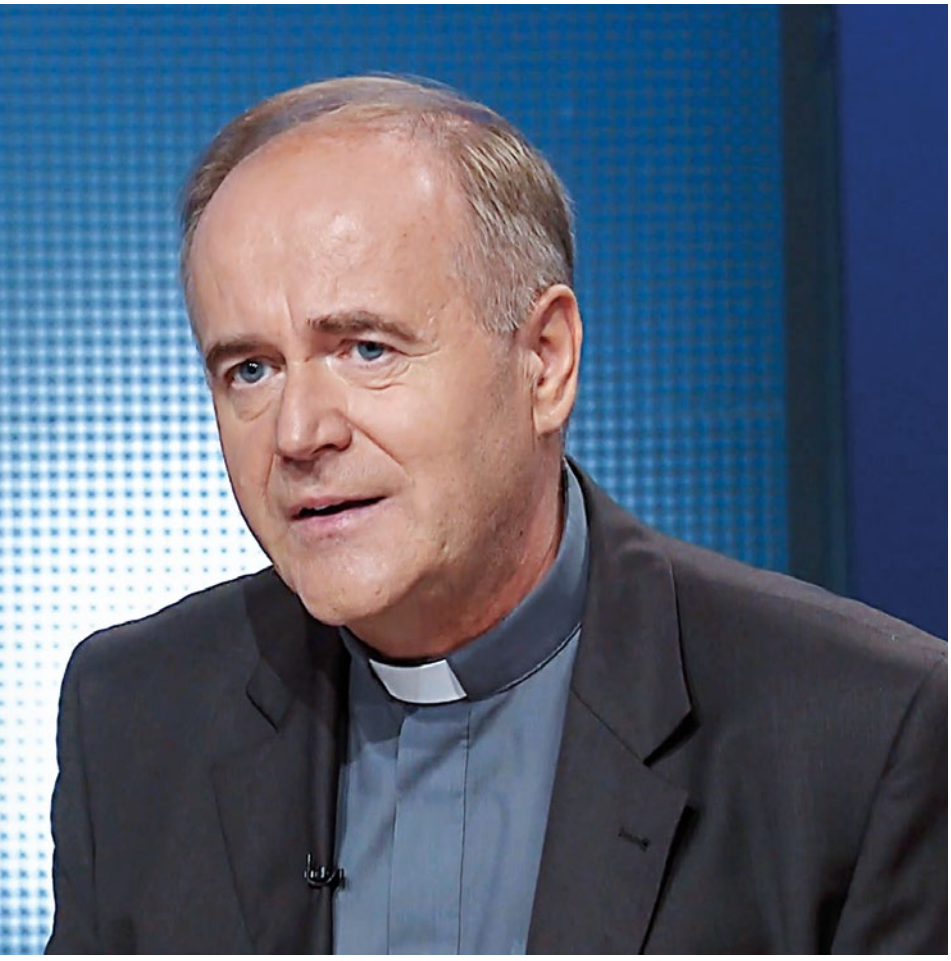
Co jest podstawową przyczyną tak gwałtownego odejścia młodych Polaków z Kościoła? Zachłyśnięcie się konsumpcjonizmem?

W najprostszej diagnozie można wskazać na przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne zachodzących w Polsce zmian. Wśród przyczyn zewnętrznych na pierwszy plan wybijają się głębokie trendy sekularyzacyjne obecne w kulturze zachodniej. Jesteśmy częścią Zachodu na dobre i na złe, więc także w Polsce dokonuje się to, co dzieje się w całym świecie zachodnim, co jest bezpośrednio związane z dostępem do zachodniej kultury masowej, powszechnością Internetu i mediów społecznościowych. Młode pokolenie Polaków na co dzień karmi się tymi samymi treściami, co młodzi ludzie w innych krajach zachodnich. Oczywiście wśród przyczyn szybkiej ateizacji Polski trzeba także wymienić wysoki poziom konsumpcji. Stajemy się typowym zachodnim społeczeństwem dobrobytu. A nie jest wcale łatwo pogodzić dobrobyt i bogactwo z wiarą i religijnością. To się nieźle udało w Stanach Zjednoczonych, lecz w większości krajów zachodnich już nie wyszło. Bogactwo i dobrobyt zrujnowały tam religijność. Gdy chodzi o przyczyny wewnętrzne kryzysu religijności w Polsce, to warto wskazać błędny sposób nauczania religii w szkołach, brak katechezy parafialnej, skandale obyczajowe biskupów i księży, utratę zaufania społecznego przez Kościół katolicki jako instytucję.

Jeśli chodzi o praktykę wiary w Polsce, to wciąż powszechny charakter ma chrzest święty dzieci i przystępowanie do pierwszej komunii świętej. Rozbrat z sakramentami wśród młodych ludzi zaczyna się od bierzmowania, a później ślubu kościelnego. To zerwanie z sakramentami przez młodych bezpośrednio obciąża ich rodziców, którzy nie potrafili przekazać wiary swoim dzieciom?

Jeśli gaśnie wiara w sercach i umysłach, jeśli młodzi ludzie nie podzielają już przekonań religijnych swoich rodziców i dziadków, to oczywiście w naturalny sposób nie przystępują do sakramentów świętych, nie zawierają kościelnych związków małżeńskich. Myślę, że jest to właściwe. Należy zawsze postępować zgodnie z własnym sumieniem. Jeśli ktoś nie podziela doktryny Kościoła katolickiego, to nie powinien też przyjmować katolickich sakramentów świętych. Zmiany idą bardzo szybko. W ostatnich latach obserwujemy w Polsce, w dużych miastach, wzrost liczby dzieci, które nie przystępują do pierwszej komunii świętej. To nowe zjawisko. Podobnie zwiększa się grupa młodych ludzi, którzy nie przystępują do sakramentu bierzmowania czy nie zawierają sakramentalnych związków małżeńskich. Nieprzyjmowanie

eprasa.pl ef045d2c96



FOT. TVP

sakramentów jest więc jedynie potwierdzeniem zmian, które zaszły w wymiarze wewnętrznym, gdy chodzi o przekonania religijne. Przyczyn tego stanu rzeczy jest na pewno bardzo wiele, a to, z czym mamy dziś w Polsce do czynienia, można określić jako pokłosie procesów sekularyzacyjnych. Najbardziej spektakularnym przejawem tych procesów jest zamykanie seminariów duchownych i klasztorów w naszym kraju.

Rangę symbolu ma niewyświęcenie w tym roku po raz pierwszy od 80 lat żadnego prezbitera w prymasowskiej archidiecezji gnieźnieńskiej, kolebce naszej państwowości i chrześcijaństwa w Polsce...

To niezbyt dobry przykład. To, że w kilku diecezjach w Polsce nie było w tym roku święceń kapłańskich bądź święceń diakonatu, dość często wynika z tego, że kilka lat temu wprowadzono reformę polegającą na tym, że wydłużono okres studiów w seminariach duchownych z sześciu do siedmiu lat. W konsekwencji w niektórych diecezjach teraz przypadł rok bez święceń kapłańskich lub diakońskich. Ale Gniezno rzeczywiście jest przejmującym przykładem demontażu polskiego katolicyzmu.

Dlaczego?

Gdy chodzi o wiarę chrześcijańską na polskiej ziemi, to w Gnieźnie wszystko się zaczęło. To źródło, które bije od ponad 1000 lat. W Gnieźnie jest grób św. Wojciecha, tam miał miejsce początek chrystianizacji naszej ziemi. Obecnie to źródło jakby przestało bić, ponieważ opustoszało seminarium duchowne w tym mieście. Garstka kleryków z tego seminarium została przeniesiona do Poznania. Potężny gmach seminarium prymasowskiego w Gnieźnie w dużej części został przekształcony w Centrum Edukacyjno-Formacyjne z dużą liczbą miejsc noclegowych. Kilka tygodni temu, w ramach pewnej konferencji naukowej, nocowałem w tym gmachu. Było to dla mnie straszne doświadczenie. Czułem się jak w hotelu, wiedząc jednocześnie, że jeszcze niedawno w tym miejscu tętniło życie seminarium duchownego. Gdyby szukać dalej „filmowych" obrazów kryzysu wiary w Polsce, to podam wymowny przykład diecezji ełckiej. Od kilku lat realizowany jest tam program, który polega na tym, że w związku z brakiem lokalnych powołań kapłańskich zaprasza się do studiowania w Polsce kleryków z krajów afrykańskich. Po przyjęciu święceń kapłańskich ci księża będą pracować w diecezji ełckiej. W 2026 r. do święceń diakonatu, które przyjmuje się rok przed święceniami kapłańskimi, w diecezji ełckiej przystąpił tylko jeden kandydat, pochodzący z Togo, z Afryki.

Dyżurnym argumentem wrogów Kościoła podnoszonym w Polsce przez dekady było oskarżenie, że ten „miesza się w politykę". Obecnie Episkopat dość regularnie zajmuje stanowiska w kluczowych kwestiach politycznych. Niestety, często można odnieść wrażenie, że ten głos nie jest głosem broniącym polskiej racji stanu. Ów brak jednoznaczności może odstręczać wielu ludzi od Kościoła.

Zdecydowanie tak. To budzi gniew wielu gorliwych katolików. Jest przynajmniej kilka spraw w tym obszarze, które wymagają wyjaśnienia. Na przykład to, w jaki sposób biskupi wplątali Kościół w politykę resetu z Rosją, realizowaną przez pierwszy rząd Donalda Tuska. Chodzi mi o słynny dokument, podpisany 17 sierpnia 2012 r. przez ówczesnego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, abp. Józefa Michalika, oraz patriarchę Moskwy i całej Rusi, Cyryla I. To był dość szokujący dokument mówiący o pojednaniu polsko-rosyjskim.

Ogłoszono go zaledwie dwa lata po katastrofie smoleńskiej...

Tak. Niestety, ten dokument był odczytany we wszystkich polskich świątyniach katolickich zamiast kazania. Jedynym bohaterskim księdzem, który się publicznie przeciwstawił decyzji biskupów, był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który nie odczytał tego listu w swojej parafii ormiańskokatolickiej z siedzibą w Gliwicach. Z tego powodu miał on później duże problemy z władzami kościelnymi. Dla mnie ten dokument był wielkim szokiem. Nie musiałem go czytać, bo nie jestem wikariuszem czy proboszczem. Nie wiadomo, jak doszło do przygotowania tego

eprasa.pl ef045d2c96

dokumentu. Ni grzmiało, ni błyskało, a tu nagle ludzie z ambon w całej Polsce usłyszeli, że doszło do pojednania z putinowską Rosją. Co więcej, w cerkwiach w Rosji ten dokument nie był odczytany, nie zauważyły go też tamtejsze media. Mieliśmy więc całkowicie jednostronny „reset" z udziałem polskiego Kościoła.

Naiwność czy wpływ agentury?

To bardzo ważne pytanie. Chciałbym poznać odpowiedź. Jako katolicy mamy prawo wiedzieć, kiedy i w jaki sposób został przygotowany ten dokument.

Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz...

Podobnie ma się sprawa z Orędziem Przebaczenia i Pojednania z 7 lipca 2023 r., ogłoszonym w 80. rocznicę rzezi wołyńskiej. Zostało ono podpisane przez ówczesnego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego i zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego abp. Światosława Szewczuka. Przed ogłoszeniem tego dokumentu nie było w Polsce na ten temat żadnej merytorycznej dyskusji. Rodzinom kresowym wypędzonym z Wołynia nikt nie powiedział, kiedy ponad 100 tys. ich krewnych, bestialsko zamordowanych, zostanie ekshumowanych z dołów śmierci i godnie pochowanych. Nikt nie wspomniał o rosnącej w siłę wśród Ukraińców ideologii banderyzmu. Jedynym odważnym, który protestował wówczas w Domu Arcybiskupów Warszawskich, wraz z przedstawicielami środowisk kresowych, jednocześnie walcząc z chorobą nowotworową, znowu był ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który przestrzegał, że to fałszywe pojednanie, bo rzeczywiste można budować tylko na prawdzie. Czy naszych biskupów interesuje to, jakiej historii uczą się klerycy w czterech dużych seminariach greckokatolickich na Ukrainie? Czy polscy biskupi rozmawiają na temat ideologii banderyzmu z biskupami greckokatolickimi?

Przed laty, gdy byłem w Krzemieńcu na Wołyniu, byłem świadkiem ceremonii upamiętniającej UPA z licznym udziałem duchowieństwa greckokatolickiego...

No właśnie. Takie są realia. Niestety, mamy pełną akceptację tego dramatu ze strony władz Kościoła katolickiego w Polsce. Na ten temat milczą także wydziały teologii katolickiej, media katolickie, przedstawiciele ruchów i stowarzyszeń kościelnych. Dominuje straszna obojętność.

Mam wrażenie, że polski Episkopat kieruje się swoiście pojętym imperatywem pojednania ze wszystkimi, którzy dopuścili się zbrodni i prześladowań Polaków, szczególnie w czasie drugiej wojny światowej. Tyle że ta skłonność do pojednania nie jest podzielana przez tych, którym nasi biskupi „przebaczają i [których] proszą o przebaczenie".

Przychodzi mi na myśl apel ogłoszony przez Zespół Episkopatu Polski do spraw Kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec z 8 września 2017 r., kiedy ówczesny rząd PiS podjął sprawę reparacji wojennych od Niemiec. Ten apel został powszechnie odczytany jako sprzeciw biskupów Kościoła katolickiego w Polsce wobec podejmowania przez nasz rząd tematu reparacji wojennych od Niemiec. Biskupi przestrzegali przed zniszczeniem owoców pojednania z Niemcami „przez nieprzemyślane decyzje, a nawet przez pochopnie wypowiadane słowa". Gdzie tu polska racja stanu? Dlaczego biskupi nie stanęli w obronie naszego interesu narodowego? W Polsce w wielu środowiskach z wielkim uznaniem jest przyjmowany niemiecki kardynał Gerhard Müller. W 2023 r. w wywiadzie dla portalu Fronda.pl wypowiedział się on zdecydowanie przeciw jakimkolwiek reparacjom wojennym dla Polski. Zupełnie jak kanclerz Niemiec. Niestety, w naszym kraju nikomu to nie przeszkadza.

W Polsce na razie nie grozi nam formalny rozpad. Ale w takich krajach jak Niemcy czy Stany Zjednoczone coraz częściej mówi się o możliwości schizmy

W polskim Kościele coraz bardziej widoczny jest wyraźny podział na skrzydło liberalne i konserwatywne. W roli lidera progresistów obsadzany jest metropolita krakowski kard. Ryś. Jeśli chodzi o konserwatywnych katolików, przy całej umowności tego określenia, to trudno wskazać hierarchę, który by nadawał mu kierunek. Czy napięcie widoczne między tymi środowiskami może doprowadzić do rzeczywistego rozłamu Kościoła w Polsce?

Na razie nie. Podział na skrzydło konserwatywne i liberalne jest czymś naturalnym. Występuje on w Kościele katolickim w wielu krajach. To oczywiste, że prawdy wiary i moralności można rozumieć na sposób tradycyjny i postępowy. Najważniejsze pytanie dotyczy tego, czy w dłuższej perspektywie Kościół katolicki może w sposób trwały oddychać tymi dwoma płucami, konserwatywnym i liberalnym. Czy nie dojdzie do schizmy? W Polsce na razie nie grozi nam formalny rozpad. Ale w takich krajach jak Niemcy czy Stany Zjednoczone coraz częściej mówi się o możliwości schizmy. Od pewnego czasu wskazuję w Polsce na dwóch ważnych liderów religijnych. Gdy chodzi o katolicyzm liberalny, to wyraźnym przywódcą jest kard. Grzegorz Ryś. Natomiast zdecydowanym liderem katolicyzmu konserwatywnego jest Paweł Lisicki. Mam na myśli jego książki, artykuły, wywiady, wideopodcasty itp. Lisicki ma zdecydowanie większy wpływ na wielu katolików niż biskupi czy wydziały teologiczne w naszym kraju. Jeśli chcemy dostrzec rzeczywiste różnice doktrynalne istniejące między katolicyzmem liberalnym a konserwatywnym, to przeanalizujmy poglądy głoszone przez kard. Rysia i redaktora Lisickiego. To są poniekąd dwie odrębne religie.

Czy pomimo narastającego kryzysu wiary, odpływu wiernych i braku charyzmatycznych pasterzy katolicyzm może zachować swój wyjątkowy status wśród Polaków?

Jestem ostrożnym optymistą. Jednocześnie jestem wewnętrznie przygotowany na to, że najbliższe lata przyniosą potężne osłabienie Kościoła katolickiego w Polsce. Będą kasowane lub łączone małe parafie, będą zamykane kolejne seminaria duchowne i klasztory. Niestety, w najbliższym czasie nie przewiduję moralnego wstrząsu w samym Kościele, żeby ten proces zatrzymać. Wśród biskupów i księży dominuje pragnienie świętego spokoju, a to uniemożliwia wewnętrzne reformy, które mogłyby częściowo ograniczyć demontaż naszej tradycyjnej religijności. W konsekwencji będziemy dalej spadać po równi pochyłej. Może dopiero za 15 czy 20 lat nastąpi otrzeźwienie, aby podjąć w pocie czoła niezwykle trudny proces odnowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Ku Kościołowi bez księży



Wojciech Golonka

Kryzys powołań, współtowarzyszący mu proces erozji katolicyzmu, w skrócie: osławiony już od dwóch dekad w prasie kryzys Kościoła w Polsce jest w gruncie rzeczy kryzysem stanu biskupiego, przejętego po części przez myśl i cele obce katolicyzmowi, które właściwych katolicyzmowi owoców wydać zwyczajnie nie mogą

Odpowiedź na pytanie, dlaczego ubywa wiernych i powołań w Kościele w Polsce, jest złożona, tym bardziej że porusza dwie odrębne kwestie. Niemniej między dwoma zjawiskami istnieje dość ścisła zależność, choćby dlatego, że kler rekrutuje się z laikatu, tak że odpowiadając na jedno pytanie, można przez analogię udzielić wystarczającej odpowiedzi na drugie. Stąd zajmę się najpierw mniej naświetlanym w publicystyce, a obecnie bardziej sensacyjnym wątkiem bardzo wyraźnego spadku powołań w Polsce, który jest niezawodnym wskaźnikiem kondycji danego Kościoła, by przez paralelę poruszyć częściej komentowane zjawisko odpływu wiernych z Kościoła.

Sensację rzeczywiście stanowi symboliczne tąpnięcie w statystkach kapłańskich w Polsce – zejście poniżej liczby 25 tys. prezbiterów oraz brak święceń w prymasowskiej stolicy, Gnieźnie – co jawi się jako istna zapaść, której przemilczeć nie sposób. Stąd nie brak omówień tej kwestii, a nawet sensownych analiz przyczyn tego stanu rzeczy, przy czym trzeba przyznać, że nie widać w tym wszystkim elementarnego klucza do całości, tj. pojmowania istoty kapłaństwa, oraz nie słychać należytego alarmu z powodu konsekwencji i zagrożeń dla samych wiernych związanych z tą postępującą erozją stanu kapłańskiego.

Poruszając problematykę religijnej zapaści, nikomu nie powinno być do śmiechu, a kwestia ta już li tylko z punktu widzenia tożsamościowego powinna angażować zarówno wierzących, jak i niewierzących. Wprawdzie w swym proimigranckim dyskursie podczas odwiedzin Hiszpanii papież Leon XIV przestrzegał jej rdzennych mieszkańców przed kierowaniem się prerogatywami własnej tożsamości, niemniej bardziej świecki apostoł naszego odrodzenia narodowego, Roman Dmowski, słusznie był zauważył, że katolicyzm i polskość na przestrzeni wieków trwale złączyły się w jedno ciało narodowe, współtworząc je nierozerwalnie. Historycznie jest to fakt oczywisty, a jeśli ktoś, z racji urazy do Kościoła, przyjąć do wiadomości go nie chce, to niech wspomni francuskich ateistów, agnostyków czy żydów pokroju Érica Zemmoura, dziś zawzięcie broniących chrześcijańskiego charakteru Francji jako jednego z decydujących elementów tamtejszej tożsamości narodowej. Ze stopniowego zaniku kleru, wiernych czy wiary nikomu zatem nie powinno być do śmiechu, ponieważ w myśl truizmu słusznie podkreślonego przez Dmowskiego Polska bez autentycznego katolicyzmu stanie się na dłuższą metę innym tworem, zrywającym ze swą historycznie wykształconą tożsamością narodową.

Drugim powodem, naświetlającym w dodatku ten pierwszy, dla którego akurat sam stopniowy zanik kleru nie powinien być nikomu do śmiechu, również tym, którzy ochoczo czynią z duchownych przedmiot szyderstw, to – przywołując tym razem słowa umierającego Szopena do jego przyjaciela, ojca zmartwychwstańca – fakt, że bez księdza człowiek równie dobrze zdycha jak pies. Otóż mniemam, że spora część Polaków – niezależnie, czy w zgodzie czy na bakier z Dekalogiem, niezależnie od praktyki religijnej – żywi jakąś nadzieję, czasem nawet niewyraźnie uświadomioną, że ostatecznie przejdzie z tego świata do wieczności w zgodzie ze swym Stwórcą i zaopatrzona na ostatnią drogę wspomożeniem sakramentów, których akurat bez księży udzielić nie sposób. Jakkolwiek więc dyskutować o socjologicznym znaczeniu i przyczynach zjawiska zaniku powołań w Polsce (i na Zachodzie w ogóle), trzeba zdać sobie sprawę z tego, co zjawisko to dla nas, również cywilizacyjnie i tak naprawdę po ludzku ostatecznie oznacza. Przyznam, że doświadczenie dekadę temu pogrzebu naszego krajana we Francji, w Pas-de-Calais, który wprawdzie był chowany w kościele, jednakże przez ekipę egzaltowanych świeckich animatorów, zważywszy na prozaiczny fakt braku jakiegokolwiek księdza w szerokiej okolicy, było dla mnie wstrząsające, a jego wspomnienie do dziś wywołuje we mnie mdłości.

STATYSTKI NIE KŁAMIĄ

Tak, statystyki są wymowne: w 2025 r. do formacji kapłańskiej przystąpiło 289 nowych kandydatów, podczas gdy w 2019 r. nowych chętnych było jeszcze 498. W roku akademickim 2025/2026 w seminariach diecezjalnych i zakonnych formowało się łącznie 1453 alumnów – rok wcześniej było ich 1594, w 2019 r. – 2857, w 2015 r. – 3517, a w 2000 r. aż 6789! Spadek ten siłą rzeczy przekłada się na liczbę święconych w Polsce co roku prezbiterów: w 2025 r. było to 211 kapłanów, w 2019 r. – 293 r., a w 1992 r. – 768! Obecny brak zastępowalności powołań oznacza, że liczba kapłanów w Polsce będzie się kurczyć, a spadek ten będzie wyglądał tym bardziej spektakularnie, że charyzmatyczne pielgrzymki do Polski Jana Pawła II przyczyniły się u nas do ewidentnego wyżu święceń, bez których to „zapasów" kadrowych

eprasa.pl ef045d2c96

liczebny stan polskiego duchowieństwa już dziś byłby opłakany.

Ma się rozumieć, te liczby można by szeroko niuansować, a w konsekwencji relatywizować na tle burzliwej historii Polski, jednakże te cenne detale nie zmienią rzeczywistości w postaci stopniowego braku kapłanów do obsadzenia wszystkich parafii w Polsce, których jest obecnie ok. 10 350 (od samego 1989 r. przybyło ich ponad 1,5 tys.). Za nagłówkami o historycznym zejściu poniżej 25 tys. kapłanów w III RP kryje się zatem bolesna prawda o stopniowej redukcji obsady parafii, perspektywa ich fuzji, zwłaszcza na prowincjach, oraz wiele innych eksperymentalnych rozwiązań, które znamy z Kościołów zachodnich, a przed którymi nasze kolektywne imaginarium zbyt często broniło się wyparciem, że nie dotrą one nad Wisłę. Dotrą, tym bardziej że w refleksji nad tym stanem rzeczy pomijana jest moim zdaniem rzecz podstawowa, o czym za chwilę.

W każdym razie nie trzeba być w ogóle prorokiem, aby przewidzieć najprawdopodobniejszy rozwój rzeczy, wystarczy bowiem spojrzeć na scenariusz realizowany systematycznie w poszczególnych pochrześcijańskich krajach Zachodu, dążących gremialnie, choć z niejednolitym tempem, do celu, który francuska historyk Martine Sevegrand określiła w swej pracy z 2004 r., poświęconej analogicznemu załamaniu powołań we Francji, mianem „Kościoła bez księży". Nic zatem, tylko czekać, aż „umiarkowani" progresiści w Polsce będą lobbować za wyświęcaniem żonatych mężczyzn, tj. za zniesieniem reguły celibatu, podczas gdy progresiści już zupełnie heterodoksyjni (acz niczym nieniepokojeni przez hierarchię) będą domagać się także święceń kobiet, co przecież już robi np. kard. Hollerich, skądinąd autorytet dla „drogi synodalnej" w diecezji krakowskiej.

KIM NAPRAWDĘ JEST KAPŁAN?

Mówiąc o niepełności analiz kryzysu powołań, nie twierdzę, że podawane racje są nieprawdziwe lub nieistotne, wręcz przeciwnie. Słusznie mówi się o postępującym procesie sekularyzacji społeczeństwa polskiego, o przesadnym skupieniu na materii i dobrobycie, o erozji zaufania do stanu duchownego na skutek skandali obyczajowych, w tym przestępstw seksualnych na nieletnich, o niżu demograficznym, o kryzysie rodzin – z których przecież winny brać się powołania, itd. Wszystko to jest prawdą i, co ciekawe, o kryzysie powołań informują nie tylko ekscytujące się tym stanem rzeczy media, lecz także sami przedstawiciele Kościoła, i to nie od dziś, a w zasadzie od lat. Wszystkie te racje to zatem prawda, choć tylko półprawda, ponieważ w analizach tych aż rażąco wybrzmiewa brak powodu numer jeden: zanik pojmowania w ogóle tego, kim właściwie jest kapłan, co siłą rzeczy przekłada się na taką, a nie inną liczbę powołań kapłańskich, a także na jakość samej formacji. Laikat, z którego to mają się rekrutować przyszli księża, jest w tej ignorancji w sumie bez winy, ponieważ kler, z którym na co dzień świeccy obcują, nie robi wiele, aby w powszechnej świadomości uzupełnić ten obraz kapłana… który w istocie rzeczy jest ofiarnikiem, jakkolwiek brzmi to dla nas dziś archaicznie i abstrakcyjnie.

Oddaję tu od razu głos św. Pawłowi, który w liście do Hebrajczyków pisał: „Każdy bowiem arcykapłan z ludzi brany, dla ludzi bywa ustanawiany w sprawach odnoszących się do Boga, aby składał dary i ofiary za grzechy" (5, 1). Wprawdzie czynił on aluzję wprost do Aaronowego kapłaństwa Starego Przymierza, jednakże tłumaczył on tym samym kapłaństwo Chrystusowe, w którym uczestniczą kapłani Nowego Testamentu. Choć zatem ksiądz w naszym mniemaniu przejawia się przede wszystkim jako duszpasterz i szafarz różnych sakramentów, to sam kapłan definiuje się głównie poprzez jego władzę i powinność odnawiania w bezkrwawy sposób ofiary Jezusa Chrystusa. Ta zaś nie tylko jest ofiarą doskonałego uwielbienia Boga, lecz także nie mniej skuteczną ofiarą przebłagalną za grzechy ludzkie. Kapłan, w myśl św. Pawła, jest zatem powołany, aby przede wszystkim składać Bogu w imieniu Jezusa Chrystusa Jego ofiarę przebłagalną za grzechy, którą jest Eucharystia i z której, jak uczy św. Tomasz z Akwinu, swoją moc łaski czerpią pozostałe sakramenty.



Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski na Jasnej Górze. Msza św. w Kaplicy Matki Bożej na Jasnej Górze FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

Powszechny, acz stopniowy zanik świadomości tej rzeczywistości w ostatnim półwieczu, który koliduje akurat z półwieczem naznaczonego protestanckim ekumenizmem nowego porządku Mszy Pawła VI, siłą rzeczy musi skutkować stopniową redukcją powołań. Praktyka wskazuje bowiem, że u początku powołania znajduje się quasinaturalna u młodych ludzi gotowość poświęcenia życia dla najwyższych ideałów, a takim jest bez wątpienia przedłużanie w czasie ofiary Chrystusa, tak aby jej owoce były udzielane w każdej epoce i miejscu. Młody człowiek mający choćby zrezygnować z możliwości założenia rodziny, do czego przecież pchają go najsilniejsze instynkty natury, mający na zawsze wybrać życie modlitwy, wyrzeczenia, a nawet pokuty za lud sobie powierzony – innymi słowy, składający swe życie w ofierze razem z Chrystusem – musi to zrobić dla proporcjonalnie wzniosłego celu, którym nie jest np. altruistyczna optyka budowania lepszego świata.

Tu, przez analogię, tkwi odpowiedź na zapaść praktyk religijnych: nie chcemy Kościoła – pisał Chesterton, który zmienia się ze światem (a tym jest przecież per-

W roku akademickim 2025/2026 w seminariach diecezjalnych i zakonnych formowało się łącznie 1453 alumnów – rok wcześniej było ich 1594, w 2019 r. – 2857, w 2015 r. – 3517, a w 2000 r. aż 6789!

eprasa.pl ef045d2c96



manentne posoborowe aggiornamento!), ale który będzie zmieniał ten świat. I tak jak powołanie potrzebuje nadprzyrodzonych ideałów, by rozkwitnąć, tak samo, by przyciągać i pociągać wiernych, Kościół potrzebuje przejawiać nadprzyrodzony misyjny ekskluzywizm arki zbawienia i ocalenia – którą przecież jest z racji ustanowienia Bożego. Tymczasem jawiąc się zazwyczaj światu jako organizacja zajęta głównie sprawami sprawiedliwości społecznej czy pokoju, a więc zagadnieniami, którymi zajmują się również instytucje czysto ludzkie, Kościół ten ekskluzywizm w oczach wiernych po prostu traci, stając się tym samym zbyteczny.

NIEDOJRZAŁY KOŚCIÓŁ?

Dochodzimy tu do pewnego paradoksu, ponieważ we współczesnej historii Polski w sumie nigdy nie było tylu księży, co w czasach III RP, nigdy nie było tylu szkół katolickich i katolickich uczelni wyższych, co obecnie, nigdy nie było tylu wykształconych naukowo duchownych, a nawet zakonnic. Gdzie jednakże są najistotniejsze owoce tej przeobfitości dostępnych środków w postaci pełnych kościołów czy obfitych powołań? Ocena tego stanu rzeczy musi być w konsekwencji surowa, ponieważ zdolność do rozmnażania się, tj. do przedłużenia swego gatunku, jest oznaką dojrzałości danego organizmu, stąd zapaść powołań i odejścia od Kościoła są pewną oznaką wyjałowienia i postępującej bezpłodności.

Nie stawiając ich szczególnie na piedestał ani tym bardziej nie przesądzając, w jaki sposób ich doświadczenia powołaniowe mogłyby być przełożone na cały Kościół powszechny, trzeba podkreślić tajemnicę poliszynela, znaną zresztą polskim biskupom jeszcze od lat 70., a mianowicie, że w skali zarówno globalnej, jak i partykularnej środowiska tradycjonalistyczne najróżniejszych obediencji obserwują na świecie stały rozrost, szczególnie widoczny w aspekcie powołań kapłańskich i zakonnych, a także wiernych. Jest to spójne ze wskazaną przez mnie kwestią ideału kapłana ofiarnika, który jest wyraźnie obecny w tradycyjnej liturgii i związanych z nią organicznie duszpasterstwach, gdzie kładziony jest nacisk na ducha ofiary i wyrzeczenia, bez których to spełnienie powołania czy rozkwit katolicyzmu są niemożliwe. Nie idealizując tych środowisk, stanowiących zresztą co najwyżej promile katolicyzmu w Polsce i na świecie, nie sposób nie odnieść wrażenia, że ich „ekosystem" w postaci tradycyjnych parafii–rodzin–szkół przynosi poniekąd naturalnie owoce wzrostu Kościoła.

Ma się rozumieć, publicystyczne podjęcie tej kwestii wobec szerokiego spektrum czytelników, choć z zamierzenia obiektywne, będzie siłą rzeczy uproszczeniem łatwym do skrytykowania choćby dlatego, że w katolicyzmie powołanie czy wiara nie są zjawiskami przyrodzonymi. Nie trzeba być jednak szczególnie rozeznanym teologicznie ani być nawet wierzącym, by dostrzec, jak paradoksalnie te prosperujące środowiska tradycyjne są co najwyżej tolerowane, w praktyce często wprost odrzucane, jak w przypadku największego z nich, Bractwa św. Piusa X, gdy tymczasem jakiekolwiek daleko idące wsparcie ich apostolatu i funkcjonowania ze strony biskupów jedynie przyczyniłoby się do dalszego wzrostu tej części Kościoła.

Odpowiedzialność za powołania, za seminaria duchowne, za jakość formacji kapłańskiej to bowiem, w pierwszej mierze, zadanie jedno z najważniejszych, każdego z ordynariuszy, od którego zależy praktycznie cała reszta praktyki wiernych. Kiedy niejaki Giuseppe Sarto, przyszły św. Pius X, przybył, jako młody biskup, do diecezji Mantui, zastał seminarium duchowne w stanie pod każdym względem opłakanym, z niespełna 10 alumnami. Jednakże pod wpływem jego osobistego i priorytetowego zaangażowania dwa lata później było ich już przeszło 150! Mimo różnych poważnych przeszkód stojących w dobie obecnej na drodze do urzeczywistnienia potencjalnych powołań kapłańskich i zakonnych następcy apostołów są tymi, którzy z „urzędu" posiadają zdolność przedłużenia Mistycznego Ciała Chrystusa w jego części nauczającej i uświęcającej. I nie chodzi bynajmniej o charyzmatyczną osobowość danego biskupa, a bardziej o trzymanie się sprawdzonych na przestrzeni wieków przez Kościół prawideł umożliwiających quasinaturalny rozkwit tych nadprzyrodzonych darów, których Bóg nie odmawia Kościołowi w żadnej epoce. Innymi słowy – kryzys powołań, współtowarzyszący mu proces erozji katolicyzmu, w skrócie: osławiony już od dwóch dekad w prasie kryzys Kościoła w Polsce, jest w gruncie rzeczy kryzysem stanu biskupiego, przejętego po części przez myśl i cele obce katolicyzmowi, które właściwych katolicyzmowi owoców wydać zwyczajnie nie mogą.

Są jednak liczne powody do nadziei. W sypiącym się świecie antyku i podupadającym Kościele św. Grzegorz Wielki rozpoczął fenomenalne dzieło odnowy od napisania podręcznika biskupiego „Reguła pasterska", chcąc przez pasterzy odnowić kler, a potem wiernych. Z kolei ojcowie Soboru Trydenckiego zaczęli jego dzieło od wzięcia odpowiedzialności za stan ówczesnego świata religijnego, pokornie wyznając: „Przez nas Imię Pańskie bluźnione jest wśród narodów". Te pierwiastki samooczyszczenia tkwią nadal w Kościele, czekając na chwilę Bożą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy prezydent powinien zakładać swoją partię? Odpowiedź brzmi: już nie musi. Przebieg wypadków po wyborach prezydenckich sprawił, że dla wyborców i aktywistów partii umownej prawicy Nawrocki jest dziś liderem znacznie bardziej niż liderzy konkretnych ugrupowań



Partia prezydencka – czy jest na nią miejsce?

Nie tylko formacja rządząca, lecz także cała polska scena partyjna złapały potężną zadyszkę. Wyczerpały się opowieści i hasła, które przez wiele lat wyznaczały ramy debaty publicznej, opatrzyły się twarze liderów, żelazne elektoraty jednocześnie radykalizują się i maleją, rośnie grupa zniechęconych już nie tylko do udziału w życiu publicznym, lecz także śledzenia go. Władza „nie dowozi" i zniechęca do siebie tych, którzy jej przed prawie już trzema laty zaufali, ale opozycja nie umie przekonać do siebie nikogo nowego. Mówiąc obrazowo, polska polityka zaczęła przypominać jazdę zdezelowanym samochodem: kierowca nieustannie dodaje gazu, ale silnik zamiast przyśpieszać, tylko coraz głośniej wyje, cały wehikuł trzęsie się, jakby zaraz miał się rozpaść, ale na razie jakoś się nie rozpada. Sondażowe słupki w zasadzie stoją w miejscu.

Liderzy opozycji wciąż liczą na przełom w nastrojach, rządzący na to, że stan ogólnego wyczerpania utrzyma się do następnych wyborów, w których ostateczne zwycięstwo uda im się wymęczyć, konsolidując kilkuprocentowe elektoraciki koalicjantów, w świetle sondaży niemających już szans na samodzielne wejście do Sejmu.

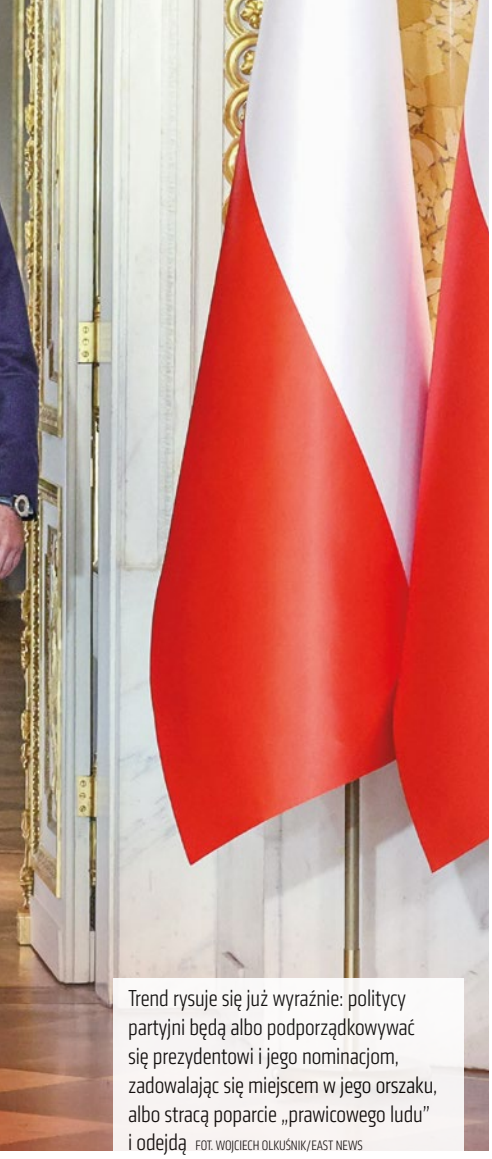
MARTWE MITY

Przez dziesięciolecia polską polityką rządziły dwa mity. Pierwszym był mit „oni znikną". Strona, umownie, liberalno-postępowa czerpała tę wiarę z deterministycznej wizji nieuchronności postępu. Powtarzamy wiernie, acz z opóźnieniem, drogę Zachodu, więc tak jak tam katolicy, patrioci, patriarchat, kruchta czy jakkolwiek zwać „wymrą jak dinozaury". Prawica zaś analogiczną pewność całkowitego wyeliminowania przeciwnika zbudowała na mickiewiczowskiej wizji „lawy", rozsadzającej nieuchronnie „suchą i plugawą" skorupę: naród się „przebudzi" i pogoni „łże-elity" precz.

Drugi, jeszcze bardziej szkodliwy mit to obezwładniające całą klasę polityczną przekonanie, że nie trzeba niczego robić, niczego wymyślać, bo sprawy idą same z siebie. Wróciliśmy na łono Zachodu, stamtąd – najpierw z Banku Światowego i MFW, potem z Unii Europejskiej – płyną wytyczne „reform", normy i dyrektywy, które trzeba implementować, oraz pieniądze, które trzeba wydawać zgodnie z otrzymaną rozpiską. I to wszystko. Żadnych wizji, żadnego formułowania własnych interesów. Cała polityka była tylko „meczem o miejsce w historii", a tak naprawdę o prestiż i apanaże płynące z namiestniczej w swej istocie władzy.

Nie trzeba długo tłumaczyć, że oba te mity są martwe. Podział tożsamościowy, na którym oparli swą dwuwładzę Kaczyński i Tusk, nie był przejściowym zawirowaniem „czasów transformacji", w której rzekomo ci lepsi się odnaleźli, a ci gorsi nie, więc (pardon, ale to „mowa pozornie niezależna") niech zdychają, im szybciej, tym lepiej; nie był też skutkiem niedokończenia solidarnościowej rewolucji, którą wystarczy doprowadzić do etapu pełnej wymiany elit. Jest to podział głęboki, „klasistowski", zakorzeniony w polskiej historii i będziemy się z nim zmagać jeszcze długo. A beztroska wizja Zachodu jako instytucjonalnego raju, gdzie wszystko wiedzą, wszystko potrafią i wszystkim tym nas bezinteresownie uszczęśliwią, w obliczu wstrzą-

eprasa.pl ef045d2c96



Trend rysuje się już wyraźnie: politycy partyjni będą albo podporządkowywać się prezydentowi i jego nominacjom, zadowalając się miejscem w jego orszaku, albo stracą poparcie „prawicowego ludu" i odejdą FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

sów przetaczających się przez liberalne demokracje stała się wręcz groteskowa. Kraje, które dla wciąż rządzącego pokolenia 60-latków pozostają niedoścignionym wzorem, dla młodszych są miejscem, gdzie nie ma szybkiego Internetu i aplikacji bankowych, a ulice są brudne i strach nimi chodzić.

Ta ostatnia okoliczność przesądza o nieuchronnej klęsce obozu liberalno-postępowego, którego politycznym królem został Donald Tusk. Ugruntował swą władzę i zniszczył wszystkich potencjalnych następców, instytucjonalnie, wydawałoby się, nic mu nie zagraża. Ale podstawa jego popularności – przekonanie większości Polaków, że to on jest najlepszym pasem transmisyjnym między zachodnim dobrobytem i ogólną lepszością a polskim zaściankiem – skruszała. Pozostała tylko, jako jedyna legitymizacja, zapiekła nienawiść do klas niższych sfrustrowanej „klasy średniej" (tzn. uważającej się za takową), obsługiwana coraz bardziej sklerotycznie i groteskowo pozorowanymi „rozliczeniami".

Jak dotąd to jej frustracja nie obraca się przeciwko Tuskowi, ponieważ jego wyborcy, choć rozczarowani i ubożejący, nie widzą żadnej alternatywy. PiS zakrzepł w sanacyjnym przekonaniu, że „nowa elita", która zastąpi tę złą, to kadry partyjne wyselekcjonowane przez Komendanta pod kątem wierności i ideowości, a kluczem do dobrobytu jest państwo i obsadzone tymi kadrami państwowe spółki. W sferze idei nie ma do zaoferowania nic więcej niż celebrowanie „poległych w Smoleńsku" i bogoojczyźnianych symboli.

Sprowadza to całą aktywność PiS do bieżących połajanek, w których nawet celne punktowanie konkretnych błędów, zaniechań i klęsk rządu nie daje mu żadnej premii, skoro to wciąż ten sam PiS, który, generalnie, u władzy realizował ten sam paradygmat, że źródłem rozwoju i dobrobytu są unijne pieniądze i powiązane z nimi kamienie milowe. Nie jest ważne, czy słuszną krytykę tego, co sam kiedyś robił i od czego nigdy się nie odciął PiS, prowadzi akurat Przemysław Czarnek czy prowadzić ją będzie, być może, znowu Mateusz Morawiecki: przekaz „my umieliśmy administrować sprawniej" nie wystarczy. Tak długo, jak PiS pozostaje tym samym PiS, który rządził osiem lat i upiera się, że robił to doskonale, tak długo Tusk i jego koalicja będą dla wyborców tą drugą żoną, którą może i chętnie by już porzucili, ale nie po to, by wracać do pierwszej.

W roli kandydatki na trzecią żonę obsadza się od dawna Konfederacja, ale od wyborów prezydenckich dzieje się z nią coś dziwnego, szczególnie ze Sławomirem Mentzenem. Przywódca Nowej Nadziei wypalił się w mało poważnych uszczypliwościach wobec PiS, które jeśli przyniosły jakiś pożytek to Grzegorzowi Braunowi. Zajęty atakowaniem PiS i (przypadek Ewy Zajączkowskiej-Hernik) czyszczeniem własnej partii z ludzi mogących go przerosnąć, zupełnie zaniedbał pracę nad przekonywaniem elektoratu, jakby zakładając, że jest mu on dany i wystarczy tylko poczekać, aż PiS upadnie, a oglądacze TikToka dorosną do wieku wyborczego. Tymczasem korwinowski przekaz liberalny stał się niepostrzeżenie anachronizmem. Obniżanie podatków – by potraktować to hasło pars pro toto – które w czasach Reagana i Thatcher oznaczało obniżanie cen i poprawę losu konsumenta, w czasach oligopolu wielkich korporacji oznacza tylko zwiększanie ich i tak już patologicznie wielkiej marży. A argument „my jeszcze nie rządziliśmy" działa słabo, gdy nie towarzyszy mu przekonująca wizja, jak będziemy rządzić, gdy wyborcy nam to powierzą, i dlaczego lepiej od poprzedników.

Notowania Konfederacji jako całości stoją w miejscu, natomiast sondaż przeprowadzony tylko wśród jej zdeklarowanych wyborców pokazuje, że o ile kiedyś część „korwinowska" zdecydowanie dominowała nad „narodową", o tyle obecnie ich poparcie jest mniej więcej równe. To niewątpliwie sukces Krzysztofa Bosaka, który uczciwie zapracował na miano najbardziej merytorycznego i najlepiej przygotowanego polskiego polityka. Nie ma on jednak charyzmy przywódcy, który mógłby oczarować i pociągnąć za sobą masy.

Tym, czego Polacy najbardziej potrzebują, jest przywódca, który opowie im marzenie o Wielkiej Polsce, dostatniej i bezpiecznej

Najmniej ze wszystkich graczy można wciąż powiedzieć o Grzegorzu Braunie. Umiejętnie zagospodarował on emocje antyukraińskie i antyizraelskie, odebrał sporą część zniechęconego do PiS elektoratu „bogoojczyźnianego" i wyraźnie pokazał, przeciwko czemu jest. Co do ujawnienia, za czym jest i co postuluje, najwyraźniej czeka na właściwy moment.

Obóz rządzący wydaje się swoje nadzieje opierać na powtórce kilkakrotnie już powtórzonego z sukcesem zagrania: sprokurowaniu na wybory nowej partii, która pozbiera głosy zniechęconych Tuskiem, ale wciąż nienawidzących Kaczyńskiego. Tym nowym Palikotem czy Hołownią zdaniem

eprasa.pl ef045d2c96

wielu miał być Rafał Brzoska, namawiany skądinąd do zaangażowania w czynną politykę przez środowiska biznesowe, które czują się zdradzone zarówno przez etatystyczny na wzór sanacyjny PiS, jak i etatystycznych po brukselsku „liberałów" Tuska. Inną polityczną plotką jest powrót Leszka Millera, od pewnego czasu bardzo aktywnego w mediach i prezentującego w nich przekaz zaskakująco „prawicowy". Złośliwi twierdzą, że Millera napędza chęć zemsty na Czarzastym. Ale czy realne jest wyrwanie niszowego elektoratu postkomunistycznego z obozu „unijczyków"? I czy stary numer z „nową siłą" może się raz jeszcze powieść?

Jakkolwiek patrzeć – wszystkie ruchy możliwe w obecnej partyjnej układance to już tylko, jak ujął to klasyk politycznego bon motu, „kręcenie filiżanką w szklance bez cukru". Narasta potrzeba „czegoś nowego".

Poszukiwanie tego „nowego" trzeba zaczynać, nie jak to czynią przyzwyczajeni do patrzenia na krótki dystans komentatorzy, od personaliów – ale od opowieści. Takie opowieści mieliśmy dotąd w III RP trzy: „dorabiajmy się", przez pierwsze półtorej dekady, „dorobiliśmy się, ale większość nic nie dostała, podzielmy owoce sukcesu równo" – w latach PiS, wreszcie „dorobiliśmy się, podzieliliśmy, teraz symbolicznie wyjdźmy z zaścianka", która pozwoliła odsunąć PiS w roku 2023.

W OTĘPIENIU

Spójrzmy na Polskę z dystansu. Kraj według danych Davos największego sukcesu ostatnich 35 lat, piąty w Unii Europejskiej, ocierający się o pierwszą dwudziestkę światowych gospodarek i wciąż dynamicznie się rozwijający. Do tego doszliśmy z poziomu zrujnowanej sowieckiej kolonii. W tym samym czasie państwa zachodniej Europy, bogate, dostatnie, dobrze urządzone, w które się zapatrzyliśmy, głupią polityką doprowadziły się do ruiny w każdej właściwie dziedzinie. Mimo to nadal jesteśmy w te kraje zapatrzeni, czujemy się przy nich „brzydką panną bez posagu", w dodatku głupią, i nie wyobrażamy sobie, że moglibyśmy robić cokolwiek innego niż to, co nam każe „Europa". Okazujemy kompleksy nawet w konfrontacji z oligarchami z Ukrainy, którym pozwalamy na wszystko. Ich kraj stracił w ostatnich latach kilkanaście milionów obywateli (także na naszą rzecz – mimo fatalnej demografii w Polsce żyje dziś o 15 mln więcej ludzi niż na Ukrainie), jest zrujnowany i funkcjonuje tylko dzięki amerykańskiej pomocy. A jednak straszenie, że Wołodymyr Zełenski może zbojkotować konferencję w Gdańsku i nie dać nam zarobić przy powojennej odbudowie, działa.

Przecież to chore! Polacy żyją w jakimś otępieniu, które nie pozwala im rozeznać właściwie swoich możliwości.

Tym, czego Polska najbardziej potrzebuje, jest przywódca, który im je uświadomi, opowie im marzenie o Wielkiej Polsce, dostatniej i bezpiecznej, przywódca, który przekona obywateli, że wie, jak ich wyprowadzić z katastrofy, w którą stacza się Unia Europejska, i ma dla Polski inną drogę, niż „słuchać albo Niemiec, albo Ameryki".

Partie polityczne ewidentnie nam nie wyszły, więc w grę wchodzi tylko prezydent. Tym bardziej że prezydentem jest jedyny w tej chwili w Polsce polityk, który łączy popularność i zaufanie z młodością i świeżością

Czego wymaga ta opowieść, by być wiarygodna? Przekonania Polaków, że ich państwo nie musi być „państwem z dykty". Że jego powszechnie odczuwana dysfunkcjonalność, wrogość wobec obywatela, niesprawiedliwość i nieskuteczność to nie immanentne cechy polskości, tylko skutki fatalnego dealu z Magdalenki „władza za gwarancje bezkarności i zachowania przywilejów". Mówiąc krótko, Polacy, zawsze nieufni wobec władzy, wydają się dojrzewać do pogodzenia się z myślą, że komuś jednak trzeba realną władzę dać. Komu? Partie polityczne ewidentnie nam nie wyszły, więc w grę wchodzi tylko prezydent. Tym bardziej że prezydentem jest jedyny w tej chwili w Polsce polityk, który łączy popularność i zaufanie z młodością i świeżością.

Rzecz w tym, że polityk ten jako prezydent nie ma władzy. Mają je partie. Jest więc oczywiste, że aby zmienić konstytucję i dokonać resetu, potrzebuje on własnej partii. Dużej, zdolnej przeprowadzić i zdecydowanie wygrać batalię o wielki reset państwa polskiego. Swego czasu wyobrażałem sobie, że Karol Nawrocki odegrać może rolę patrona sojuszu partii „prawicowych", w którym byłoby też miejsce dla ewentualnej propolskiej lewicy, sojuszu, w którym wiodącą rolę odgrywaliby jednak partyjni liderzy. Tak byłoby, gdyby liderzy ci wykorzystali zwycięstwo Nawrockiego i doprowadzili do szybkiego upadku Tuska. Zamiast tego kłócili się między sobą, pozwalając Tuskowi wyjść z kryzysu. Okazana wtedy krótkowzroczność i słabość partii narzucają więc inne rozwiązanie: stopniowe zdominowanie ich przez „drużynę Nawrockiego", którą, jeśli jeszcze tego nie robi, powinien prezydent niezwłocznie zbudować, wykorzystując zasoby, jakie wokół siebie skupił.

NATURALNY LIDER

Czy prezydent powinien zakładać swoją partię? Odpowiedź brzmi: już nie musi. Przebieg wypadków po wyborach prezydenckich sprawił, że dla wyborców i aktywistów partii umownej prawicy Nawrocki jest dziś liderem znacznie bardziej niż liderzy konkretnych ugrupowań. Za przełomową należy tu uznać konfrontację w sprawie obsady stanowiska I prezesa SN. Jarosław Kaczyński próbował na prezydencie wymusić podporządkowanie się, włączyły się w to najbardziej wpływowe prawicowe media w przekonaniu, że to one sprawują „rząd dusz" na prawicy. Po kilku dniach musiały się z antyprezydenckiej kampanii wycofać – nie jest żadną tajemnicą, że z powodu fali mocno artykułowanego oburzenia widzów i czytelników. Trend rysuje się już wyraźnie: politycy partyjni będą albo podporządkowywać się prezydentowi i jego nominacjom, zadowalając się miejscem w jego orszaku, albo stracą poparcie „prawicowego ludu" i odejdą.

Krótko po wyborach nagrałem film – parafrazując hasło Praskiej Wiosny – Karol na Hrad! Niektórzy odebrali to jako żart. Nie, nie jest to żart. Na wyjałowionej scenie partyjnej nic już nowego nie wyrośnie, a historia przyśpiesza i dla „państwa z dykty" nie ma w tym punkcie mapy miejsca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Dobra sztuka sama się nie obroni



Łukasz Warzecha

Propozycje minister kultury oznaczają, że do kategorii „artystów" i na specjalne prawa załapie się zarówno wybitna skrzypaczka, grająca muzykę dawną, jak i „twórca performatywny", którego „dzieło" polega na publicznym nasikaniu w czterech kątach sali wystawowej w muzeum Rafała Trzaskowskiego

Największy – moim zdaniem – kompozytor wszech czasów, Jan Sebastian Bach, pracował ciężko przez całe życie aż do śmierci, która nadeszła, gdy miał 65 lat, w roku 1750. Według obecnych polskich kryteriów wieku emerytalnego by nie doczekał. Przez te 65 lat zatrudniano go nie dlatego, że miał jakiś certyfikat artysty, ale dlatego, że przeszedł kwalifikacje i uznano, że jego umiejętności są w danym miejscu potrzebne. Czy był to Weimar, czy małe Arnstadt, czy dwór w Köthen, czy wreszcie Lipsk, gdzie Bach osiadł na stałe w 1723 r. – wszędzie tam kryteriami zatrudnienia twórcy „Sztuki fugi" były jego przydatność i atrakcyjność jego muzyki dla odbiorców.

Jego rówieśnik, urodzony w tym samym 1685 r. Jerzy Fryderyk Händel, zwłaszcza po zapuszczeniu korzeni w Anglii, musiał się starać o przychylność publiczności, tak aby ta ciągnęła do jego teatru na jego opery, chciała słuchać jego oratoriów i kupowała wypuszczane przez niego kompozycje, przeznaczone do wykonywania przez amatorów.

Właściwie cała sztuka, która powstawała aż do XX w., opierała się na takim modelu – czy mówimy o malarstwie, muzyce czy o rzeźbie albo architekturze: aby się utrzymać, artysta musiał mieć klientów. Jego twórczość musiała być atrakcyjna. Nie mówimy oczywiście o kupowaniu biletów, bo model muzealny pojawił się dopiero w XIX w. Sztukę finansowali ci, którzy mieli pieniądze: możni mecenasi (jak książę Leopold von Anhalt-Köthen w przypadku Bacha w Köthen czy kard. Pietro Ottoboni w przypadku Händla w jego okresie rzymskim) albo dysponenci publicznego grosza w postaci samorządów – jak rada miasta Lipska w przypadku Bacha albo rada miasta Hamburga w przypadku Jerzego Filipa Telemanna, innego wybitnego niemieckiego kompozytora epoki baroku. Ważne było, aby dzieła zyskiwały uznanie odbiorców, budziły szacunek u przeciętnego widza czy słuchacza, wzmacniały prestiż mecenasa.

SZTUKA W SŁUŻBIE IDEOLOGII

Wszystko prawie, co uznajemy dzisiaj za najwybitniejszą twórczość od starożytności do XX w., powstawało na zamówienie. Rzec by można: na zasadach komercji i rynku. Oczywiście artyści tworzyli także okazjonalnie z własnej inicjatywy – o ile mieli z czego się utrzymać, produkując zarazem to, co ktoś chciał kupować. Bach swoją „Sztukę fugi" skomponował pod koniec życia właśnie z wewnętrznej potrzeby. Nie zrobiłby tego jednak, gdyby szkoła św. Tomasza i stanowisko lipskiego kantora nie dawały jemu i jego rodzinie utrzymania. A nie był to łatwy kawałek chleba.

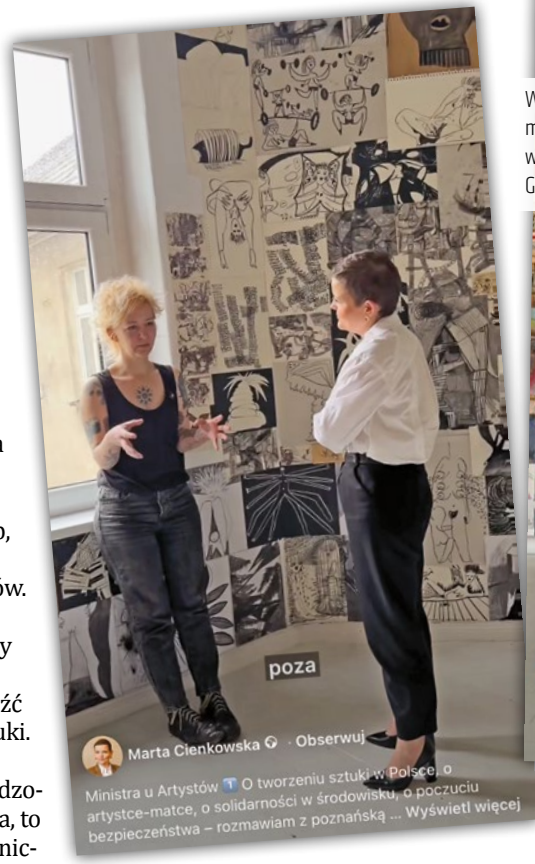
Ten model zaczął być kruszony w XIX w., a w wieku XX posypał się już mocno, gdy sztuka została wciągnięta w służbę ideologii. Nie było ważne, czego ludzie chcą słuchać albo co oglądać. Rządy, zwłaszcza totalitarne, zabierały ludziom pieniądze, po czym wydawały je m.in. na artystów, aby ci obsługiwali ich ideologiczne zapotrzebowania. Narodowy socjalizm w Niemczech i komunizm w bloku wschodnim w tym przodowały.

Wiek XX to również wiek socjalu i potężnego rozciągnięcia ochrony państwa na różne grupy społeczne. Model działania artystów, który przez wieki dawał zachodniej cywilizacji największe i najwspanialsze dzieła sztuki, budzące podziw do dzisiaj, został uznany za anachroniczny. Artyści zaczęli dostawać certyfikaty, a państwa przejęły ogromną część finansowania sztuki, która stała się narzędziem polityki. Gdyby wciąż działał mechanizm, który dał nam Bacha, Heinricha Schütza, Michała Anioła czy Leonarda da Vinci, w Warszawie nigdy nie pojawiłoby się coś takiego jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Ba, nie pojawiłaby się nawet żadna „sztuka nowoczesna". Dziwactwa, zahaczające o zboczenia, w rodzaju „Merda d'artista" („Gówna artysty"), czyli odchodów „artysty" Piera Manzoniego, zapakowanych w puszki opatrzone stosowną etykietą (rok 1961), nie miałyby racji bytu. Tego typu ekstrawagancje mogły zaistnieć jedynie

eprasa.pl ef045d2c96

dzięki temu, że pojawiły się publiczne pieniądze na promocję takiej „sztuki".

Przykłady podobnych „dzieł" pokazał w swoim znakomitym filmie „Why Beauty Matters" („Dlaczego piękno jest ważne") z 2009 r. nieżyjący już sir Roger Scruton. Można by z powodzeniem postawić obok nich bohomazy „artystki", którą niedawno na filmiku z własnym udziałem pokazała minister kultury Marta Cienkowska. Pragnęła w ten sposób dowieść, że wszyscy podatnicy powinni się składać na specjalne uprawnienia socjalne osób, uznawanych przez „instytucję" (to termin z projektu ustawy) za artystów. „Dzieła" pokazywanej „artystki" to schematycznie nabazgrane gołe baby z wiszącymi, za przeproszeniem, cycami. Czyli coś, co mogłoby się znaleźć na ścianie toalety, a nie w galerii sztuki. Ale ponieważ pani, która te mazaje wykonuje, została osobiście zatwierdzona przez panią minister jako artystka, to z racji swojego wyjątkowego posłannictwa miałaby mieć również nadzwyczajne uprawnienia socjalne.





W ramach promocji swoich propozycji minister Marta Cienkowska nagrała wideo ze spotkania z poznańską malarką Gosią Bartosik FOT. MARTA CIENKOWSKA/FACEBOOK

DWA SKRAJNE STANOWISKA

Tutaj dochodzimy do aktualnego sporu. Gdy obecny rząd zaprezentował kolejną wersję pomysłu na dopieszczenie artystów – kolejną, bo wcześniej dwie wersje oparte na identycznym założeniu prezentował rząd Prawa i Sprawiedliwości – pojawiły się dwa skrajne stanowiska. Pierwsze wspiera propozycje Cienkowskiej, drugie – Sławomira Mentzena, który uznaje, że sztuka powinna się co do zasady finansować sama.

Pod tym pierwszym stanowiskiem podpisało się wielu moich znajomych artystów, głównie muzyków zajmujących się muzyką dawną, a więc taką, która – co może zaskakiwać – cieszy się w Polsce całkiem sporym zainteresowaniem, gdy idzie o koncerty. Również poza dużymi miastami – a bywałem i na takich. Mogę zrozumieć, skąd bierze się to nastawienie: z poczucia niepewności, niedocenienia, trudnej walki o pieniądze. Mój znajomy dyrygent opowiadał mi kilka lat temu, jak ogłoszono nabór na waltornistę do jednej z orkiestr filharmonicznych, gdzie wówczas pracował. Zgłosiło się kilkadziesiąt osób, aby tylko mieć etat. Czy jednak nie świadczy to, mówiąc brutalnie, o tym, że w Polsce kształci się zbyt wielu waltornistów?

Pod tym drugim stanowiskiem z kolei podpisują się integralni zwolennicy wolnego rynku, którzy wyobrażają sobie, że „dobra sztuka sama się obroni" i sfinansuje, a państwo nie powinno w tym w ogóle brać udziału. Oba te stanowiska są błędne i opierają się na nieporozumieniu oraz skrajnych postawach, które – jak to skrajności – nie uwzględniają istotnych czynników.

Przede wszystkim system, proponowany kiedyś przez PiS, a teraz przez rząd Donalda Tuska (różnice pomiędzy nimi są, ale nie mają większego znaczenia, bo istota jest ta sama: specjalne socjalne wsparcie dla artystów), jest niesłusznie utożsamiany ze wsparciem dla sztuki czy bardziej generalnie: kulturowej tożsamości. To jednak coś całkiem innego. Proponowane kiedyś przez PiS, dzisiaj przez KO nadzwyczajne wsparcie dla artystów oparte jest na dwóch założeniach. Po pierwsze: specjalna komisja (kiedyś miała to być Polska Izba Artystów, teraz owa niesprecyzowana „instytucja") uznaje, kto jest artystą, i robi to na podstawie czysto urzędniczego kryterium, powiązanego z kategorią praw autorskich. Oznacza to, że do kategorii „artystów" i na specjalne prawa załapie się zarówno wybitna skrzypaczka, grająca muzykę dawną, jak i „twórca performatywny", którego „dzieło" polega na publicznym nasikaniu w czterech kątach sali wystawowej w muzeum Rafała Trzaskowskiego. Po drugie: artyści mają uzyskać specjalne uprawnienia socjalne, czyniące z nich wyodrębnioną grupę, przypominającą te już istniejące, takie jak mundurówka czy sędziowie. Trudno znaleźć rozsądne uzasadnienie i dla jednego, i dla drugiego założenia – zwłaszcza jeśli potraktuje się je łącznie.

Wsparcie dla sztuki, a więc dla utrzymania i obecności w publicznej sferze najważniejszych dla naszej kulturowej tożsamości dzieł jest czymś innym – ale Cienkowska chciałaby zmieszać jedno z drugim i przekonać podatników, że gwarantując dopłaty do ubezpieczenia dla autorki bohomazów, ukazujących kobiety z obwisłymi cycami, dbamy o kulturowe podstawy naszej cywilizacji. Tak nie jest. Dbałość o te podstawy to finansowanie konserwacji wybitnych dzieł sztuki, dbanie o zabytki architektury, lecz również jasny, sensowny system wspie-

eprasa.pl ef045d2c96

rania niematerialnej sztuki wysokiej, przede wszystkim muzyki klasycznej. Takie wsparcie jest oczywiście również formą pośredniego wspierania artystów albo ludzi w inny sposób parających się sztuką: muzealników, konserwatorów, muzyków. Ważne jest jednak właśnie to, że wsparcie jest pośrednie.

Stanowisko integralnie liberalne, a nawet bardziej libertariańskie, w którym nie ma miejsca na wydawanie publicznych pieniędzy na jakąkolwiek sztukę, jest w polskich warunkach oderwane od realiów, a także od kulturowego paradygmatu tożsamości kulturowej. Jeśli bowiem uznajemy, że naszą zachodnią, europejską, a konkretniej – polską tożsamość kształtuje dorobek kulturowy poprzednich wieków, to ochrona tego dorobku i dbanie, aby był w sferze publicznej obecny, są bezwzględnie obowiązkami państwa. Nie da się jednocześnie lamentować nad kulturowym staczaniem się pod wpływem mediów społecznościowych czy inwazji obcych cywilizacyjnie imigrantów i zarazem protestować przeciwko wspieraniu z publicznych pieniędzy konserwacji i eksponowania dzieł Rembrandta albo wystawianiu oper Wolfganga Amadeusza Mozarta. Jeżeli uświadamiamy sobie, że jesteśmy w trakcie wojny o utrzymanie tożsamościowych podstaw zachodniej cywilizacji, to musimy też dbać, żeby artystyczna warstwa tychże była odpowiednio dofinansowana.

Nie da się tego niestety zrobić na zasadach czysto rynkowych. Kto choć trochę interesował się tą sferą od strony finansowej, ten wie, że poleganie jedynie na wpływach z biletów albo na prywatnym wsparciu jest nierealne. Bilety do muzeów, szczególnie tych największych, musiałyby kosztować po kilkaset złotych, na niektóre koncerty – grubo powyżej tysiąca. A i to mogłoby nie wystarczyć. Konserwacja jednego wybitnego dzieła sztuki potrafi kosztować kilka milionów złotych. Przyjazd wybitnej orkiestry, nawet kameralnej, to koszty idące w setki tysięcy złotych.

W tym momencie pojawia się pytanie, w jaki sposób decydować o tym, na co pieniądze idą, a na co nie. Jak sprawić, żeby Polacy mogli posłuchać na żywo muzyki Antonia Vivaldiego albo Mikołaja Zieleńskiego czy też oglądać nadal u Czartoryskich „Damę z łasiczką", ale aby kasa nie szła na bazgroły, obieranie ziemniaków w ramach „performansu" albo jakąś kolejną wersję „Fontanny" Marcela Duchampa. Nie ma tu prostej odpowiedzi, choć najoczywistsza brzmi: zdrowy rozsądek. Do niego odwoływał się we wspomnianym filmie oraz w książkach poświęconych muzyce i bardziej ogólnie – sztuce sir Roger Scruton. Wybitny brytyjski filozof wskazywał, że absurdem jest twierdzenie, że „o gustach się nie dyskutuje", a każda muzyka jest warta tyle samo. Lub też, jak śpiewał w piosence „Postmodernizm" Jacek Kaczmarski:

Wszystkie mody, wszystkie style
równie piękne są – i tyle
(Lub, jak chcesz, równie szkaradne –
Konsekwencje tego żadne).

Jeżeli odstawi się na bok przemądrzałych ekspertów i teoretyków sztuki, to bez trudu odróżni się to, co wartościowe, od tego, co bezwartościowe.

KRYTERIA CZASOWE

Jeśli jednak mówimy o państwowym systemie wsparcia, to trzeba oczywiście ustanowić możliwie obiektywne kryteria. Być może powinny to być po prostu kryteria czasowe. Może należałoby arbitralnie postawić granicę, do której sztuka jest uznawana za utrwalone dziedzictwo kulturowe. Można też stworzyć system wspierania przez państwo tych przedsięwzięć, które cieszą się zainteresowaniem same z siebie. Tego typu propozycję przedstawiła dwa lata temu krakowska Fundacja inCanto, organizująca festiwale muzyki dawnej Musica Divina i Rezonanse. Proponowała ona, żeby wsparcie państwa było proporcjonalne do wsparcia, jakie dane przedsięwzięcie otrzymuje od publiczności. Można sobie wyobrazić różne konkretne mechanizmy, których wspólną podstawą powinno być kilka zasad.

Jeżeli uświadamiamy sobie, że jesteśmy w trakcie wojny o utrzymanie tożsamościowych podstaw zachodniej cywilizacji, to musimy też dbać, żeby artystyczna warstwa tychże była odpowiednio dofinansowana

Po pierwsze – eliminacja finansowania „sztuki" współczesnej, motywowanej ideologicznie. Nie widzę żadnego powodu, dla którego polskie państwo miałoby dotować udział Polaków chociażby w weneckim Biennale sztuki współczesnej, gdzie regułą jest pokazywanie absurdalnych dziwactw. W tym roku podobno najsilniej oblegany był pawilon austriacki. Może dlatego, że zainstalowano w nim kilka projektów z udziałem nagich „performerek". Szczególną atrakcją był basen, w którym pływała goła kobieta w masce, napełniony sikami widzów, którzy namawiani byli do korzystania z sąsiadujących z basenem toalet, aby ów basen zasilić.

Polskę reprezentowała instalacja „Języki z wody" autorstwa – jak sami się przedstawiają – „osób artystycznych": Bogny Burskiej i Daniela Kotowskiego. Szacunkowy koszt corocznego udziału Polski w tym kabarecie to przynajmniej milion złotych, a na ogół więcej.

Po drugie – powiązanie poziomu wsparcia z publicznych pieniędzy z autentycznym zainteresowaniem odbiorców. W zasadzie regułą jest – obserwowałem to wielokrotnie w muzeach – że wystawy sztuki współczesnej, wypełnione koncepcyjnymi dziwactwami, świecą pustkami lub zwiedzający przemykają przez nie w zawrotnym tempie, podczas gdy wystawy klasyki przyciągają tłumy, jak choćby świetna monograficzna wystawa Józefa Chełmońskiego, która w ubiegłym roku pojawiła się w muzeach narodowych w Krakowie, Warszawie i Poznaniu.

Po trzecie – możliwie precyzyjne określenie, co zaliczane jest do kanonu kulturowego, który powinien podlegać szczególnej ochronie, a więc także powinien być w pierwszej kolejności wspierany przez państwo finansowo.

Dotychczas żaden z rządów – ze szczególnym uwzględnieniem rządu PiS, który mocny był w deklaracjach, ale słaby w działaniach – nie miał odwagi odciąć pieniędzy dla ideologicznych pseudoartystycznych dziwactw, za to chętnie podlizywano się artystom, chcąc ich mieć po swojej stronie. Czas to zmienić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Pięknoduchy kontra obsesjonaci



Palestyńscy demonstranci w starciu z żydowskimi osadnikami w Kalkilji na Zachodnim Brzegu, 2 sierpnia 2022 r.
FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES



Filip Memches

Do minister kultury i dziedzictwa narodowego został skierowany list otwarty z apelem o zawieszenie polsko-izraelskiej współpracy kulturalnej. Sygnatariuszom tego pisma zarzucono powielanie klisz antysemickich. Czy słusznie?

Na polskiej lewicy znów się kłócą o Izrael. Tak krótko można skomentować spór wywołany „Listem otwartym ludzi kultury do minister kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej". Za inicjatywą tą stoi tłumacz, krytyk literacki, wydawca Krzysztof Cieślik. Pod listem, o którym mowa, podpisało się mnóstwo osób – niby z różnych środowisk, ale nie przypadkiem rzucają się w oczy nazwiska ludzi kojarzących się z lewą stroną polskiej debaty publicznej. To choćby publicyści: Kinga Dunin, Artur Domosławski, Roman Kurkiewicz czy Przemysław Wielgosz.

Sygnatariusze listu zaapelowali do minister Cienkowskiej o zawieszenie polsko-izraelskiej współpracy kulturalnej. A ściślej rzecz ujmując, ruch ten miałby być wykonany przez polski resort kultury wobec tych izraelskich instytucji, które pozostają bierne (cokolwiek to znaczy) w stosunku do brutalnych działań Izraela wobec ludności palestyńskiej w Strefie Gazy oraz Libanu. Państwo izraelskie zostało oskarżone o praktyki ludobójcze. W liście zatem zawarto postulat, aby potraktować Izrael jak Federację Rosyjską po ataku jej wojsk na Ukrainę w roku 2022.

W chwili, w której powstaje niniejszy tekst, pismo skierowane do minister Cienkowskiej pozostaje bez jej odpowiedzi. Natomiast spotkało się ono z reakcją ludzi, którzy zarzucili jego sygnatariuszom, że ci powielają w nim klisze antysemickie. Dotyczy to kontrlistu przygotowanego przez grupę Sitwa, przedstawiającą się na Facebooku jako „społeczna inicjatywa tocząca walkę z antysemityzmem". Widnieją pod tym pismem podpisy m.in. historyka Jana Grabowskiego oraz filozofa Jana Hartmana. Znani są oni z tego, że występują w rolach światłych lewicowych czy liberalnych intelektualistów, którzy rozliczają polski „ciemnogród" z żydożerczości (Grabowski – jak wiadomo – zasłynął z obarczania narodu polskiego współodpowiedzialnością za Holokaust). Powstał też jeszcze jeden kontrlist – utrzymany w odmiennym tonie niż ten Sitwy (w jakim konkretnie, o tym będzie jeszcze mowa) – z inicjatywy niekryjącego swoich lewicowych poglądów psychologa i socjologa Michała Bilewicza, człowieka także tropiącego u Polaków przejawy antysemityzmu. Hartman złożył podpis również pod tym pismem (nie jest on zresztą jedynym sygnatariuszem obu kontrlistów). A wśród innych jego sygnatariuszy znaleźli się choćby filozof, działacz społeczności żydowskiej w Polsce, Stanisław Krajewski, oraz dyrektor Muzeum POLIN, historyk Dariusz Stola.

Warto podkreślić, że mamy tu do czynienia z kłótnią w rodzinie nie tylko w odniesieniu do lewicy, lecz także do Żydów. Nazwiska osób narodowości żydowskiej czy pochodzenia żydowskiego widnieją bowiem zarówno pod kontrlistami w obronie Izraela (do tej części sygnatariuszy, oprócz Krajewskiego, należą Grabowski, Hartman, Bilewicz, lecz także choćby kulturoznawca Agnieszka Graff czy reżyser Andrzej Titkow), jak i pod antyizraelskim listem do minister Cienkowskiej (w tym przypadku można wskazać choćby podpisy lekarza psychiatry i filozofa Andrzeja Ledera czy eseisty i tłumacza Adama Lipszyca).

NACIĄGANE PORÓWNYWANIE Z ROSJĄ

Jeśli chodzi o wszystkie trzy inicjatywy, to najbardziej wyważony głos wybrzmiewa w kontrliście przygotowanym przez Bilewicza. Wymowa tego pisma – w odróżnieniu od kontrlistu przygotowanego przez Sitwę – nie jest agresywna, lecz koncyliacyjna. Po prostu jego sygnatariusze zwracają się z prośbą do minister Cienkowskiej, żeby nie zawieszała współpracy kulturalnej z Izraelem. Argumentują – skądinąd słusznie – że jest wielu izraelskich artystów, którzy kontestują politykę swojego państwa wobec ludności palestyńskiej w Strefie Gazy i realizują wspólne projekty z artystami palestyńskimi.

Już choćby to świadczy o tym, że porównywanie Izraela do Federacji Rosyjskiej jawi się – najdelikatniej rzecz ujmując – jako coś mocno naciąganego. W Rosji jakikolwiek wyraz buntu przeciw „wojskowej specoperacji" prowadzonej na Ukrainie jest tłumiony w zarodku. Za realną – a nie koncesjonowaną – aktyw-

eprasa.pl ef045d2c96

ność opozycyjną można trafić do więzienia. Natomiast w Izraelu sytuacja wygląda zgoła inaczej. Przeciwnicy tego, co wojska izraelskie robią w Strefie Gazy, są obecni w głównym nurcie życia publicznego (nie tylko artyści, chodzi też o polityków). Mało tego, całkowicie bez ograniczeń występuje zjawisko, które – z perspektywy zarówno syjonizmu (świeckiego nacjonalizmu), jak i ortodoksyjnego judaizmu – można określić jako żydowska lewicowa „ojkofobia".

Kolejną sprawą jest porównywanie wojny rosyjsko-ukraińskiej do konfliktu żydowsko-arabskiego. Tu nie ma znaku równości. Ukraina to nie Strefa Gazy rządzona przez Hamas. Demokrację ukraińską cechują rozmaite dysfunkcje i patologie, ale daleko jej do dżihadystowskiego, teokratycznego reżimu znad Morza Śródziemnego. Można się zastanawiać nad złożonymi przyczynami tego, co się w relacjach rosyjsko-ukraińskich zaczęło od aneksji przez Federację Rosyjską Krymu, ale to Rosja dokonała napaści na Ukrainę. A państwo napadnięte broni się i kontratakuje. Ukraina jednak nie sięga po metody, które stosują Palestyńczycy oraz wspierające ich muzułmańskie państwa i organizacje. Nie ma na swoim koncie okrutnych aktów terroru – choćby takich, jak atak Hamasu na Żydów izraelskich 7 października 2023 r. Wreszcie trzeba skomentować oskarżenia o ludobójstwo, które padają pod adresem zarówno Rosji, jak i Izraela. Są one mocno dyskusyjne, bo żadne wyroki w tej sprawie uprawnionych do ich wydawania trybunałów międzynarodowych nie zapadły.

OBRAZOBURCZY RELIKT PRZESZŁOŚCI

Czy zatem sygnatariusze listu do minister Cienkowskiej demonizując i postponując Izrael, szermują – jak to wybrzmiewa w kontrliście przygotowanym przez Sitwę – antysemickimi stereotypami? Jeśli coś można im zarzucić, to odklejenie od rzeczywistości. Konflikt bliskowschodni to tragiczny węzeł gordyjski, który rozpatrują oni w prosty, zero-jedynkowy sposób. Przyjmują bowiem perspektywę europocentryczną, a w przeoranej mentalnie przez lewicę Europie fetyszyzuje się politycznie „prawa człowieka". Nie dostrzegają żadnych niuansów, tylko walą na odlew. Nie są w stanie pomyśleć, że państwo próbujące się rozprawić z terrorystami, zmuszone jest się uciekać do środków nadzwyczajnych, a to nie obywa się bez kosztów (stąd przypadki zbrodni wojennych obciążające wojska izraelskie).

Przede wszystkim jednak trzeba zauważyć, że państwo izraelskie kole w oczy rozmaitych zachodnich lewicowych pięknoduchów, ponieważ ufundowane zostało na nacjonalizmie i się nim wciąż kieruje, a przecież ideologię tę postęp ludzkości miał wyplenić. Izrael zatem jawi się im jako obrazoburczy relikt przeszłości.

Przenikliwie mierzy się z tym problemem francuski pisarz Pascal Bruckner w swojej znakomitej eseistycznej książce „Tyrania skruchy. Rozważania na temat samobiczowania Zachodu". Warto przytoczyć z niej krótki cytat: „Mamy za złe Żydom, że przełamali swoją odwieczną słabość, że bez obaw używają siły. Zdradzili swoje historyczne powołanie, nie są już ludem bezpaństwowców, który odmawiał zamknięcia go w ciasnych ramach narodowych. Ich rozproszenie po całym świecie było kiedyś przejawem ich wielkości. W chwili gdy Europa wyrzeka się swych ojczyzn, ich przywiązanie do własnej ziemi, po części skradzionej innym, to po prostu katastrofa" (przełożył Andrzej Szeptycki). W innym fragmencie Bruckner stwierdza ironicznie: „Prawdziwy Żyd mówi dziś po arabsku [czyli jest Palestyńczykiem – przyp. F.M.]". I dodaje: „Nastąpiła zamiana ról: dawna ofiara stała się katem, który – to interesujący szczegół – w pełni upodobnia się do swego dawnego prześladowcy z Niemiec w latach 30. XX wieku. Innymi słowy, gdy Żyd prześladuje lub kolonizuje, to od razu zmienia się w nazistę, nie ma pośrednich rozwiązań".

Krytykowanie Izraela samo w sobie nie jest antysemityzmem. Ale bywa wyrazem przenoszenia na to państwo dawnej wrogości wobec Żydów z diaspory

Oczywiście Palestyńczycy walcząc z Izraelem, mają swoje racje. Trudno bowiem dziwić się ich antyizraelskiemu stanowisku, kiedy są rugowani przez osadników żydowskich ze swojej ziemi. A oliwy do ognia dolewają radykalni nacjonaliści żydowscy u władzy w Jerozolimie, jak choćby minister bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela Itamar Ben-Gwir. Przykładem jego stylu uprawiania polityki jest wideo, które niedawno wrzucił on do Internetu. Przedstawia ono demonstracyjne poniżanie zatrzymanych przez żołnierzy izraelskich, skutych w kajdanki uczestników Globalnej Flotylli Sumud – międzynarodowej inicjatywy mającej na celu przełamanie izraelskiej morskiej blokady Strefy Gazy.

ZNOWU TROPIENIE ŻYDOŻERCÓW

A więc – wbrew temu, co obwieszczają sygnatariusze kontrlistu przygotowanego przez Sitwę – Izrael to państwo, które jak najbardziej nie powinno być wyjęte spod krytyki. I nie jest ona bynajmniej przejawem żydożerczości. Skądinąd historycznie rzecz ujmując, antysemityzm wymierzony był w Żydów z diaspory. W poszczególnych krajach występował mechanizm następujący: prężna i zwarta mniejszość etniczna doskonale radziła sobie w trudnych warunkach. Ale postrzegano ją jako element obcy. Gdy dochodziło do kolizji jej interesów z interesami większości społeczeństwa, narastał antagonizm, któremu polityczne znaczenie w Europie nadawała prawica. I dziś w Polsce Izrael bywa oczerniany w niewybrednych słowach przez niektórych polityków prawicowych (nieraz bezmyślnie odwołujących się do dziedzictwa Narodowej Demokracji). Wówczas można odnieść wrażenie, że przenoszą oni na to państwo wrogi stosunek do Żydów ze starego prawicowego imaginarium.

Ale przecież rdzeń sygnatariuszy listu do minister Cienkowskiej stanowią nie politycy prawicowi, lecz w dużej mierze osoby o poglądach lewicowych. Z tego, pod czym się podpisały, wyziera lewicowa retoryka „prawoczłowiecza". Zarzucanie im, że powielają klisze antysemickie, świadczy więc o głównej obsesji sygnatariuszy kontrlistu przygotowanego przez Sitwę. Znowu chodzi o tropienie przejawów polskiego antysemityzmu. Tym razem jednak na celowniku znalazła się nie prawica, lecz progresiści, którzy dawnego, konfrontującego się z endekami Żyda widzą we współczesnym, mordowanym przez wojska izraelskie Palestyńczyku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Burza o biało-czerwony pasek



FOT. SZYMON PULCYN/PAP



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Interwencja rzecznik praw dziecka Moniki Horny-Cieślak w pszczyńskiej lodziarni, rozdającej za darmo lody najlepszym uczniom, ożywiła dyskusję na temat wyróżnień na świadectwach. Działanie RPD wygląda na podyktowany ideologią woke absurd

Nie planuję takich zmian, bo też szkoła jest po to, żeby się młodzież uczyła, zdobywała wiedzę i zdobywała osiągnięcia. Pasek jest nagrodą za wysoką średnią" – zadeklarowała minister edukacji narodowej Barbara Nowacka, pytana o pomysł likwidacji biało-czerwonego paska (potocznie nazywanego czerwonym paskiem) na świadectwach szkolnych. Uczniowie, by otrzymać takie świadectwo, muszą mieć średnią z ocen nie mniejszą niż 4,75 i zachowanie minimum bardzo dobre. Ci, którym się to udało, mogli liczyć na darmowego loda w pszczyńskiej Lodziarni pod Dębami.

Tradycję zapoczątkowano 25 lat temu i dla tamtejszych (czerwonopaskowych) uczniów było jasne – zakończenie roku szkolnego to dzień darmowych słodkości. Było miło, a inicjatywa scalała społeczność Pszczyny, która tego dnia całymi rodzinami spotykała się w lokalu. Nikt nie zabraniał dzieciom z niższą średnią kupić sobie loda – chodziło po prostu o docenienie tych, którzy włożyli w naukę więcej wysiłku. – Akcję zapoczątkował mój mąż ok. 25 lat temu. Później kontynuowałam ją ja. Tego dnia dzieci przychodziły ze świadectwem, każdemu osobiście gratulowałam i częstowałam darmowym lodem – opowiedziała portalowi pszczynanaszemiasto.pl właścicielka lodziarni Jolanta Hałas. Jednemu z rodziców akcja się nie spodobała (można się domyślać, że jego dziecko nie załapało się na darmowe słodkości) i wysłał skargę do Rzecznika Praw Dziecka. Reakcja Moniki Horny-Cieślak była natychmiastowa. Właściciele Pod Dębami otrzymali pismo o treści: „Zwracam się do Państwa z apelem o rozważenie w przyszłości form wsparcia i nagradzania dzieci, które nie będą dzieliły dzieci ze względu na ich osiągnięcia edukacyjne, lecz będą w równym stopniu dostępne dla wszystkich, niezależnie od ocen na świadectwie szkolnym. Wierzę, że możliwe jest znalezienie rozwiązań, które będą motywujące, a zarazem w pełni inkluzywne". „Koncentrowanie się na ocenach jako kryterium nagradzania – kontynuowała Horna-Cieślak – może prowadzić do niepotrzebnej presji wśród osób uczniowskich, które z różnych przyczyn nie osiągają wysokich wyników w nauce".

NIKOMU NIE MOŻE BYĆ PRZYKRO

Użyte przez RPD sformułowanie „inkluzywność" wprost wywodzi się z ideologii woke – jednym z jej filarów jest DEI – polityka różnorodności, równości i inkluzywności. Fałszywie pojmowana równość zmierza ku zatarciu różnic. W przypadku szkoły jest nakierowana na zapewnienie uczniom słabszym komfortu psychicznego. W skrócie – nikomu nie może być przykro, nawet jeżeli to naturalna emocja wynikająca np. ze złej oceny. W normalnych warunkach należy uczniów motywować i wspierać w rozwoju, jednocześnie jasno wskazując im błędy. Tylko tak będą w stanie się rozwijać. Tymczasem szkolne woke w praktyce prowadzi do zaniżenia poziomu nauczania. Zamiast gonić lepszych, równa się do tych gorszych.

eprasa.pl ef045d2c96

Rzecznik Praw Dziecka postanowiła wpłynąć na pszczyńską lodziarnię w tym duchu. Oficjalnego zakazu nie było, bo RPD nie ma żadnych narzędzi do zabronienia czegokolwiek prywatnemu przedsiębiorcy. Horna-Cieślak zastosowała więc presję. – Jest mi niezmiernie przykro, zaprosiłam już dzieci. I co im mam teraz powiedzieć? – pyta z wyraźnym smutkiem właścicielka lodziarni Jolanta Hałas. – [Dostałam] Pismo, że powinnam zatrzymać tę akcję, że wszystkie dzieci są równe, no ale był na mnie donos do pani rzecznik. Więc dlatego wiedziałam, że jeśli zlekceważę to, to w tym roku być może znowu ktoś na mnie doniesie i jakieś konsekwencje z tego wyjdą. No dlatego wywiesiłam to pismo – wyjaśniła. Na drzwiach lokalu wywieszono pismo RPD oraz informację od właścicielki: „Z bólem serca informujemy, że po raz pierwszy od 25 lat [...] nie będziemy mogli kontynuować naszej tradycji rozdawania darmowych lodów uczniom ze świadectwem z czerwonym paskiem".

Z lokalnej sprawa bardzo szybko urosła do rangi afery ogólnokrajowej. Miejski radny Jacek Granda stanowczo skrytykował interwencję urzędu centralnego. W oficjalnym wystąpieniu podkreślił, że intencje ochrony dzieci są zawsze godne szacunku, jednak w tym konkretnym przypadku urzędnicza reakcja okazała się całkowicie pozbawiona wyczucia lokalnego kontekstu. Poseł Konfederacji Przemysław Wipler uważa, że mogło dojść do popełnienia przestępstwa. „Złożę zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przekroczenia uprawnień przez tę Panią. Jeśli macie informacje o podobnych przekroczeniach, których dopuściła się, proszę o kontakt! Postawimy tamę samowoli urzędników psującym nam życie za nasze pieniądze!" – napisał polityk na portalu X. Szef Kanału Zero Krzysztof Stanowski szybko przejął inicjatywę. „Wynajmujemy busa/lodziarnię, może nawet kilka, żeby być w różnych miastach. Na zakończenie roku szkolnego uczniowie z czerwonymi paskami otrzymają od Kanału Zero darmowe lody. Uczniowie bez czerwonych pasków otrzymają z kolei dobre słowo i zachętę do nauki w przyszłym roku" – ogłosił.

O tym, jak głupio postąpiła RPD, świadczyć może krytyka nawet ze strony minister Nowackiej (która to przecież skasowała obowiązkowe prace domowe, co także można odczytywać jako próbę implementacji DEI w oświacie). „Szanowna Rzeczniczko Praw Dziecka, Moniko Horna-Cieślak! Litości... Pracowitość, ambicje i talent uczniów i uczennic warto zauważyć i nagradzać. To motywuje też inne dzieci do nauki i pracy. Robią to szkoły, rodzice, samorządy, organizacje pozarządowe. Fajnie, że też czasem lodziarnie. Czy inne firmy" – napisała szefowa MEN. Nauczyciel, poseł Marcin Józefaciuk, zwrócił uwagę, choć „dziecko nie jest sumą ocen", to „problem zaczyna się wtedy, gdy z tej słusznej tezy wyciąga się zły wniosek". „Świadectwo z wyróżnieniem jest opisane w polskim prawie. Wiążą się z nim konkretne skutki, choćby dodatkowe punkty w rekrutacji do szkoły średniej. Państwo samo uznaje, że bardzo dobre wyniki w nauce mogą być formalnie wyróżnione [...]. To nie jest przemoc. To nie jest dyskryminacja. To nie jest koniec dzieciństwa. To jest nagroda, motywacja" – zauważył.

Szkolne woke w praktyce prowadzi do zaniżenia poziomu nauczania. Zamiast gonić lepszych, równa się do tych gorszych

Mleko się wylało, a RPD próbowała szybko ratować sytuację. W pośpiechu udała się do Pszczyny. Opublikowała zdjęcia z Jolantą Hałas (której mina na rzeczonej fotografii mówi więcej niż tysiąc słów; można ją znaleźć na koncie RPD w serwisie X) i dodała wpis: „Poziom absurdalnej manipulacji wobec p. Joli oraz mnie osiągnął niebywałe szczyty. Nie było żadnego zakazu. Przesyłamy razem z ekipą z Lodziarni pod Dębem moc życzliwości! A już 26.06 razem z p. Jolą oraz starostwem organizujemy wspólnie wydarzenie dla każdego dziecka. Będziemy wspólnie świętować i sprzeciwiać się mowie nienawiści".

Sęk w tym, że wbrew narracji RPD właściwie nikt nie krytykował właścicieli lodziarni. Jolancie Hałas przekazywano raczej wyrazy wsparcia. To Horna-Cieślak stała się podmiotem zasłużonego oburzenia. Brnęła jednak dalej, sięgając po typowy dla wokeistowskiej retoryki emocjonalny szantaż. – Mamy informacje od dzieci, że dochodzi do prób samobójczych z powodu tego, jaka jest presja na oceny. Więc my po prostu zwracamy uwagę na to, że wartość człowieka definiuje jego serce – mówiła w rozmowie z Polsat News.

OBIETNICA PRZEDWYBORCZA

Nadgorliwość rzecznik przyspieszyła doroczną dyskusję na temat biało-czerwonych pasków. Z sondażu przeprowadzonego dla „Rzeczpospolitej" z czerwca 2024 r. wynika, że pozostać przy obecnym systemie chce prawie 50 proc. badanych. Likwidacji wyróżnień oczekiwałoby 29,4 proc. respondentów, a prawie 21 proc. nie ma zdania. Małopolska kurator oświaty Gabriela Olszowska opowiada się jednoznacznie za likwidacją pasków. „Dość pasków. Sio z paskami. Nie – dla pasków na świadectwie" – ogłosiła na Facebooku. Dorota Zawadzka, psycholog, która zdobyła rozpoznawalność jako „Superniania" w programie TVN, używa jeszcze mocniejszych słów. „Świadectwo z paskiem to rak polskiej szkoły. Nie wiem tylko, czy to przerzut czy rak pierwotny [...]. Bo rodzice, szkoła, a czasem i system wmówiły dzieciom, że pasek to sukces, pasek to wartość, pasek to dowód, że jesteś kimś" – grzmi. Likwidację biało-czerwonych pasków na świadectwach i zastąpienie ich kolorowymi, oznaczającymi osiągnięcia w różnych, niekoniecznie związanych z nauką dziedzinach obiecywał przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Szymon Hołownia.

Pozostanie przy aktualnym systemie wyróżniania najlepszych uczniów poparła z kolei popularna w mediach społecznościowych neurologopeda Ewelina Pasiewicz. „Zbliża się koniec roku szkolnego i Internet zalewa fala wywodów na temat słuszności czerwonego paska. Samopoczucia tych, którzy go nie dostają. Dzisiaj przeczytałam, że nagradzanie wysokiej frekwencji jest niesłuszne. Zauważyłam, że od dłuższego czasu wszystko, co tyczy się zdrowych, uzdolnionych, wybijających się dzieci, jest »BE«, krytykowane wzdłuż i wszerz. Co z Wami, Kochani? Dajcie się cieszyć dzieciom, które sobie dobrze radzą, które zdobywają nagrody, paski, dyplomy. Nic w tym złego" – zaapelowała rok temu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Artystyczny kicz Pawlikowskiego



Większość filmu „Ojczyzna" („Fatherland") opowiedziana jest statycznymi kadrami, kamera prowadzi nas przez świat z rzadka FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Ojczyzna" Pawła Pawlikowskiego – nagroda za reżyserię w Cannes. No i co z tego? Efektowny formalnie film jest pusty w środku

Rok 1949, Tomasz Mann powraca do Niemiec. Władze Frankfurtu nad Menem witają go z honorami, tłum zbiera się pod hotelem, a dziennikarze wyczekują konferencji prasowej. Noblista przybył świętować 200. rocznicę urodzin Goethego; ku konfuzji i niechęci części opinii publicznej czyni to po obu stronach żelaznej kurtyny – z Frankfurtu wyrusza do Weimaru leżącego w okupowanej przez Sowietów części kraju. Jak wyjaśnia Mann, geniusz Goethego powinien być doceniony bez względu na granice.

Zanim wyruszymy jednak w tę drogę, oglądamy sceny zupełnie innego rodzaju. W hotelowym pokoju mężczyzna prowadzi telefoniczną rozmowę. Wyznaje, że w nic już nie wierzy: ani w kulturę, ani w literaturę. To Klaus Mann, syn Tomasza, dziś najbardziej pamiętany z powieści „Mefisto". Po drugiej stronie połączenia Erika, córka Tomasza Manna, która namawia brata, by dołączył do niej i do ojca w Niemczech.

RODZAJ NIEFORMALNEJ TRYLOGII

Większość filmu „Ojczyzna" („Fatherland") opowiedziana jest statycznymi kadrami, kamera prowadzi nas przez świat z rzadka, jest jeden efektowny przejazd ukazany z wnętrza samochodu, który znamy ze zwiastuna filmu. Świat zamknięty jest nie tylko w ramach ekranu kinowego, bo wewnątrz tej przestrzeni pojawiają się kolejne ramy,

eprasa.pl ef045d2c96



REŻ. PAWEŁ PAWLIKOWSKI „OJCZYZNA” FRANCJA, NIEMCY, POLSKA, WŁOCHY 2026

czasem zasłony po obu stronach kadru, czasem drzwi. Służy to budowie atmosfery wyobcowania, bohaterowie „Ojczyzny” są samotni, rozmawiają ze sobą, ale rzadko możemy powiedzieć, że się ze sobą naprawdę porozumiewają – raczej egzystują równolegle, obok siebie.

Czarno-białe kadry rozjaśnia obecność Eriki Mann granej przez Sandrę Hüller. Gdy pojawia się ona w centrum ujęcia, jest wyostrzona kosztem tego, co w tle. To ona ma być pryzmatem, przez który oglądamy emocje bohaterów filmu. Oglądamy ją w chwilach, gdy własne twórcze ambicje odkłada na bok i poświęca się przede wszystkim opiece nad ojcem. Jest jego asystentką, sekretarką, kierowcą, przewodnikiem podróży, a przede wszystkim pierwszym widzem. Tomasz Mann odczytuje przed nią na próbę swe wystąpienia, zanim wygłosi je publicznie.

Paweł Pawlikowski wyróżniony został na ostatnim festiwalu w Cannes nagrodą za najlepszą reżyserię. Tym samym „Ojczyzna” dołącza do poprzednich jego filmów – „Idy” i „Zimnej wojny” – jako tytuł ceniony przez krytykę i fetowany. „Ida” zdobyła Oscara, „Zimną wojnę” nagrodzono w Cannes w tej samej kategorii. Pojawiają się już sugestie, że tworzą te filmy rodzaj nieformalnej trylogii. Tę interpretację wspiera sam reżyser, dodając też, że „Ojczyzna” jest najbardziej osobistym filmem, który zrealizował.

Odczytywany jako dramat rodzinny film broni się dobrze. Czy jest tak oryginalny i szczery, jak niektórym się wydaje? Mam wątpliwości. Napisała do mnie jedna z uważnych czytelniczek (pozdrawiam, pani Joanno!), że za bardzo chwaliłem kiedyś na łamach „Wartość sentymentalną”, że ona głębi ani prawdziwych emocji w tym filmie nie widziała. No to proponuję takie ćwiczenie – dla wszystkich – proszę obejrzeć jednego dnia „Wartość sentymentalną” i „Ojczyznę” – zobaczycie, kto tu zrobił poruszający film, a kto wydmuszkę. Tak się bowiem składa, że w kwestii żałoby, traumy pokoleniowej oraz trudnych relacji artysta – życie rodzinne obie te opowieści dotykają spraw podobnych. Być może wybór statycznych kadrów, być może zimna elegancja świetnych zdjęć Łukasza Żala oddzielają nas od prawdziwych emocji w „Ojczyźnie”? Można też potraktować relację między Eriką a ojcem (i – oczywiście – między Klausem a ojcem) jako metaforę: nie umiemy się porozumieć ani w rodzinie, ani w kraju, ani między narodami. Wschód z Zachodem, młodzi ze starymi. Nie będzie to jednak metafora nadmiernie zaskakująca i świeża.

Natomiast kwestie wypowiadane przez filmowego Tomasz Manna nakierowują widza na zupełnie inne znaczenia. Mamy tu nie tylko dramat rodzinny, bo mamy wielką politykę i wielką historię, ale ponad tym jest coś ważniejszego: sztuka. Cytaty z Manna, włożone w usta Hannsa Zischlera grającego noblistę, nieustannie przypominają nam o tym, jakie zadania mają prawdziwi artyści i jaki jest cel prawdziwego geniuszu – otóż prowadzić nas w ciemnościach i z tego mroku wyprowadzić, pozwolić znaleźć porozumienie ponad tym wszystkim. Ponad czym? No, wszystkim: granicami, polityką, historią, nienawiścią, złem.

Tu zaczyna się problem, bo oczywiście sam fakt, że ktoś jest geniuszem (czy to poezji, czy muzyki), nie musi jeszcze oznaczać, że dobrze nadaje się na przewodnika w mroku. Jest to iluzja podobna do tej, która przyświecała na przełomie wieków XIX i XX oraz parę dekad później wszystkim marzącym o jakimś „światowym rządzie naukowców”. Naukowcy bowiem to fachowcy, a fachowcy rządzić będą dobrze. Tymczasem politycy i generałowie do rządzenia się nie nadają, bo przez nich tylko głód i wojny. Cóż, doktor Mengele też był naukowcem, podobnie jak miłośnicy eugeniki w Danii, a artyści, nawet wybitni, chadzali na pasku tej czy innej władzy. A nawet kiedy nie chadzali, to sam fakt bycia wybitnym pisarzem czy kompozytorem nie jest oczywiście wystarczającą kwalifikacją, żeby światem rządzić – oczywiście tu już mówimy o rządzie dusz.

ZA DALEKO

Apele o to, byśmy zamiast rzucać się sobie do gardeł, cieszyli się wspólnie poezją Goethego i prozą Tomasza Manna są bardzo szlachetne, ale – przyznajmy – pasują raczej do gimnazjalnego wypracowania pt. „Co chciałbym dobrego zrobić dla świata”. Kłopot z przesłaniem filmu Pawła Pawlikowskiego polega na tym, że być może rozumie kino, ale nie rozumie świata.

I tu problem staje się już palący, bo przechodzimy do konkretów. Oczywiście w „Ojczyźnie” pojawiają się nawiązania do „Fausta”, oczywiście dowiadujemy się, że umów z Mefistem podpisywać nie należy, że trzeba cnotę zachować, nawet gdy ambicja podpowiada co innego. Oto przykład: Tomasz Mann, który z Niemiec Hitlera wyjechał, który nie chce dać się Sowietom wykorzystać jako symbol propagandy i który krytykuje także kapitalizm. Pytany na konferencji we Frankfurcie, „który ustrój jest lepszy”, odpowiada, że jeden i drugi ma jakieś wady.

Ten symetryzm w owym momencie jest uzasadniony, bo Mann dyplomatycznie wychodzi z pułapki (niejedynej) zastawianej na niego przez żądnych sensacji pismaków ze Wschodu i Zachodu. Ale... Czy tak poza tym daje się obronić w roku, powtórzmy, 1949?

W tym symetryzmie Pawlikowski wędruje za daleko, wędruje głupio. Jego wizję podsumowuje krótka scena, gdy wracający z Weimaru Erika i Tomasz słuchają radia. Na jednej stacji komunistyczne pienia – wyłączają od razu. Na drugiej – amerykańska muzyka taneczna. Wyłączają równie szybko. Oto symboliczna chwila: ani Ruscy, ani Amerykanie nie będą pisarza uczyli, jaki ma być świat. On jest ponad to albo może jest trzecią drogą (mądrą drogą, bo to przecież noblista). Wygląda na to, że filmowy Tomasz Mann wymyśla u Pawlikowskiego termin „suwerenności strategicznej”, zanim jeszcze przyśni się on Emmanuelowi Macronowi.

Biedni Niemcy, ofiara Rosjan i Amerykanów, jednakowo obrzydliwych. Tu gułagi, tam konsumpcja. Chyba już wiemy, dlaczego trzeba było „Ojczyznę” w Cannes nagrodzić. Jest to dokładnie takie przesłanie, jakiego oczekują główne ośrodki dystrybucji prestiżu w Paryżu i Berlinie. A Pawlikowski brnie w tę narrację ochoczo: „Wiem, jak inaczej mogą wyglądać sprawy w zależności od tego, kim jesteś, na jakim etapie życia się znajdujesz, z jakiego kraju i kultury się wywodzisz, jakim językiem się posługujesz. Staram się tworzyć obrazy, które oddają to, że życie jest skomplikowane i że nie istnieje tylko jedna narracja”.

eprasa.pl ef045d2c96



Świat zamknięty jest nie tylko w ramach ekranu kinowego, bo wewnątrz tej przestrzeni pojawiają się kolejne ramy FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Czarno-białe kadry rozjaśnia obecność Eriki Mann granej przez Sandrę Hüller FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Otóż wypadałoby powiedzieć Pawłowi Pawlikowskiemu, że z faktu, iż istnieją różne doświadczenia i różne narracje, nie wynika jeszcze, że są one równoważne. Życie robotnika, pisarza, filmowca w komunizmie i kapitalizmie to jednak dwie różne bajki. No ale żyjemy już w świecie, w którym atakowanie kapitalizmu jest modne. Co mnie nie dziwi, bo zwyrodniał okrutnie, zamieniając się w liberalny technofeudalizm, w globalizm imperialny. Ale ci, którzy dziś kapitalizm lżą, nie chcą go naprawiać, bo im wolny rynek i przedsiębiorczość zanadto pachną samowolą. Oni chcą go wyrzucić do kosza, czyli wzywają do tego samego, do czego wzywali komuniści. Jak się to kończy? Ano kończy się to komunistą w fotelu burmistrza Nowego Jorku.

„Sztuka nas wyzwoli" – podpowiada Pawlikowski, czcząc Manna, czczącego z kolei Goethego. Scena, w której Erika wędruje pośród cmentarnych pomników, przypomina o wieczności – nasze życie i spory tylko mgnieniem są, niczym więcej. Ale nie znaczy to, że ratunkiem jest bycie ponad tym. Ojciec i córka wyciągną wnioski właściwe – nawiążą emocjonalną więź. Obywatel Tomasz i obywatelka Erika właściwych wniosków już nie mogą wyciągnąć, bo przyjmują za swoją niewłaściwą diagnozę stanu świata: symetryzm, od którego już krok do panświnizmu.

ZBIÓR MODNYCH BANAŁÓW

W Niemczech modny jest dziś nie tylko antykapitalizm, lecz także antyamerykanizm, więc przypowieści o tym, jak to cierpieć musieli długie dekady z rąk dwóch wrogów: Amerykanów i Rosjan, znajdą podatny grunt. Jest zatem Pawlikowski w mainstreamie europejskim, w samym środku tego mainstreamu, a nawet w centrum środka mainstreamu. Po prostu nie da się bardziej. I co ma nam do powiedzenia? Wrócę do konferencji z Cannes: „Rzeczywistość jest skomplikowana i nic z tego, co mówią ludzie, nie odzwierciedla tego, kim jesteśmy ani jaki jest świat. Bliskie jest mi poczucie bezradności. Pewnie nie tylko mnie, może również widzom" – opowiadał Pawlikowski.

Cytujmy dalej: „Wiele filmów historycznych, które oglądam, ma jasną tezę, pokazuje przeszłość zgodnie z obraną narracją. Twórcy takich obrazów próbują nam coś wmówić, a postacie bardzo często coś ilustrują lub wyjaśniają. Staram się działać odwrotnie – pokazywać, jak bardzo wszystko jest złożone. Jeśli masz pewność, że twoja narracja jest słuszna, to oznacza to coś przeciwnego. Historia jest zawiła".

Czy naprawdę? Czy wszystko zawsze jest zawiłe i złożone? Czy tak trudno dostrzec, kto zabijał, a kto był ofiarą? Czy wskazanie tych, którzy mówią prawdę, i tych, którzy kłamią, jest skomplikowane? Czy naprawdę zawsze „pewność, że twoja narracja jest słuszna, oznacza to coś przeciwnego"?

Pojawiają się w prasie europejskiej porównania Pawlikowskiego do Kieślowskiego – bezmyślne jest to paplanie, bo twórca „Dekalogu" miał nam coś do powiedzenia, a Pawlikowskiemu jedynie się wydaje. Jego efektowny formalnie film jest pusty w środku, na nic zdjęcia Łukasza Żala (znakomite, powtórzę), na nic świetna kreacja Sandry Hüller, na nic muzyka Mozarta. Doceniam gorzką satyrę scen rozgrywających się w sowieckiej strefie okupacyjnej, doceniam ewolucję emocjonalną postaci ojca i córki, odrzucam natomiast całą resztę, bo to po prostu zbiór modnych banałów, czyli zbiór pusty. To jest właśnie europejska sztuka w najlepszym wydaniu – wychodząc od czegoś, przejść donikąd, unieważniając po drodze prawdziwe dylematy historii i polityki. Artystyczny kicz pozostaje kiczem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Krzysztof Masłoń

Co nas wzrusza



Wokalista Sargis wykonał w Opolu utwór „Ziemia” FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Panie ministerki (ministry, a może ministrantki – niepotrzebne skreślić) z Alei Szucha w Warszawie, wywracając do góry nogami polską szkołę, mają w zwyczaju podkreślać znaczenie edukacji zdrowotnej, niekoniecznie tożsamej – jak się powszechnie uważa – z seksualną. Otóż ta ostatnia jest oczywiście najważniejsza i pozadyskusyjna, ale szkoła XXI w. pod kierownictwem Nowackiej Barbary dbać musi o higienę swoich wychowanków. Psychiczną i fizyczną. To dlatego uczniów nie należy przemęczać wyczerpującymi i całkiem zbytecznymi lekturami, a do przeczytania jednej pozycji obowiązkowej w ciągu roku szkolnego naprawdę wystarczy elementarna znajomość języka polskiego, w dorosłym życiu w Europie (a może i świecie) bez granic średnio potrzebna. Zadbać za to należy o korelację w nauczaniu poszczególnych przedmiotów, nie ma bowiem powodu, by tworzyć oddzielne programy do nauczania historii, kształcenia polonistycznego, plastyki, muzyki i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Wiedzę o społeczeństwie zastąpiła w końcu edukacja obywatelska i to ona powinna być teraz najważniejsza, zawierając np. naukę dwóch zwrotek hymnu narodowego oraz całej „Ody do radości”, jak również pogadankę o tym, co zawdzięczamy Unii Europejskiej. Zaoszczędzony w ten sposób czas spożytkować będzie można na częstsze wycieczki do Energylandii, zielone szkoły i całą masę zajęć integracyjnych dla osobouczniów, których generalnie warto jak najczęściej wypędzać ze szkoły na (podobno) świeże powietrze, bo niebezpiecznie nam dziatwa ostatnio się roztyła. Inna sprawa, że jak małolatów się wypuści, to zaraz pobiegną do McDonalda, najedzą się fast foodów, a potem wsadzą nosy do smartfonów i będą edukować się seksualnie na własną rękę.

Za strasznych rządów PiS-owskiego faszyzmu poprzednik Nowackiej Barbary na stanowisku szefa resortu edukacji, Przemysław Czarnek, usiłował wprowadzić do szkół przedmiot nazwany historia i teraźniejszość. Jakaż to była teraźniejszość, skoro kończyła się na końcu zeszłego stulecia?! Nic dziwnego więc, że postępowa ministerka wygruziła cały ten HiT na miejsce mu przynależne, czyli na śmietnik, niech będzie, że historii. Ale w tamtym przedmiocie mieściły się, wprowadzone tam niejako kuchennymi drzwiami, elementy historii kultury. I powszechnej, i polskiej. Oczywiście nie ma mowy o przywracaniu tamtego barachła, ale niektóre osiągnięcia kultury współczesnej są wprost wymarzone, by odpowiednio wykorzystać je w nowoczesnym procesie nauczania.

Oto na zakończonym przed tygodniem Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu triumf odniósł niejaki Sargis swoją „Ziemią”, zdobywając laury zarówno jurorów, jak i publiczności. W piosence tej, w której ten mający ormiańskie korzenie artysta zwierza się ze swoich rozterek tożsamościowych i rozdarcia między dwoma światami, w jednej zwrotce jednym tchem wymienia to wszystko, co wzrusza go w Polsce. Pomińmy tu brzozy i mądrości ludowe, jak również „kłosy pszenicy z ziemi urodziwej” i „»Szczęść Boże« mówione na górskiej trasie”. Ale nade wszystko porusza go „Rota, że nie rzucim ziemi”, „Młynarski w dyktandzie u nadziei”, „piosenka ubrana Osieckiej słowem”, „Szymborska o chmurach miłości szczęśliwej” i wreszcie „Krystyna Janda w szyku i klasie”.

A toż tu mamy za jednym zamachem podane na tacy to wszystko, co uczniowie mają wynieść ze szkoły. To wszak crème de la crème naszej kultury. Co prawda, tekst „Roty” Marii Konopnickiej ze stwierdzeniem, że „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”, wymaga niezbędnych objaśnień. Ale od czego w końcu mamy nauczycieli, którzy przy okazji z pewnością chętnie opowiedzą uczącej się młodzieży o nieudowodnionym wprawdzie, ale wielce prawdopodobnym, a trwającym lat 20, związku poetki z Marią Dulębianką. Nad Młynarskim rozwodzić się nie ma po co, a że facet napisał ze dwa tysiące piosenek, zawsze można podeprzeć się jakimś odpowiednim cytatem. Osiecka z tego samego powodu jest jeszcze bardziej oczywista. Ale już Szymborskiej wiersz o chmurach (był taki!) pamiętają jedynie polonistyczni prymusi, a odnośnie do kochających to nasza noblistka pisała „Do zakochanej nieszczęśliwie”, kończąc wiersz słowami: „Wiem jak ułożyć rysy twarzy/ by smutku nikt nie zauważył”. A ludzie i tak znajomość twórczości krakowskiej poetki ograniczają do „Nic dwa razy”, bo przez ostatnie pół wieku, jak utworu tego nie śpiewała Łucja Prus, to zaczęła śpiewać Kora, a po niej Sanah, i tak już będzie do końca świata. No dla porządku uściślijmy, że spotkać można jeszcze obdarzonych dobrą pamięcią miłośników liryki, rzekłbym, funeralnej, pamiętających utwór o tym, czego nie należy robić kotu, a trafiają się i tacy, którzy potrafią odpowiedzieć na dramatyczne pytanie zadane przez Szymborską 73 lata temu: „Jaki rozkaz przekazuje nam / na sztandarach rewolucji profil czwarty?”. Młodszym uświadamiam, że ów tajemniczy profil należał do Józefa Wissarionowicza Stalina. Lenina także poetka odpowiednio uhonorowała, w końcu to był – jej zdaniem – „nowego człowieczeństwa Adam”. A o cóż chodzi Nowackiej Barbarze jak nie o wyhodowanie nowego człowieka?

Nic jednak nie równa się z docenieniem przez Sargisa „szyku i klasy” Krystyny Jandy. Każdy pamięta przecież jej wyznanie z czasów faszystowskich rządów Kaczyńskiego & Co., że czuje się, jakby ciągle na nią srano. Na wszelki wypadek zacytuję jeszcze jedną wypowiedź artystki, która ewentualność powrotu Prawa i Sprawiedliwości do władzy skomentowała, posiłkując się nadzieją z czarnego humoru rodem, że – mianowicie – może do tego czasu umrze.

Na razie jednak artysta Sargis postawił duży krok w celu jej unieśmiertelnienia. Proponuję więc utwór pt. „Ziemia” uczynić obowiązkowym w szkolnej edukacji obywatelskiej. W trybie natychmiastowym. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Precz z Hollywood



★★★★★★

REŻ. KANE PARSONS
„BACKROOMS. BEZ WYJŚCIA”
USA 2026

wyst. Chiwetel Ejiofor, Renate Reinsve

Sukces filmu „Backrooms” ma wspaniały smak – nie tylko dla jego twórców, lecz także dla tych, którzy mocno krytycznie patrzą na to, co dzieje się dziś w Hollywood. Oto 21-letni twórca z YouTube kręci swój debiutancki film inspirowany serią webisodów, wydaje na to niespełna 10 mln dol. i podbija box office, zarabiając w dwa tygodnie niemal ćwierć miliarda dolarów. Ćwierć miliarda! Robi to w czasach, kiedy wyprodukowany za 165 mln dol. film z potężnej franczyzy „Gwiezdne wojny”, czyli „Mandalorian i Grogu”, zarabia ok. 300 mln i brakuje mu przynajmniej 100 mln, żeby Disney wyszedł na zero. Widzowie mają dość i głosują nogami. Tak jak było w przypadku marksistowsko-rewolucyjnej „Jednej bitwy po drugiej”, obsypanej Oscarami, chwalonej przez krytyków i przynoszącej straty finansowe – grube straty!

Wygrywają dziś proste historie bez propagandy i politycznej perswazji, oparte na oryginalnym pomyśle i opowiedziane z talentem. „Backrooms” to film zadłużony u takich dzieł jak „Cube” czy serial „Rozdzielenie”, głęboko niepokojąca przypowieść o niemożności zrozumienia współczesnego świata. Symbolem tego świata jest podziemny labirynt, w którym dzieją się dziwne rzeczy i króluje atmosfera gdzieś między „Zamkiem” Franza Kafki a kosmicznymi horrorami Lovecrafta. Główny bohater, osobnik głęboko straumatyzowany, podróżuje przez ten dziwny labirynt, a potem dzieli się opowieściami z terapeutką, która uważa, że kompletnie mu odbiło. Przyjdzie czas i na nią – gdy zagłębi się w ten alternatywny świat, zacznie odkrywać reguły nim rządzące i nie spodoba jej się to, co zobaczy.

Tydzień wcześniej wielkie studia Hollywood poniżone zostały sukcesem filmu „Obsesja” – historią miłosnego opętania nakręconą za… 750 tys. dol., która zarobiła ponad 200 mln. Wielka zmiana wisi w powietrzu? Oby, oby, niech się ten pałac pychy, woke i DEI zawali jak najszybciej. Curry Baker („Obsesja”) i Kane Parsons („Backrooms”) pokazują, że do kręcenia dobrych filmów Hollywood nie jest nikomu potrzebne. Wystarczą umiejętności, drobne pieniądze i szacunek dla widza, który oczekuje dobrej rozrywki, a nie wykładów wieczorowej akademii marksizmu LGBT. Kamery są coraz tańsze. Elity – coraz głupsze. ©℗

GRA TYGODNIA: „007: FIRST LIGHT”

Jest jeszcze młody, nie pija wstrząśniętego, niemieszanego martini i nie ma licencji na zabijanie, bo dopiero stara się udowodnić, że jest wart włączenia go do MI6. Ale już kocha ryzyko, adrenalinę, szybkie samochody i piękne kobiety i przedstawia się Bond, James Bond. Franczyza 007 w kinie przynosi krocie, ale pieniędzmi graczy przez długie lata nie była zainteresowana. Zmienili to twórcy „Hitmana”, którzy stworzyli naprawdę solidny produkt, który doskonale balansuje między filmowością a grą dającą graczowi nieco swobody. Klimatyczna, wypełniona odniesieniami do marki, bardzo dobra gra. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

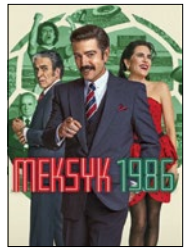
★★★★★★

Radosław Wojtas

- *Gatunek: akcji*
- *Platforma: PS5, XSX, PC*
- *Producent, dystrybutor: IO Interactive*

eprasa.pl ef045d2c96

Piłka pełna hajsu



★★★☆☆☆

REŻ. GABRIEL RIPSTEIN
„MEKSYK 1986" („MÉXICO '86")
MEKSYK 2026

wyst. Diego Luna, Karla Souza, Daniel Jiménez Cacho

Jak prosty księgowy załatwił Meksykowi najlepszy mundial w dziejach. Filmowcy co prawda zarzekają się, że Martin de la Torre to postać fikcyjna, ale mógłby z nim przybić piątkę niemal każdy działacz zaangażowany w proces monetyzowania futbolu (tudzież innych popularnych dyscyplin sportowych). Brak skrupułów połączony z brakiem klasy w sprzyjających okolicznościach wystarczą, by z zera awansować bohatera. Znamy ten mechanizm z własnego podwórka, więc wstrzymajmy się z kpinami z Latynosów. Oni przynajmniej wierzą w cuda i mają rację. Fabularne ramy filmu Ripsteina są wszak prawdziwe.

Ojczyzna Azteków chronicznie pogrążona w kryzysie, zmaltretowana trzęsieniem ziemi, przebiła ofertę Stanów Zjednoczonych i na miesiąc stała się centrum wszechświata. W reprezentacyjną drużynę wstąpił nowy duch, Meksyk przestał być chłopcem do bicia. W telewizyjnych statystykach transmisje meczów zaczęły wygrywać z telenowelami. Używając porównania rodem z cukierni, mamy do czynienia z keksem. Bakaliami są anegdoty z życia wzięte i plotki – na tyle zgodne z przekonaniami widzów, że mogą zostać wzięte za prawdę. Martin w pojedynku „na argumenty" gromi samego Kissingera. Udaje mu się też spacyfikować Hugona Sáncheza (meksykańskiego odpowiednika Lewandowskiego).

Cała opowieść razi jednak przewidywalnością, będącą zaprzeczeniem wizji „kraju, w którym wszystko jest możliwe". Mniej motywujących przemówień, więcej brawury, amigos. Do odważnych świat należy! W najgorszym razie wyszedłby wam drugi „Piłkarski poker", czyli farsa, którą chętnie oglądaliby nie tylko kibice. W najlepszym – kto wie?

Drugą rzeczą, która obniża jakość „Meksyku 1986", jest główny protagonista. Wąsaty, obleśny kłamczuch, taki sam w pierwszej i ostatniej scenie. Od klecenia raportów kwartalnych gładko przechodzi do kolacyjek z ministrami i rekinami biznesu. Mało prawdopodobne, by osobnik mocny tylko w gębie, a przy tym świadomy własnej przeciętności wspiął się tak wysoko. Ripstein i spółka wmawiają nam, że dla takiego filuta miłość może być ważniejsza od pieniędzy, kariery i piłki kopanej. To już łatwiej uwierzyć, że Wieczysta Kraków w następnym sezonie wygra Ligę Mistrzów. ©℗

Wiesław Chełminiak

GRAMOFON I KABRIOLET

KINO

Emeryci przyszłością kina? Wiele na to wskazuje, miejmy tylko nadzieję, że cyniczni producenci nie zechcą karmić seniorów sentymentalną papką filmopodobną. „Drugie życie" wskazuje inny, ambitniejszy kierunek. Razem z ludźmi odchodzi przecież cała epoka. Legendę kosmopolitycznego Tangeru stworzyli europejscy artyści, dekadenci i tułacze. Mniej widoczni, choć liczniejsi Hiszpanie tak zżyli się z tubylcami, że myśl o repatriacji stała się im wstrętna. María Ángeles, dobrze zakonserwowana wdowa po hotelarzu, też nie ma zamiaru porzucić mieszkania z widokiem na medinę i ukochanego gramofonu, czego natarczywie żąda córka. Co tu kryć, nagroda publiczności festiwalu w Wenecji trafiła we właściwe ręce. Osiemdziesięcioletnia Carmen Maura jest jak wino. Brawa dla scenarzystów, którzy zdołali oprzeć się pokusie bajkowego zakończenia. ©℗



★★★★☆☆

REŻ. MARYAM TOUZANI
„DRUGIE ŻYCIE" („CALLE MALAGA")
MAROKO/HISZPANIA 2025

wyst. Carmen Maura, Marta Etura

DO ZOBACZENIA

Kolekcjoner



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY? do 13 września

Nie spełnił się jako artysta, ale na polu kolekcjonerskim i mecenatu sztuki już tak. W jego kolekcji znajdowały się takie dzieła jak „Stańczyk" Matejki, „Babie lato" Chełmońskiego, „Święto Trąbek" czy „Żydówka z cytrynami" Aleksandra Gierymskiego. Hrabiego Ignacego Korwin-Milewskiego, jego dokonania i kolekcję przypomina Muzeum Narodowe w Warszawie przy okazji przypadającej w 2026 r. 180. rocznicy urodzin i 100. rocznicy śmierci tego mecenasa sztuki.

Założeniem wystawy „Kolekcjoner. Ignacy Korwin-Milewski (1846–1926)" jest prezentacja zrekonstruowanej kolekcji, która po śmierci hrabiego uległa rozproszeniu. Pierwotnie liczyła ok. 250 obrazów. Powstawała przez trzy dekady. „Obrazy zamawiał u malarzy polskich wykształconych w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, uczelni, której sam był studentem przez pięć lat. Znajomości z poznanymi tam artystami podtrzymywał przez kolejne lata, niektórych otaczając opieką mecenasowską" – przypomina MNW.



FOT. BARTOSZ BAJERSKI/MNW

Muzeum nie tylko pokazuje kolekcję, lecz także przypomina postać kolekcjonera – majętnego arystokraty, właściciela wyspy na Adriatyku, podróżnika i publicysty politycznego. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sprawa rodzinna

Czytelnicy książek Grzegorza Musiała mieli okazję poznać ich osobisty charakter. Takie były jego liczne dzienniki, z „Dziennikiem wojny jaruzelskiej" na czele, obrazujące różne fragmenty życia tego niezwykle aktywnego, twórczego człowieka, poety i pisarza, ale i specjalizującego się w okulistyce doktora nauk medycznych, a także znawcy sztuki, autora m.in. świetnych powieści o Tamarze Łempickiej („Ja, Tamara" i „Tamara, siostra wulkanu").Taki też – osobisty – jest jego wydany właśnie „Wujek Stasiu", a jednak już po przeczytaniu pierwszych zdań tej skromnej objętościowo książeczki wiemy, że mamy do czynienia z publikacją wyjątkową. Grzegorz Musiał napisał bowiem historię rodzinną, której protagonistą jest jego wuj, brat ojca – ks. Stanisław Musiał, przed wojną wikariusz w Gnieźnie i Bydgoszczy, a następnie proboszcz w Bieganowie. Autor nie znał go, nie mógł go poznać, urodził się bowiem w 1952 r. A jego wuj został zamęczony przez Niemców 12 lat wcześniej, dokładnie w Wigilię roku 1940 w obozie w Gusen. Ale opowiedzenie o nim, o jego – jak czytamy w podtytule książki – świątobliwym życiu i męczeńskiej śmierci pisarz potraktował jako swój obowiązek, swoją powinność. A perspektywa, którą obrał, sprawiła, że oddał hołd nie tylko pamięci swego krewnego, lecz także setkom innych księży, którzy zginęli za to, że byli kapłanami katolickimi i Polakami. Że mieli polskie obowiązki i w godzinie najcięższej próby sprostali im, oddając życie za wiarę i ojczyznę.

W Kraju Warty, zarządzanym przez pana życia i śmierci na tych ziemiach gauleitera Arthura Greisera, prześladowania księży i Kościoła zaczęły się wkrótce po wkroczeniu Niemców do Wielkopolski. „Ten obłąkańczo nienawidzący polskości syn komornika sądowego ze Środy Wielkopolskiej zamierzał uczynić prezent swemu ukochanemu Hitlerowi w postaci zarządzanej przez siebie prowincji, doszczętnie spustoszonej pod względem praktyk religijnych i pozbawionej karmy duchowej dla Polaków – będącej przez wieki, z czego Niemcy dobrze zdawali sobie sprawę, głównym źródłem ich siły duchowej. Sześć lat później, za swą gorliwość, Arthur Greiser został wynagrodzony przez ten sam naród, który chciał unicestwić: powieszono go 21 lipca 1946 r. na stoku poznańskiej Cytadeli, dokładnie tam, gdzie w czasie wojny mordował swoje ofiary".

Wcześniej jednak zdążył zamknąć 1,3 tys. (!) kościołów i kaplic katolickich. Pięćset z nich, wraz z Archikatedrą Poznańską, Niemcy zamienili na magazyny. Nie inaczej, jak to robili na naszych wschodnich ziemiach bolszewicy, także osobiści nieprzyjaciele Pana Boga. A że gubernator Hans Frank orzekł, iż „klechy są naszym śmiertelnym wrogiem", aresztowano 1093 polskich kapłanów, z których – czytamy – 622 już do swych parafii nie wróciło. Tak jak nie powrócił 37-letni ks. Stanisław Musiał, więzień Dachau – Kalwarii duchowieństwa polskiego.

Zanim tam trafił, mógł skorzystać z możliwości ucieczki przygotowanej w Puszczykowie, gdzie przebywał w obozie przejściowym. Odmówił, tłumacząc, że jego ucieczka spowoduje represje i rozstrzelanie trzech księży z tej samej grupy. „Nie mogę narazić na śmierć trzech moich przyjaciół w niedoli, aby uratować się sam. Jako kapłan i Polak nie mogę tego uczynić" – mówił.

W Dachau skierowano go do Gusen i komanda budującego domy dla oficerów SS. Przydały się jego zamiłowanie do majsterkowania i znajomość elektryczności, ale – jak dał świadectwo inny kapłan, ks. Edmund Palewodziński, także więzień niemieckich obozów i ofiara zbrodniczych eksperymentów medycznych, który przez tydzień dzielił los z przywiezionym z Gusen z powrotem do Dachau ks. Musiałem – stan jego zdrowia był beznadziejny. Wychudł do tego stopnia, że nie mógł się poruszać. Nogi jego były cienkie jak przedramię i nie potrafiły go utrzymać. W świadectwie zgonu ks. Stanisława Musiała figuruje data 24 grudnia 1940 r. Po sześciu dniach jego szczątki spalone zostały w krematorium obozowym. W styczniu 1941 r. puszkę z prochami odebrała siostra księdza, po wpłaceniu obowiązkowej opłaty w wysokości ośmiu marek.

13 czerwca 1999 r. na Mszy na Placu Piłsudskiego w Warszawie Jan Paweł II wyniósł na ołtarze 108 błogosławionych męczenników czasu drugiej wojny światowej, zaznaczając, że jest jeszcze wielka rzesza im podobnych. Jednym z takich, w jakiejś mierze powiedzieć można bezimiennych, męczenników pozostaje ks. Stanisław Musiał. Książka o nim jest – jak to określił ks. dr Paweł Hoppe – „cegiełką tej wielkiej i cennej budowli Martyrologium XX wieku". A dla autora była sprawą najważniejszą z ważnych, bo rodzinną. ©℗



★★★★★★

GRZEGORZ MUSIAŁ „WUJEK STASIU" EPIGRAM, BYDGOSZCZ 2026

eprasa.pl ef045d2c96



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ta, która ocalała

Posiadam ostatnią cząstkę przeszłości – widmo ojca przerywającego wstęgę na zdjęciu oprawionym w metalową ramkę". „Mój buntowniczy garb przebił dziecięcą skorupę i pokrył się szczeciną młodego dzika". Jakże dobrą pisarką jest Patti Smith, niemal tak dobrą jak Joan Didion. Znana światu jako wokalistka i autorka piosenek dla mnie jest poetką prozy; uwielbiam czytać jej wspomnienia zamieniające się w medytacje nad życiem i przemijaniem. Lepsze to od zdecydowanej większości współczesnych książek o niczym wyróżnianych różnymi Bookerami i innymi nagrodami, gdzie koronuje się jedynie to, co akurat modne.

Osiemdziesięcioletnia Patti Smith w „Chlebie aniołów" wraca do kluczowych momentów swego życia. O tych artystycznych sporo już się wcześniej dowiedzieliśmy, te dotyczące jej spraw prywatnych to sprawy nowe i zaskakujące. Jakby zbliżający się cień ostatecznego pożegnania skłonił pisarkę do ostatecznego uporządkowania swoich spraw. A jak inaczej je uporządkować, jeśli nie wyznając prawdę i całą prawdę? Oddana do adopcji córka (zauważcie – można być ikoną kontrkultury, NIE dokonując aborcji), szokujące odkrycie w dziejach własnej rodziny, ale przede wszystkim linia cienia przekroczona w chwili, gdy wszystkie ważne dla niej osoby zaczęły umierać jedna po drugiej. Życie jest pasmem strat, a poezja to opłakiwanie zmarłych, lecz nie powinno nas to przygnębiać – można zamiast nurzać się w traumie, znaleźć sposób, na przetworzenie tego wszystkiego w rzeczy dobre i piękne.

Mam twórczość Patti Smith za piękną, jej styl za urzekający, jej szczerość za nieudawaną. Czytałem z przyjemnością jej „Rok Małpy" czy „Poniedziałkowe dzieci". Nie znaczy to, że podpisuję się pod wszystkimi jej przemyśleniami czy że podpisałbym się pod rozmaitymi życiowymi wyborami. Prawdziwy talent w świecie nieustannego hałasu przebija się jednak za rzadko, więc będę nadal zwracał na jej książki uwagę. W odróżnieniu od wielu legend z jej pokolenia, zaćpanych, zapitych na śmierć, zdmuchniętych przez AIDS albo głupie wypadki sprowokowane głupim życiem Patti przeżyła. Nie dlatego, że miała szczęście. Dlatego że była mądrzejsza. Tym bardziej warto jej posłuchać, jak najlepszych piosenek Boba Dylana.



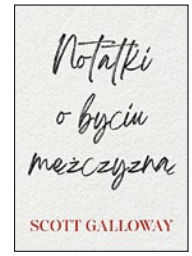
★★★★★★

PATTI SMITH „CHLEB ANIOŁÓW" CZARNE 2026

©℗

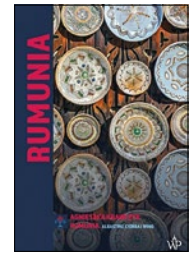
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dyscyplina, nauka, wsparcie, wyznaczanie granic są najważniejsze. Godni podziwu są żołnierze i strażacy. Rodzina jest najważniejsza. Poradnik pełen zdrowego rozsądku, czyli z punktu widzenia współczesnej kultury – herezji.



SCOTT GALLOWAY „NOTATKI O BYCIU MĘŻCZYZNĄ" ZYSK I S-KA

„Albastru, ciorba i wino" – ten podtytuł daje subiektywnemu przewodnikowi absolwentka filologii rumuńskiej, która po przeprowadzce do Bukaresztu podsumowuje lata swych wędrówek. A co to „albastru"? Sprawdźcie sami.



AGNIESZKA KRAWCZYK „RUMUNIA" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

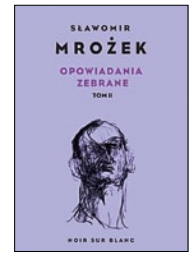
Jedna z najbardziej intrygujących książek Dicka, w której nie tylko powraca kluczowe dla niego pytanie o relację między tym, co prawdziwe i sztuczne, lecz także wybrzmiewa wątek metafizyczny – merceryzm, religia empatii.



PHILIP K. DICK „BLADE RUNNER" REBIS

Tom „Deszcz", wydany jeszcze w PRL, tom „Dwa listy" opublikowany już na emigracji w Instytucie Literackim (w tym słynna „Moniza Clavier") oraz teksty rozproszone z lat 1968–1981. Jak mawiają Anglicy: „must have".

recenzuje Piotr Gociek



SŁAWOMIR MROŻEK „OPOWIADANIA ZEBRANE", T. 2 NOIR SUR BLANC

KOMIKS TYGODNIA:
WOJNA NARRACJI

Niebo należy do Sokołów, a są nimi bohaterscy argentyńscy piloci. Komiks o wojnie o Falklandy/Malwiny z 1982 r. to przypowieść o heroizmie garstki w obliczu silniejszego wroga. Doskonały przykład tego, jak nawet przegraną batalię można zamienić w pozytywny element budowania narodowej mitologii. Polacy tego nie umieją, Argentyńczycy, jak się okazuje, tak.



NESTOR BARRON, WALTHER TABORA „MALWINY" SCREAM COMICS 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl ef045d2c96



Michał Krupa

W obliczu załamania się wielu frontów lub poczucia porzucenia przez USA Izrael mógłby przeprowadzić detonację nuklearną na dużej wysokości lub uderzenie demonstracyjne, by zmusić społeczność międzynarodową i Donalda Trumpa do interwencji na Bliskim Wschodzie



FOT. ILIA YEFIMOVICH/REUTERS/FORUM

Netanjahu w pułapce

W nerwowych dniach wojny Jom Kippur w 1973 r., gdy syryjskie i egipskie siły przełamywały linie rozejmu, a izraelska obrona była na granicy wytrzymałości, do Waszyngtonu miał dotrzeć jednoznaczny sygnał. Jonathan Pollard (były amerykański analityk wywiadu, który w latach 80. został skazany na dożywocie za szpiegowanie na rzecz Izraela, a następnie w roku 2020 w pełni ułaskawiony przez prezydenta Donalda Trumpa, wyemigrował do Izraela, gdzie jest traktowany jak bohater) w wywiadzie dla „Jerusalem Post" we wrześniu 2025 r. twierdził, że w krytycznych dniach października 1973 r. Izrael ustawił na płycie lotniska Tel Nof uzbrojony samolot z głowicami niekonwencjonalnymi w taki sposób, by był widoczny dla amerykańskich satelitów zwiadowczych. Przesłanie dla Henry'ego Kissingera, ówczesnego amerykańskiego sekretarza stanu, było klarowne: natychmiast wznowić dostawy broni, bo w przeciwnym razie Izrael nie będzie miał innego wyjścia niż eskalacja poza konwencjonalne środki. Kilka godzin później embargo zostało zniesione, a powietrzny most ruszył.

Ten epizod – niezależnie od tego, jak dokładnie został udokumentowany (konsensus historyków zgodnie twierdzi, że ówczesna premier Izraela Golda Meier oparła się presji użycia bomby atomowej) – stał się symbolem izraelskiej doktryny, tzw. opcji Samsona. Odwołuje się ona do biblijnego Samsona, który, oślepiony i zakuty w łańcuchy, zburzył świątynię filistyńską, ginąc wraz ze swoimi wrogami. Jednocześnie należy zaznaczyć, że Izrael nigdy nie potwierdził ani istnienia takiej „opcji", ani, rzecz jasna, swojego arsenału głowic jądrowych. Dziesiątki lat później, w czerwcu 2026 r., gdy Iran po raz pierwszy bezpośrednio zaatakował terytorium Izraela pociskami balistycznymi w odpowiedzi na izraelskie bombardowanie Libanu, ta sama logika egzystencjalnego przetrwania zapewne powraca w dyskretnych rozmowach strategicznych. Wielu zadaje sobie zasadne pytanie: Czy przy taktycznych sukcesach, które nie przełożyły się na zwycięstwo strategiczne, wewnętrznych tarciach politycznych i widocznych pęknięciach w amerykańskim wsparciu rosnąca presja może pchnąć Izrael ku progowi nuklearnemu? Czas ewidentnie nie sprzyja Izraelowi, podczas gdy wyraźnie działa na korzyść Iranu. Stawka obejmuje nie tylko Bliski Wschód, lecz stabilność całego świata.

IRAŃSKA PEWNOŚĆ SIEBIE

Wydarzenia z początku czerwca 2026 r. zapiszą się jako przełom. Doświadczony analityk wojskowy, Elijah J. Magnier, napisał na platformie społecznościowej X o ostatniej wymianie ognia z początku czerwca między Izraelem, Iranem i jego sojusznikami w Libanie: „Po raz pierwszy od 1979 r. Iran przejął inicjatywę i zbombardował Izrael". Podkreślił on szersze konsekwencje: „Strategiczne bezpieczeństwo Beniamina Netanjahu legło w gruzach. Izraelskie odstraszanie zostało dziś zniszczone".

Nastąpiło przekroczenie bariery psychologicznej. Iran przestał zadowalać się odpowiedzią za pośrednictwem swoich proxies, zaczął narzucać własną doktrynę bezpośredniego odwetu. Co więcej, te uderzenia nastąpiły po izraelskich operacjach, które przyniosły zauważalne sukcesy taktyczne – osłabienie części irańskiej obrony przeciwlotniczej i infrastruktury, ale nie osiągnęły celu strategicznego: zmiany reżimu ani trwałego sparaliżowania irańskiego programu nuklearnego i rakietowego. Teheran zaś zademonstrował pewność siebie, przekonany, że ani Izrael, ani Stany Zjednoczone nie dysponują wiarygodną groźbą, która mogłaby zmusić Islamską Republikę do zasadniczej zmiany polityki. Warto zaznaczyć, że już w kwietniu br. prof. Robert Pape, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Chicagowskim i autor słynnej pracy „Bombing to Win: Air Power and Coercion in War" (1996),

eprasa.pl ef045d2c96

konstatował na łamach „New York Times": „Szybko wyłania się czwarty ośrodek globalnej siły – Iran – który nie dorównuje tamtym trzem [USA, Chinom, Rosji] krajom ani gospodarczo, ani militarnie. Jego nowa potęga wynika natomiast z kontroli nad najważniejszym strategicznym punktem światowego handlu energią – cieśniną Ormuz. Iran jest dziś znacznie silniejszy niż zaledwie 40 dni temu. Kontroluje 20 proc. światowej ropy naftowej. Stał się wschodzącą czwartą potęgą […]. Po jednej stronie stoją Stany Zjednoczone, a ich rywalami są Chiny, Rosja i teraz również Iran".

Premier Beniamin Netanjahu stoi przed katastrofalnym zbiegiem okoliczności. Na froncie północnym w Libanie nieustępliwy Hezbollah pod wodzą Naima Kassema pozostaje groźny i odporny. Ehud Barak, były premier i minister obrony Izraela, generał o bogatym doświadczeniu bojowym, opublikował w dzienniku „Haaretz" trzeźwą ocenę sytuacji. Według Baraka „nie ma żadnych oznak załamania Hezbollahu. Pod przywództwem Naima Kassema, którego przedstawiano opinii publicznej jako szarą, bezbarwną postać, Hezbollah jest żywy i ma się dobrze. Atakuje izraelską armię i mieszkańców północy, zakłóca życie cywilne i nie wykazuje najmniejszych oznak słabości ani chęci rozbrojenia. Jednym słowem: z perspektywy premiera sytuacja w Libanie to porażka. Dwoma słowami: całkowita porażka".

Barak podkreśla, że całkowita likwidacja Hezbollahu wymagałaby okupacji całego Libanu, scenariusza nierealnego i przywołującego w izraelskiej pamięci zbiorowej same najgorsze skojarzenia. Były izraelski premier twierdzi, że jedyną realną drogą do rozbrojenia organizacji jest proces dyplomatyczny z udziałem rządu Libanu, Stanów Zjednoczonych i innych państw regionu. Jego opinia ma szczególną wagę właśnie ze względu na wojskowe doświadczenie. Izraelczycy, zwłaszcza mieszkańcy północnych przygranicznych osiedli, są już na skraju wyczerpania z powodu ciągłych alarmów przeciwbombowych, powołań rezerwistów i strat gospodarczych. Jednocześnie operacje w Strefie Gazy ciągle trwają, równolegle ze skrajnie brutalnymi i de facto kolonizacyjnymi działaniami na Zachodnim Brzegu i sporadycznymi uderzeniami w innych miejscach. Długowieczność polityczna Netanjahu opierała się na projekcji nieustępliwej siły, lecz sondaże coraz wyraźniej wskazują na jego słabnącą pozycję. Coraz częstsze pęknięcia widoczne na linii Waszyngton – Jerozolima pogłębiają tylko problemy izraelskiego przywódcy, gdyż Donald Trump najwyraźniej stracił cierpliwość.

Według relacji z rozmowy telefonicznej, do której doszło 1 czerwca br., Trump miał krzyczeć i przeklinać Netanjahu: „Jesteś, k…, szalony! Siedziałbyś już w więzieniu, gdyby nie ja. Wszyscy cię teraz nienawidzą. Wszyscy nienawidzą Izraela przez to, co robisz". Tak przynajmniej relacjonował ową wymianę portal Axios. W kolejnych wypowiedziach Trump oświadczył „Financial Times", że Netanjahu „nie będzie miał wyboru" i będzie musiał zaakceptować każde porozumienie, jakie USA wynegocjują z Iranem. „To ja rozdaję karty. Ja decyduję o wszystkim. On [Netanjahu] nie decyduje". Prezydent miał również ostrzec, że dalsza eskalacja może pozostawić Izrael walczący w pojedynkę.

Wiceprezydent J.D. Vance wyszedł naprzeciw Trumpowi, dając wyraz istniejącym napięciom na linii Waszyngton – Tel Awiw. 8 czerwca stwierdził jednoznacznie, że Stany Zjednoczone będą nadal dążyć do porozumienia z Iranem w sprawie jego programu nuklearnego, niezależnie od stanowiska Izraela. „Izraelowi może się to podobać, a może nie, ale fundamentalnie uważamy, że jest to w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych. Dlatego będziemy kontynuować te wysiłki, ponieważ właśnie po to prezydent Stanów Zjednoczonych został wybrany. To jest nasze zadanie, aby właściwie służyć amerykańskiemu narodowi" – stwierdził Vance w wywiadzie z telewizją FOX News.

To napięcie uwidacznia nie tylko zależność Izraela od amerykańskiego wsparcia, dyplomatycznego, wojskowego i finansowego, lecz także to, że upór Netanjahu staje się coraz większym obciążeniem, nawet dla skrajnie proizraelskiego Trumpa. Jeden z amerykańskich urzędników ujął to następująco w rozmowie z Axios: „Bibi potrzebuje wojny, żeby przetrwać politycznie w Izraelu, a Trump potrzebuje zakończenia wojny, żeby przetrwać politycznie w USA".

WIDMO RYZYKOWNYCH POSUNIĘĆ

Izraelska polityka nuklearnej niejednoznaczności (ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia posiadania broni jądrowej) od dekad stanowi fundament bezpieczeństwa państwa. „Opcja Samsona" zakłada masowe uderzenie odwetowe w sytuacji egzystencjalnego zagrożenia, nawet jeśli miałoby to oznaczać samozagładę. Wiceminister obrony Szymon Peres zapewniał jedynie w 1963 r. w rozmowie z prezydentem Johnem F. Kennedym: „Nie wprowadzimy broni nuklearnej do regionu i z pewnością nie będziemy pierwsi". „Wprowadzenie" oznacza test lub publiczne ogłoszenie posiadania broni jądrowej. Dopóki Izrael nie przeprowadzi testu i nie przyzna się oficjalnie, dopóty formalnie „nie wprowadził" broni do regionu, nawet jeśli ją posiada.

Taka interpretacja pozwoliła rozwinąć arsenał bez złamania obietnicy danej Kennedy'emu. Nie jest to również, warto zaznaczyć, deklaracja „no first use" (nie użyję jako pierwszy). Fraza Peresa mówi o wprowadzeniu (czyli pojawieniu się w regionie), a nie o użyciu w konflikcie.

A więc „nie użyję pierwszy" – takiej deklaracji Izrael nigdy nie złożył.

Uwagi Pollarda z 2025 r. na nowo ożywiły debatę, sugerując, że Izrael już wcześniej sygnalizował gotowość do użycia broni nuklearnej, by uzyskać kluczowe wsparcie. W 2026 r. kilka nakładających się czynników podnosi to ryzyko. Wizerunek izraelskiego niezniszczalnego mocarstwa regionalnego zasadniczo legł w gruzach.

Postępy nuklearne Iranu, poziom wzbogacania i skrócenie czasu breakoutu nuklearnego budzą w Jerozolimie coraz większy niepokój. Krążące w ostatnich dniach pogłoski za pośrednictwem byłego analityka CIA Larry'ego Johnsona, powołującego się na dobrze poinformowane źródło, że Iran miał zasygnalizować Pakistanowi, iż posiada już jedną bombę atomową, jeśli prawdziwe, zapewne zostały odnotowane.

W takiej sytuacji imperatyw politycznego przetrwania skłaniałby koalicję Netanjahu, szczególnie jej bardziej skrajnych członków (i jego osobiste kłopoty prawne), do ryzykownych posunięć. Tally Gotliv, posłanka Likudu, w październiku 2023 r. powiedziała, że „jedyną rzeczą, która może przywrócić godność, siłę i bezpieczeństwo temu krajowi, jest eksplozja, która wstrząśnie całym Bliskim Wschodem". Miesiąc później w wywiadzie radiowym

eprasa.pl ef045d2c96

minister dziedzictwa Amichai Eliyahu z koalicyjnej partii Otzma Yehudit (Żydowska Siła) oświadczył, że jedną z opcji Izraela w wojnie z Hamasem może być zrzucenie bomby atomowej na Strefę Gazy. Jego słowa zostały natychmiast odrzucone przez premiera Beniamina Netanjahu, który co prawda zawiesił ministra w udziale w posiedzeniach rządu, ale pozostawił go na stanowisku. Przypomnę, że mowa była o Strefie Gazy, gdzie bojownicy Hamasu walczyli uzbrojeni w broń lekką i amatorskie rakiety krótkiego zasięgu. Jakie kalkulacje muszą wobec tego wchodzić w grę w obliczu uzbrojonego po zęby w rozmaity arsenał rakietowy Iranu z 90-milionową populacją?

Co więcej, amerykańska presja na deeskalację, widoczna w ostatnim czasie nieskrywana chęć Trumpa do zawarcia porozumienia „niemal za wszelką cenę", zawęża okno dla samodzielnych działań Izraela.

W rozmowie z DoRzeczy.pl Lawrence Wilkerson, pułkownik US Army w stanie spoczynku i były wieloletni doradca i szef gabinetu Colina Powella, twierdzi, że Netanjahu znalazł się w bardzo niekorzystnym położeniu. „Po pierwsze, żadna z jego wielu wojen nie idzie dobrze, choć nadal zabija bez litości Gazę, Libańczyków wszystkich wyznań, tropi i morduje Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu i we Wschodniej Jerozolimie, spogląda łakomym okiem na Syrię i prowadzi sporadyczne wojny powietrzne z Iranem. Po drugie, znajduje się w poważnych tarapatach politycznych w Izraelu, ponieważ sondaże coraz wyraźniej wskazują, że przegra nadchodzące wybory (co dla niego oznacza więzienie). Najsilniejszym argumentem jego przeciwników jest to, że nie zabija mieszkańców Gazy, Libańczyków i bojowników Hezbollahu wystarczająco szybko i że ugina się przed prezydentem USA, co czyni go jeszcze mniej znośnym dla 80 proc. izraelskich Żydów, którzy uważają, że nie zabija wystarczająco wielu »wrogów Izraela«. To może być koniec jego długich, brutalnych rządów. I szczerze mówiąc, co najmniej 70 proc. świata odetchnie z ulgą, gdy odejdzie, choć ostatecznie niewiele to pomoże".

Komentarz Wilkersona, oparty na dekadach doświadczenia w najwyższych kręgach polityki USA, pokazuje, jak izraelska polityka wewnętrzna, w której krytyka Netanjahu często sprowadza się do zarzutu „niedostatecznej agresji", może paradoksalnie pchać ku jeszcze bardziej ryzykownym decyzjom. Zdesperowany przywódca, zagrożony sondażami, procesami sądowymi i militarnymi porażkami, może uznać dramatyczną eskalację, włącznie z sygnalizowaniem lub użyciem broni nuklearnej w ostateczności, za drogę do politycznego ocalenia. Gideon Rachman ujął te nastroje trafnie na łamach „Financial Times": „Wielka strategia Netanjahu się rozpada. Izraelski przywódca próbował zapewnić bezpieczeństwo swojego kraju wyłącznie środkami militarnymi. To nie działa". Dylemat jest dramatyczny: odpowiedzieć na irańskie uderzenia i ryzykować otwarty konflikt z administracją USA czy powstrzymać się i zaakceptować nową, znacznie bardziej restrykcyjną równowagę sił?

Legendarna izraelska zdolność adaptacji przechodzi najpoważniejszy test w swojej historii. Opcja nuklearna nie pojawia się z chęci apokalipsy, lecz z logiki przetrwania

Jakie więc możliwe scenariusze wchodzą w grę?

PREMIER POD OGROMNĄ PRESJĄ

To moja czysta spekulacja, ale jeśli izraelski wywiad uzna, że Iran jest o krok od uzyskania broni jądrowej w warunkach potencjalnego zagrożenia reżimu, to państwo żydowskie może zdecydować się na masowe uderzenie, w którym broń nuklearna zostanie rozważona jako ostateczność. To mimo wszystko jeszcze opcja „umiarkowana". Druga opcja jest znacznie bardziej brzemienna w skutki.

W obliczu załamania się wielu frontów lub poczucia porzucenia przez USA Izrael mógłby przeprowadzić detonację nuklearną na dużej wysokości lub uderzenie demonstracyjne, by zmusić społeczność międzynarodową i Trumpa do interwencji.

Scenariusz trzeci nie wygląda lepiej.

Duże irańskie uderzenie powodujące znaczne ofiary prowadzi do izraelskiej odpowiedzi na cele wrażliwe, a seria nieporozumień pcha obie strony ku krawędzi.

Choć czynniki hamujące pozostają silne. Izraelska doktryna rezerwuje broń jądrową na prawdziwie egzystencjalne zagrożenie, amerykańska presja i wymiana informacji działają jak hamulce, a globalne normy i pewność katastrofalnego odwetu powstrzymują racjonalnych aktorów. Prawdopodobieństwo jest niskie, ale w warunkach wysokiej stawki nawet mało prawdopodobne zdarzenia mogą się zmaterializować przez łańcuch błędów.

Wydarzenia z początku czerwca 2026 r. pokazują Netanjahu w pułapce, rysują obraz lidera pod ogromną presją. Legendarna izraelska zdolność adaptacji przechodzi najpoważniejszy test w swojej historii. Opcja nuklearna nie pojawia się z chęci apokalipsy, lecz z logiki przetrwania, gdy drogi konwencjonalne się zamykają, a polityczne zegary zaczną tykać coraz głośniej.

Czas jest krótki, dla Izraela wyjątkowo krótki, biorąc pod uwagę wszystkie kryzysy, w których to państwo, z własnej winy zresztą, się znalazło. Jak wielokrotnie uczyła nas historia, od skutków pewnego sarajewskiego zamachu po kryzys kubański, spirala wojenna potrafi wymknąć się spod kontroli zadziwiająco szybko. Jak obserwował Carl von Clausewitz w klasycznym dziele „O wojnie": „Wojna jest królestwem niepewności [...], trzy czwarte czynników, na których opiera się działanie wojenne, spowite są mgłą większej lub mniejszej niepewności".

Przy ustawianiu Zegara Zagłady na 85 sekund do północy 27 stycznia br. eksperci z „Bulletin of Atomic Scientists", prestiżowego, niezależnego czasopisma założonego w 1945 r. przez naukowców z Projektu Manhattan, które zajmuje się analizą globalnych zagrożeń egzystencjalnych, przede wszystkim ryzykiem wojny nuklearnej, bezpośrednio wskazali konflikt na Bliskim Wschodzie jako jeden z kluczowych czynników zwiększających ryzyko nuklearne.

Wystarczy jeden nieprzemyślany krok, jedno błędne założenie, jedna desperacka decyzja. Warto pamiętać, że historia zna nie tylko Samsona, który zburzył świątynię. Zna też Dawida, który zwyciężył dzięki inteligencji i precyzji, nie tracąc przy tym własnego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Porzucić Zachód, uratować polskość



Marcin Skalski

Przetrwanie polskości już teraz stało się nie do pogodzenia nie tylko z kulturową, lecz także z polityczną przynależnością do bloku zachodniego. Alternatywą dla resetu z Rosją i całym Wschodem jest za to powolny upadek Polski na podobieństwo krajów Europy Zachodniej

Rosja właśnie narzuciła Polsce prawne uznawanie „małżeństw" zboczeńców, wcześniej z kolei zdominowała polski rynek medialny, na którym nieustannie sączy treści uderzające w fundamenty rodziny, normalizując wśród naszych kobiet ocierającą się o prostytucję rozwiązłość – i to najlepiej z egzotycznymi obcokrajowcami. Rosjanie narzucają nam Zielony Ład, pakty migracyjne, każą zamykać fabryki i kopalnie oraz czynią z Polaków niewolników lichwiarskich kredytów hipotecznych – oczywiście w rosyjskich bankach. Polskie rolnictwo oraz branża transportowa, karmiące tysiące polskich rodzin, są śmiertelnie zagrożone przez nieuczciwą konkurencję z Rosji.

Nieprawda? Nie szkodzi. Najważniejsze, aby nadal być częścią Zachodu wraz z wyżej wymienionymi „dobrodziejstwami". Alternatywą jest przecież but rosyjskiego żołnierza nad Wisłą, rusyfikacja, kibitki i wieszanie kolejnych pokoleń powstańców na warszawskiej Cytadeli. Historia i polityka nie lubią wszakże odcieni szarości, a jeśli jednak jest inaczej, to zagrożenie rosyjskie jest akurat zagadnieniem innym niż wszystkie. Nie podlega ono weryfikacji empirycznej – jest zjawiskiem niemal mistycznym, które wymyka się zwykłej logice, a stanowi o fundamentach jestestwa Polski i jej misji dziejowej. Bez zagrożenia ze strony Rosji Polska po prostu nie mogłaby istnieć. Gdyby zagrożenia tego nie było, to i tak należałoby je wymyślić. Amen.

POGODZENI GEOGRAFIĄ

Przeciwnicy odprężenia z Federacją Rosyjską wciąż nie są w stanie odpowiedzieć na podstawowe pytania. Po pierwsze: Co właściwie Polska straciłaby na normalizacji stosunków z Kremlem? Po drugie: Dlaczego mamy walczyć z Rosją akurat o mocarstwowe granice byłej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej?

Powyższe pytania są kluczowe. Posuwająca się wciąż jeszcze powoli, ale cały czas systematycznie naprzód na froncie ukraińskim Rosja w swoich roszczeniach nie uwzględnia nawet przedrozbiorowego terytorium Polski, nie wspominając już o Kresach Wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej. Co dopiero mówić o terytorium na zachód od linii Curzona-Stalina, którą ustanowiono po drugiej wojnie światowej wschodnią granicą Polski. Ewentualne rozszerzenie rosyjskich roszczeń o kolejne tereny nie będzie obejmować przecież ani obszarów zamieszkanych dziś przez liczne społeczności polskie, ani też posiadających przynajmniej pomniki naszej materialnej spuścizny kulturowej. Gdyby tak się jednak stało, to i tak Federacja Rosyjska nie odbierałaby naszej własności akurat państwu polskiemu, lecz innemu jej aktualnemu dysponentowi. Z kolei to, co jest polskiego w Charkowie, Odessie i reszcie historycznej Noworosji czy też nawet w Kijowie, pojawiło się tam właśnie w czasach Rosji carskiej, nie jest to jednak spuścizna stricte po Rzeczypospolitej. Nie ma tam polskiego status quo ante w sensie państwowym, więc konflikt o te tereny to wyłącznie sprawa Ukrainy i Rosji. Tego typu terytorialne ubytki nie odbierają bowiem Ukrainie jedynej funkcji, do której jest ona Polsce potrzebna, a więc statusu państwa buforowego.

Z kolei granica w dawnych Prusach Wschodnich z rosyjskim obwodem kaliningradzkim pokrywa się na całej jej długości z rozgraniczeniem etnicznym. Rosja nie potrzebuje polskiego terytorium nawet dla tranzytu do tej eksklawy. Nie mamy także u siebie choćby śladowej mniejszości rosyjskiej bądź wiernych moskiewskiego prawosławia, chyba że są to imigranci wpuszczani tu w ramach ultraliberalnej polityki migracyjnej kolejnych rządów schyłkowej III RP, bo przecież do dalszego zaniżania Polakom płac i jednoczesnego zawyżania cen mieszkań w interesie zachodniego kapitału nie wystarczą już nawet wielomilionowa diaspora ukraińska czy coraz liczniej sprowadzani nad Wisłę „książęta Orientu". Polski i Rosji nie dzielą dziś zatem ani kwestie geopolityczne, ani też etniczne czy konfesyjne. Przede wszystkim wygasł konflikt o ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego i dawnej Rusi Kijowskiej, ponieważ dziś istnieją tam buforowe państwa utworzone przez bolszewików na gruzach carskiej Rosji, po 1945 r. zasilone terytorialnie polskimi Kresami przez Józefa Stalina. Geopolitycznie Polska i Rosja zostały od siebie odepchnięte w kierunkach o przeciwnym wektorze – na Zachód i na Wschód.

RAMIĘ W RAMIĘ Z ESTOŃSKIM MOCARSTWEM

Najdobitniej fantomową głównie postać „rosyjskiego zagrożenia" widać wtedy, gdy różne mądre głowy próbują mu akurat zaradzić. Przebojem ostatnich kilku sezonów jest pomysł bliskiej współpracy wojskowej i politycznej

eprasa.pl ef045d2c96

z takimi gigantami militarnymi jak Litwa, Łotwa i Estonia. Autorzy tych propozycji zapominają, że X + 0 wciąż równa się X i równanie to da dokładnie taki sam wynik, gdy do X dodamy choćby i trzy zera. Skoro jednak nawet nadbałtyckie państewka w tej właśnie liczbie są w stanie skutecznie odpierać niebezpieczeństwo ze strony Kremla, to oznacza to co najwyżej tyle, że tego skrajnie przeskalowanego zagrożenia obiektywnie po prostu nie ma.

Tymczasem współcześnie moglibyśmy czerpać korzyści z kolejnych dekad pokoju i relatywnego dobrobytu, koniecznych chociażby dla uratowania naszej tragicznie rokującej demografii, psutej bezmyślnie kolejnymi falami coraz „bliższych kulturowo" imigrantów. W przeciwieństwie do sytuacji z roku 1945 zapłacilibyśmy za to nie własną krwią i nie ojczystą ziemią, lecz uprzejmą odmową żyrowania w regionie interesów amerykańskich, brytyjskich, niemieckich, nie mówiąc już o tych ukraińskich. W ostateczności wystarczy przecież odmowa oddawania w zastaw bezpieczeństwa Polski za korzystny dla państw trzecich przebieg ich granic. W przeciwnym razie w skrajnych przypadkach terytorium Rzeczypospolitej staje się po prostu niezdatne nie tylko dla planowania jakiejkolwiek przewidywalnej przyszłości dla siebie i własnej rodziny, co już i tak byłoby ciosem dla naszej demografii, lecz także do jakiegokolwiek życia, jeśli Polska ma być areną wyniszczającego konfliktu w imię walki z urojonym zagrożeniem. Rzeczpospolitą może zamieszkiwać nawet dwadzieścia czy kilkanaście milionów ludzi, wzrost gospodarczy może spowolnić lub zupełnie odwrócić bieg, ale od tego dna mimo wszystko da się w perspektywie czasowej odbić. Podmiana etniczna czy rasowa to z kolei procesy nieodwracalne, ale jednak wciąż powolne, natomiast przyjęcie na swoim terytorium wielkiej wojny na wyniszczenie to już śmierć natychmiastowa.

Czy choćby uniknięcie tego ostatniego scenariusza nie jest warte odprężenia z Rosją? Co Polska zyskuje na obecnej eskalacji napięcia? Czy przeciwnicy resetu postępowaliby tak nonszalancko, gdyby chodziło o życie i przetrwanie członków ich własnych rodzin? Naród polski składa się z tysięcy takich właśnie wspólnot, polskich rodzin wystawianych na śmiertelne niebezpieczeństwo przez idiotów w garniturach i – co szczególnie przykre – także w mundurach. Jak przy tym zmobilizować społeczeństwo do ofiarnej służby w wojsku, skoro proponuje mu się rolę mięsa armatniego za cudze interesy?

Tymczasem nawet najdroższy sprzęt nie zastąpi głębokiej wiary narodu w sens zbiorowego i indywidualnego poświęcenia, a o to będzie trudno, jeśli adresatem polskiego patriotyzmu ma być interes jakichś „wschodnich flanek NATO" czy „wspólnoty Zachodu". Z kolei III RP nie jest choćby w stanie wykarmić wszystkich swoich dzieci, z których część regularnie nie dojada, nie umie też skutecznie przeciwdziałać wykluczeniu transportowemu całych połaci kraju ani prowadzić polityki mieszkaniowej z prawdziwego zdarzenia, na arenie międzynarodowej nie potrafi zaś obronić nawet własnych rodaków na Litwie – a chce rzucać wyzwanie Rosji? Czym, kim i przede wszystkim po co?

POLSKOŚĆ KRESÓW ZAMIAST RUSOFOBII

Tymczasem problem Polski nie polega na próbach restauracji rosyjskiego imperium. Natomiast problemem tym jest, że Polska nie wypłaca sobie dywidendy właśnie z tytułu braku śladu po rosyjskim imperializmie. Istnienie niepodległej Litwy czy Łotwy oraz ograniczenie dostępu Rosji do Bałtyku do niezbędnego dla niej minimum, zaledwie przez Kaliningrad i Petersburg, jest właśnie jednym z przejawów wyłącznie fantomowej postaci imperializmu Rosji. Tymczasem takie kraje jak Łotwa, a już w szczególności Litwa, warunki swojego istnienia powinny negocjować właśnie

W Europie Wschodniej będziemy z Kremlem w konflikcie wyłącznie wtedy, jeśli będzie on sprzyjał wynaradawianiu Polaków na Kresach. Tak się dziś jednak nie dzieje



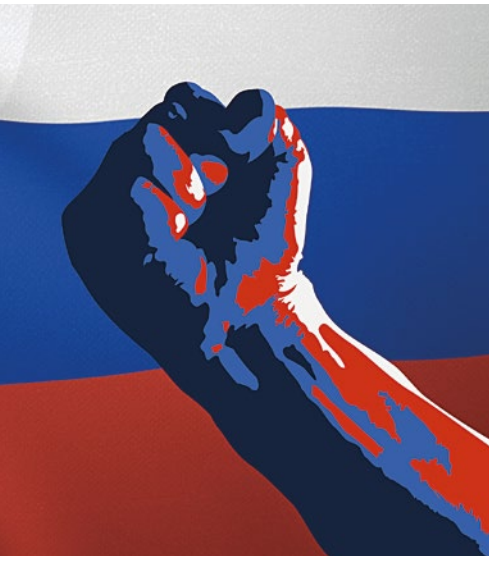
FOT. ADOBE STOCK

z Polską. Nasze najbardziej żywotne interesy nie polegają przecież na darmowym podawaniu kroplówki tym wymierającym i pozbawionym znaczenia militarnego mikropaństwom, żeby te mogły tylko kontynuować swój szowinistyczny kurs wobec mniejszości narodowych. Za linią Curzona-Stalina pozostało przecież kilkaset tysięcy Polaków zamieszkujących Wileńszczyznę oraz samo miasto Wilno, a kolejne kilkadziesiąt tysięcy rdzennej ludności polskiej zamieszkuje obecną Łotwę. Wachlarz polskich roszczeń będzie szczególnie szeroki wobec Republiki Litewskiej, ponieważ usankcjonowany państwowo antypolski szowinizm zapuszcza tam korzenie już od XIX w.

Jednak co Polskę właściwie obchodzi, czy Charków lub Odessa będą ukraińskie? Jakie też ma dla nas znaczenie, czy Narwa będzie należała do Estonii czy do Rosji? Czy mieszkają tam jacyś Polacy? I czemu normalizacja stosunków z Moskwą ma być nie do przyjęcia, skoro jej ceną i tak nie byłyby nawet żadne z naszych ziem? A może po prostu zapominamy, do czego w ogóle ma nam służyć państwo polskie? Celem tym na pewno nie jest przecież nienaruszalność granic byłych republik sowieckich. Zresztą skoro III RP sama abdykowała z troski o interesy Polaków na Litwie, Łotwie, Białorusi czy Ukrainie, to tym bardziej nie powinno nas interesować, do jakiego państwa przynależą tereny zamieszkane przez Rosjan. Niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii oraz ich granice są zresztą przez Rosję respektowane, choć gdyby było inaczej, to przecież i tak nikt by tego nie zauważył.

Z polskiej perspektywy wartość resetu z Rosją nie wynika wszelako z prze-

eprasa.pl ef045d2c96



słanek, że „Polska kończy się na Bugu". Zdanie to jest prawdziwe, ale tylko biorąc pod uwagę aktualny przebieg granicy. W innym przypadku należałoby uznać, że w okresie zaborów coś takiego jak Polska nie istniało w ogóle, a przecież historia Polski pozbawionej niepodległości i jakichkolwiek granic wciąż biegła dalej. Nie chodzi tu o święty spokój, o porzucenie obszaru Kresów, lecz o to, że polskie interesy w zakresie fundamentalnych praw polskich społeczności kresowych nie znoszą się wzajemnie z interesami rosyjskimi.

Nie ma racji Adam Wielomski, który przekonuje, że nigdy nie wrócimy na Kresy, ponieważ zamieszkują je narody o odrębnej świadomości narodowej, z własnymi elitami i pragnieniem niepodległości. Niemożność powrotu na Kresy może wynikać z wielu przesłanek, ale nie z tych. Wielomski błędnie portretuje historię Polski jako zataczającą krąg – od granic piastowskich u zarania jej istnienia do dzisiejszej, bardzo podobnej postaci terytorialno-państwowej. Tymczasem nie była to żadna prawidłowość ani dziejowa konieczność, historia wbrew pozorom wciąż toczy się po staremu, czyli linearnie, choć czasem da się cofnąć skutki jej biegu. W 1945 r. do Polski wróciły Ziemie Odzyskane – Olsztyn i cała Warmia oraz Elbląg utracone w I rozbiorze w 1772 r., czyli aż po 173 latach. Do tego Wrocław z resztą Śląska po 610 latach, wcześniej II RP odzyskała część Górnego Śląska po 586 latach. Na Szczecin czekaliśmy jeszcze dłużej – wrócił do Polski po co najmniej 764 latach, będąc w orbicie polskiego zainteresowania także za Jagiellonów. Czyżby pozbawieni tych terenów Niemcy nie byli w roku 1945 narodem o wyraźnym poczuciu odrębności? Czy też powrotem Polski nad Odrę, Nysę Łużycką i Bałtyk rządził jakiś nadprzyrodzony determinizm, który z kolei nie pozwala wrócić na Kresy?

Polska to nie jest szafa, którą można przesuwać z kąta w kąt. „Kresowi apostaci" nie byliby tak chętni do przyklaskiwania obcinaniu własnej ojczyzny, gdyby chodziło o ich prywatną własność – np. do części ich domu zajmowanej przez członków rodziny wprowadził się Ukrainiec bądź Litwin, a oni sami musieliby zadowolić się „w zamian" zajmowanym kiedyś przez pradziadka strychem do kapitalnego remontu. Coś, co jest nieakceptowalne w takiej perspektywie, nie może być do przyjęcia także w życiu całego narodu, a przecież Polska to właśnie nasz wspólny dom. Reset z Rosją to zaś wyznaczenie konkretnego priorytetu – w Europie Wschodniej będziemy z Kremlem w konflikcie wyłącznie wtedy, jeśli będzie on sprzyjał wynaradawianiu Polaków na Kresach. Tak się dziś jednak nie dzieje.

PRZETRWAĆ, BY ŻYĆ

Tymczasem państwa bałtyckie mogą oczywiście nie życzyć sobie polskiej protekcji, ale to oznacza, że jej po prostu nie potrzebują, a zagrożenia ze strony Rosji tak naprawdę nie ma. Mogą jej też potrzebować, co stwarza szansę narzucenia im naszej woli. Jednak i to nie następuje, bo w obawie przed Rosją porzucany jest nasz własny interes, co jaskrawo widać na przykładzie Ukrainy. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Ukraińcy naprawdę pozbyli się kultu Stepana Bandery i jednak nie chcieli, byśmy odczuwali z tego powodu przykrość – wówczas Kijów mógłby wręcz liczyć na 100 proc. wydatków z polskiego budżetu, ale i zadłużanie kolejnych pokoleń Polaków na jego rzecz. Część z tego scenariusza i tak się przecież realizuje, oczywiście ma to ochronić nas przed Rosją. Inaczej zaś sprawa ma się z Białorusią – znika z pola widzenia, gdy trzeba uzasadniać wykrwawianie się Polaków na rzecz Ukrainy, byle nie mieć dłuższej granicy z Rosją, ale jednocześnie wyłania się spod ziemi, gdy przychodzi do uzasadniania, że jako rosyjski wasal jest zagrożeniem na naszej wschodniej granicy. Oto „Białoruś Schrödingera" – jednocześnie jest, a zarazem jej nie ma. Sprzeczność występuje też w argumentacji przeciwko resetowi z Rosją – nie można go przeprowadzić, bo Rosja nam zagraża, a jednocześnie reset nie ma sensu, bo Rosja i tak jest słaba. Antyrosyjskość jest po prostu postulowaną esencją polskości i dogmatem, którego nie ma potrzeby uzasadniać, ale to właśnie dlatego Polacy są narodem zbiorowo chorym, ponieważ ich program pozytywny sprowadza się wyłącznie do przynależności do „Zachodu", nawet tego zdegenerowanego.

Tymczasem spełnia się czarny sen Ameryki, przed którym przestrzegał Zbigniew Brzeziński w „Wielkiej szachownicy" – następuje synergia Rosji, Chin oraz Iranu przeciwko wpływom USA w Eurazji. Stany Zjednoczone nie są w stanie temu przeciwdziałać, a odpowiedzialność za Europę wyraźnie cedują na Niemcy, zachowując jedynie pakiet kontrolny. Wojnę z Iranem – wprawdzie na punkty, a nie przez nokaut – Ameryka przegrała. Amerykańskie bazy przestały być gwarantem pokoju, którym dla naszego regionu już teraz są szlaki handlowe przecinające Eurazję przez terytorium Polski. Kwestią czasu jest też zjednoczenie Chin i ich pełne wyjście przez Tajwan na Pacyfik. Rosja, która w swoich celach wojennych ma poparcie Pekinu, prędzej doprowadzi do wojny nuklearnej, niż pozwoli Zachodowi na umoszczenie się na Ukrainie. Czy powolne gnicie Polski na wzór państw zachodnich lub wręcz ryzyko jej całkowitego zniszczenia są warte trzymania się dogmatu rusofobii? Alternatywa wciąż leży na stole.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Głos w dyskusji zabierali:

Marcin Skalski, „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?", „DRz" nr 19/2026
Rafał A. Ziemkiewicz, „Reset z Rosją? Po co?", „DRz" nr 21/2026
Piotr Semka, „Polskie bezpieczeństwo, czyli stare klisze wcale nie są stare", „DRz" nr 22/2026
Adam Wielomski, „Wybić się na samodzielność", „DRz" nr 23/2026
Maciej Pieczyński, „Niebezpieczne mrzonki", „DRz" nr 24/2026

eprasa.pl ef045d2c96

Co się stało z pogromcami „ruskich onuc”?



FOT. ADOBE STOCK



Jan Fiedorczuk

Na polskiej prawicy nawet najwięksi ukrainoentuzjaści tracą cierpliwość do Wołodymyra Zełenskiego. Po czterech latach mainstream powtarza słowo w słowo to, co pisaliśmy w „Do Rzeczy” od 2022 r. Lepiej późno niż wcale

Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy”, „musimy wykorzystać wiekopomną szansę”, „na Ukrainie trwa wojna o demokrację” – takie hasła przez miesiące, jeżeli nie lata, dominowały w polskim mainstreamie. Gdy w „Do Rzeczy” wskazywaliśmy, jak absurdalnie brzmią podobne teksty, w najlepszym razie spotykaliśmy się z zupełnym niezrozumieniem. Szczególnie przedstawiciele okołopisowskiej prawicy pozostawali zacietrzewieni i nie dopuszczali do siebie ani informacji o korupcji na Ukrainie, ani tez o sprzecznych interesach obu narodów. Absolutnym szczytem tego zaślepienia był postulat budowy polsko-ukraińskiej federacji. Najgłośniejszym orędownikiem takiego tworu był bodaj Marek Budzisz ze Strategy & Future, ale w podobne tony uderzali choćby Jerzy Marek Nowakowski z Nowej Konfederacji, Tomasz Terlikowski, Marek Jakubiak czy prezydencki doradca prof. Andrzej Zybertowicz.

Bezrefleksyjnie witano miliony migrantów, z radością wieszcząc koniec państwa narodowego i marząc o przyszłym regionalnym mocarstwie. Tym emocjom w jakimś stopniu zaczęły ulegać same władze państwa. – Oddzielnie Ukraina i Polska są sporymi, ale jednak cały czas średniej wielkości krajami. Łącząc swoje siły, w różnych obszarach, jesteśmy w stanie być poważnym partnerem zarówno dla naszych sąsiadów z zachodu, jak i dla wschodu – dowodził ówczesny szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. Sam prezydent Andrzej Duda z okazji święta 3 Maja ogłosił „zaręczenie obu narodów”, twierdząc, że już niedługo „nie będzie granicy i będziemy żyli razem, na tej ziemi, odbudowując się i budując swoje wspólne szczęście i swoją wspólną siłę”, a jego doradca, prof. Andrzej Zybertowicz, zastanawiał się, czy „koncepcja jakiejś unii polsko-ukraińskiej albo Rzeczypospolitej wielu narodów nie mogłaby być wspaniałą przygodą dla pokolenia młodych ludzi”.

UKRAINA ZAGROŻENIEM?

Podobnie życzeniowych opinii było multum. Nie świadczyły one w żadnym stopniu o Ukraińcach, natomiast wiele mówiły o polskich kompleksach i niedojrzałości politycznej naszych elit. Pamiętam, jak pod koniec 2022 r. brałem udział w panelu na ECR Party Warsaw Summit – imprezie europejskich konserwatystów – gdzie spierałem się z Markiem Budziszem na temat pomysłu tejże federacji. – Nie chodzi o to, by wygrać wojnę, tylko by wygrać pokój – grzmiał ekspert Strategy & Future. To hasło było doskonałym podsumowaniem marzeń polskiej prawicy w temacie Ukrainy (i znacznej części mainstreamu w ogóle): wzniosłe, przebojowe hasło, które absolutnie nic nie tłumaczyło. Ciekaw jestem, czy dzisiaj, gdy rozbieżność interesów obu państw jest tak oczywista, prof. Andrzej Zybertowicz, Marek Budzisz, Tomasz Terlikowski czy Paweł Kowal dalej by opowiadali o ponadnarodowej federacji, wspólnych posiedzeniach parlamentu i „zaręczeniu narodów”.

O zmianie polskiego myślenia – a zwłaszcza myślenia prawicy – względem Ukrainy i Wołodymyra Zełenskiego być może najmocniej świadczy porównanie dwóch artykułów, które opublikował liberalny Onet. W 2022 r. Jan Krzysztof Bielecki oraz Paweł Kowal postulowali zawarcie specjalnego paktu między Polską i Ukrainą, przewidującego „obligatoryjne wspólne posiedzenie rządów obu państw raz na dwa miesiące oraz wspólną sesję Sejmu i Rady Najwyższej raz w roku”. Jak twierdzili, powinna również powstać „wspólna Rada Samorządów – jako zgromadzenie przedstawicieli polskich i ukraińskich regionów, miast i wsi”. Z kolei teraz, w czerwcu 2026 r., ten sam Onet publikuje tekst Piotra Skwiecińskiego, gdzie były dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie, a także autor świetnych książek o rosyjskiej polityce i społeczeństwie, konstatuje, że Polska stała się dla

eprasa.pl ef045d2c96

ukraińskich władz państwem obojętnym, z którym już nie należy się liczyć. „Jeśli chodzi o Ukrainę, to Polska nie potrafiła stać się dla niej ważna – ani jako źródło dóbr, ani jako potencjalne zagrożenie" – przyznaje. Ważny jest jednak następny fragment jego tekstu, w którym pisze on z niepokojem o scenariuszu zwycięstwa Ukrainy: „Nic dobrego nie przynosi bowiem sąsiedztwo z państwem ze swej natury nadmiernie asertywnym. A w dodatku uskrzydlonym zwycięstwem [...]. I przekonanym, że może wszystko i że wszystko mu się od wszystkich należy". I z jednej strony jest to znamienne, że ten tekst napisał akurat Piotr Skwieciński, który przez lata był bardzo przychylny Ukrainie, ale z drugiej strony trudno nie odnotować, jak bardzo zmieniły się emocje społeczne, skoro ten tekst ukazał się na łamach liberalnego Onetu. Jeszcze nie tak dawno za tezy o ukraińskim zagrożeniu palono na stosie.

PĘKA PRAWICOWA BAŃKA

W 2022 r. nie brakowało też głosów, że Polska powinna po prostu zaangażować się w konflikt z Rosją i „nadstawić łba", jak to stwierdził poseł Jerzy Kozłowski (związany z Kukiz'15, startujący z list PiS), gdyż – jak dowodził z kolei Jan Rokita – „nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie". Dzisiaj ze świecą szukać podobnych głosów. Ceniony na prawicy prof. Andrzej Nowak, który przez długi czas strzegł proukraińskiej linii, nie szczędząc ostrych słów tym, którzy krytykowali Kijów, przyznał, że Zełenski prowadzi „cyniczną grę", której celem nie jest interes Ukrainy, tylko „zapewnienie przetrwania skorumpowanemu politykowi". Tomasz Terlikowski, który w 2022 r. snuł plany wielonarodowej rzeczypospolitej jako spoiwa „nowoczesnego konserwatyzmu", dzisiaj na łamach Wirtualnej Polski domaga się twardego stąpania po ziemi i Realpolitik. Terlikowski zapewnia, że oczywiste było, iż relacje polsko-ukraińskie musiały się ochłodzić, i w ogóle to skąd to całe zdziwienie. Jeszcze dobitniej jednak prezentuje się przypadek Piotra Zaremby, który maniakalnie wyzywał i pomawiał swych adwersarzy domagających się racjonalnego podejścia do tematu Ukrainy, by teraz przyznawać, że Nawrocki to w sumie powinien odebrać Zełenskiemu Order Orła Białego. Padają ostatnie bastiony.

Najzabawniejszy w tym nagłym zwrocie i przewartościowaniu, które obecnie obserwujemy, jest fakt, że z perspektywy samych Ukraińców polska reakcja faktycznie może wydać się niezrozumiała. Przecież decyzja Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek Sił Zbrojnych Ukrainy imienia „Bohaterów UPA" nie była żadnym precedensem. Kult UPA rośnie od lat. Dlatego to nie Ukraina nagle zmieniła swoje podejście – to polscy publicyści i politycy nagle zaczęli mówić o tym, o czym w „Do Rzeczy" informowaliśmy od dawna. Lepiej późno niż wcale, chociaż przeprosin za całe lata obelg i pomówień dotyczących siania „rosyjskiej propagandy" mógłby wyglądać jedynie ktoś naiwny.

PIS ZMIENIA FRONT

Dzisiaj w świetle krytyki Ukrainy starają się ogrzewać coraz liczniejsze tłumy przedstawicieli prawicy. Jednak gdy śp. ks. Isakowicz-Zaleski upominał się o pamięć dla ofiar ludobójstwa, to nie wspierał go tłum konserwatystów. Wprost przeciwnie – polskie władze zostawiły go samego, a Andrzej Duda publicznie sztorcował duchownego, by ten zostawił sprawę Wołynia. Do dzisiaj po sieci krążą filmy prezydenta ściskającego się z Zełenskim czy krzyczącego do żołnierzy „Sława Ukrainie!". Nawet gdy w 2023 r. na forum ONZ Zełenski oczerniał nasz kraj, stawiając go wśród państw sprzyjających Rosji, polski prezydent milczał. To w końcu przecież Andrzej Duda nagrodził ukraińskiego przywódcę najwyższym polskim odznaczeniem. – Wołodymyr Zełenski otrzymał Order Orła Białego w innym czasie i gdy warunki były inne. Teraz one się zmieniły i zachowanie Wołodymyra Zełenskiego także. I to wyraźnie – stwierdził Andrzej Duda w rozmowie z Onetem. Problem w tym, że właśnie te warunki i zachowanie się nie zmieniły. Gdy jeszcze w 2022 r. negujący odpowiedzialność UPA za rzeź wołyńską Andrij Melnyk został awansowany na wiceszefa ukraińskiego MSZ, to Dudę stać było jedynie na lakoniczne stwierdzenie, że są to „suwerenne decyzje, które podejmują władze ukraińskie", a dyplomata powinien więcej poczytać o historii.

Zełenski oczywiście nie jest banderowcem, ale zarówno on, jak i ukraińskie elity tolerowały od lat rozkwit „tradycji" UPA, to polska strona przymykała na to oczy. Tak naprawdę stanowisko PiS doskonale oddała Małgorzata Gosiewska, która jeszcze kilka lat przed wojną stwierdziła, że spory historyczne między państwami są wykorzystywane przez Rosję, a „polska pomoc dla Ukrainy jest bezwarunkowa". Zresztą same sprawy historyczne – jakkolwiek istotne – nie są pierwszorzędne, gdyż to na polu bieżącej polityki widać było najwyraźniejsze różnice między Ukrainą i Polską.

Dzisiaj politycy PiS grzmią na Ukrainę, załamują ręce i przecierają oczy ze zdumienia, jakby nie pamiętali, że sami – ustami rzecznika MSZ – przedstawiali się jako „słudzy narodu ukraińskiego" i – tu z kolei choćby ustami ówczesnego wiceszefa MSZ Pawła Jabłońskiego – z obrzydzeniem odrzucali pomysł prowadzenia polityki transakcyjnej. Obecnie Jabłoński pytany w Radiu Zet, co robić z butną postawą Zełenskiego, mówi bez mrugnięcia okiem: „Powinniśmy żądać, aby do warunków negocjacyjnych [dotyczących akcesu do UE – przyp. J.F.] wpisać, że Ukraina ma odblokować wszelkie ekshumacje, zaprzestać czczenia zbrodniarzy banderowskich". Szkoda, że podobnej asertywności PiS nie wykazywał, gdy sam sprawował władzę.

Stosunek polskiej prawicy wobec Ukrainy znacząco zmienił się na przestrzeni ostatnich miesięcy. I – bez względu na to, czy order zostanie Zełenskiemu odebrany czy nie – jest to zmiana poważniejsza niż chwilowe wahnięcie sympatii, gdyż w tym względzie ewoluuje sam elektorat prawicowy. Nie tylko PiS, lecz także publicyści wspierający partię zaczęli de facto powtarzać to samo, o czym w „Do Rzeczy" pisaliśmy od początku wojny – że pomoc dla Ukrainy powinna odbywać się z głową, że nie może być bezwarunkowa, a sama wojna i sympatie względem broniących się Ukraińców nie mogą przesłaniać faktu, że interesy obu państw nie są tożsame na polu gospodarki, historii i dyplomacji. Te oczywiste prawdy stały się oczywiste dopiero niedawno. Trudno nie czuć rozbawienia, gdy wczorajsi pogromcy „rosyjskiej propagandy" ochoczo dołączają do obozu „ruskich onuc".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Jacek Pałkiewicz

Pamięć, której nie wolno zdradzić



Oddawanie w Japonii czci politykom odpowiedzialnym za masakry i cierpienia narodów Azji w czasie drugiej wojny światowej wywołuje gwałtowne protesty Chin i Korei Południowej. Podobne historyczne rozbieżności dzielą choćby Chorwatów i Serbów czy Turków i Ormian. Z kolei w Hiszpanii przez dziesięciolecia trwał spór o pamięć po gen. Francisco Franco

Nie jestem zwolennikiem Ukrainy, tym bardziej Rosji. Jestem zwolennikiem prawdy, uczciwości i odpowiedzialności. Jako obywatel świata, który przez całe życie przekraczał granice, poznawał różne kultury i walczył o ochronę naszego wspólnego domu – planety Ziemi – nie potrafię patrzeć na wojnę inaczej niż jak na klęskę człowieczeństwa. Każda wojna oznacza cierpienie niewinnych ludzi, śmierć młodych, zniszczenie dorobku pokoleń i triumf nienawiści nad rozsądkiem.

Są decyzje polityczne, które wzbudzają powszechne oburzenie i otwierają stare rany. Taką powziął prezydent Wołodymyr Zełenski, nadając jednej z jednostek specjalnych imię „Bohaterów UPA", symbolu walki o niepodległość. Trudno zrozumieć, dlaczego teraz, gdy Ukraina prowadzi egzystencjalną walkę z Rosją i potrzebuje wsparcia swoich najbliższych partnerów, prezydent zdecydował się na tak niepojęty gest. W tym miejscu warto wspomnieć, że nie zawsze potrafił on podziękować swojemu najwierniejszemu sąsiadowi za bezgraniczne wsparcie. Co więcej, we wrześniu 2023 r., podczas wystąpienia na forum ONZ, za bezprecedensową pomoc odpłacił się poniżej wszelkiej krytyki. Protesty polskich rolników i ograniczenia importowe ukraińskiego zboża Zełenski odebrał wtedy jak „nóż wbity w plecy". Dziś wystarczy spojrzeć na reakcje w mediach społecznościowych i wsłuchać się w głos osób, które przez lata wspierały Ukrainę. Jeden z moich przyjaciół, znana postać publiczna, który ostentacyjnie nosił w klapie trójkolorową wstążkę jako symbol solidarności, przyznał, że poczuł się opluty.

Pojednanie nie rodzi się z przemilczeń. Nie buduje się go na półprawdach. Nie powstaje dzięki polityce historycznej, która jedne ofiary pamięta, a inne spycha w cień. Pojednanie zaczyna się tam, gdzie jest odwaga nazwać zło po imieniu. Polska nie ma prawa zapomnieć o Wołyniu, bo pamięć o zamordowanych jest moralnym obowiązkiem. Naród, który zapomina o swoich ofiarach, traci część własnej godności.

ZBRODNIARZE UZNANI ZA BOHATERÓW

Orzeczenie o nadaniu jednostce wojskowej imienia bandytów UPA jest niedopuszczalnym błędem. To krok, który nie buduje mostów, lecz je burzy. Nie przybliża pojednania, lecz je przekreśla. Historia Europy nauczyła nas jednej rzeczy: nie ma trwałej przyszłości bez uczciwego spojrzenia w przeszłość. Im szybciej zrozumieją to ukraińskie elity polityczne, tym lepiej dla przyszłości relacji między naszymi narodami.

Casus Wołynia nie jest odosobniony. Podobne reakcje – czasem gwałtowniejsze, czasem bardziej stonowane – spotykane są na całym świecie wszędzie tam, gdzie pamięć jednego narodu zderza się z pamięcią drugiego. Historia zna wiele przypadków, gdy bohaterowie narodowi jednej strony byli postrzegani przez sąsiadów jako sprawcy zbrodni.

Jednym z najbardziej znanych przykładów jest Japonia. W tokijskiej świątyni Yasukuni Shrine od 1978 r. czczeni są polegli żołnierze, symbol patriotyzmu, ale także 14 przywódców straconych za prowadzenie wojny agresywnej. Wśród nich Hideki Tōjō – premier Japonii za atak na Pearl Harbor, były premier Kōki Hirota czy Kenji Doihara – jeden z architektów ekspansji w Mandżurii. Za każdym razem, gdy japońscy liderzy składają tam wizyty, gloryfikacja ludzi odpowiedzialnych za masakry i cierpie-

eprasa.pl ef045d2c96



Fetowanie przez aktywistów i zwolenników ukraińskich ruchów nacjonalistycznych 117. rocznicy urodzin Stepana Bandery, Lwów, 1 stycznia 2026 r. FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

Naród, który zapomina o swoich ofiarach, traci część własnej godności

nia ich narodów wywołuje gwałtowne protesty Chin i Korei Południowej.

Podobnie na Bałkanach nazwiska niektórych bohaterów serbskich, chorwackich czy bośniackich do dziś dzielą społeczeństwa bardziej, niż łączą. Po rozpadzie Jugosławii część środowisk nacjonalistycznych w Chorwacji próbowała rehabilitować elementy tradycji ustaszowskiej związanej z Antem Paveliciem. Nie oznaczało to oficjalnego przyjęcia ustaszowskiej ideologii przez państwo chorwackie, ale pojawiały się pomniki, symbole i hasła budzące oburzenie Serbów, Żydów i Romów, którzy pamiętali zbrodnie dokonane przez reżim ustaszów.

W Serbii po upadku komunizmu nastąpiła częściowa rehabilitacja Draży Mihailovicia. Dla wielu Serbów był bohaterem walki z okupacją. Dla Chorwatów, Bośniaków i części historyków pozostaje postacią odpowiedzialną za masowe zbrodnie etniczne. Jego rehabilitacja wywołała ostre spory w całych Bałkanach.

Dużo większa skala zła dotyczy Józefa Stalina. Współczesna Rosja nie przywróciła formalnie jego kultu, ale od lat obserwujemy jego częściową rehabilitację. Powstają pomniki, podręczniki akcentują jego rolę w zwycięstwie nad III Rzeszą, a represje są marginalizowane. Dla wielu Rosjan generalissimus jest symbolem potęgi państwa. Dla Polaków, Bałtów, Ukraińców czy Gruzinów pozostaje współodpowiedzialny za deportacje, terror i masowe mordy.

W Turcji wiele postaci związanych z władzami osmańskimi z okresu pierwszej wojny światowej pozostaje bohaterami narodowymi mimo oskarżeń o odpowiedzialność za ludobójstwo Ormian. Dla Turków są twórcami nowoczesnego państwa, dla Ormian symbolizują narodową katastrofę.

W Hiszpanii przez dziesięciolecia trwał spór o pamięć po gen. Francisco Franco, a w Stanach Zjednoczonych usuwanie pomników dowódców Konfederacji pokazało, że nawet po półtora wieku wojna domowa nadal budzi emocje.

W latach 1943–1945 komunistyczna jugosłowiańska partyzantka pod dowództwem Josipa Broza-Tity dokonała w rejonie Istrii i Dalmacji masowych mordów na ludności włoskiej. Ofiary wrzucano do głębokich szczelin i jaskiń krasowych, zwanych foibe. Szacuje się, że zginęło wówczas od kilku do kilkunastu tysięcy Włochów. Ta tragedia została zepchnięta na margines historii, a przełom nastąpił dopiero po upadku komunizmu. Dzisiaj dla wielu Włochów, zwłaszcza tych pochodzących z rodzin istriańskich, pamięć o foibe jest żywą raną i traktowana jako coś, co nie podlega negocjacjom ani relatywizacji.

Tu można powiedzieć, że Wołyń wpisuje się w uniwersalny problem obecny na wszystkich kontynentach. Jak pogodzić narodową dumę z szacunkiem dla pamięci ofiar? Historia pokazuje, że trwałe pojednanie zaczyna się dopiero wtedy, gdy pamięć własnych bohaterów nie staje się powodem do zadawania bólu innym.

W każdym z tych przypadków mechanizm jest podobny. Naród ma prawo pielęgnować własną pamięć historyczną, ale w świecie wzajemnych zależności nie może ignorować pamięci innych. Im bardziej tragiczne były wydarzenia z przeszłości, tym większej wrażliwości wymagają współczesne osądy polityczne.

PONAD NARODOWĄ DUMĄ

Po trzech wielkich wojnach – w 1870 r., podczas pierwszej wojny światowej i drugiej wojny światowej – Francja i Niemcy były przez pokolenia śmiertelnymi wrogami. Kluczowy moment nastąpił w 1963 r., kiedy Charles de Gaulle i Konrad Adenauer podpisali traktat elizejski. Pojednanie obu tych stron często uznawane jest za jeden z największych sukcesów politycznych XX w. Jego fundamentem nie były traktaty, lecz uznanie odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie wojenne i rezygnacja z gloryfikowania sprawców, z kultu osób oraz formacji odpowiedzialnych za tragedię sąsiadów. Francuzi nie musieli zaakceptować swojej historii na nowo, a Niemcy zrozumieli, że szacunek dla ofiar jest warunkiem odbudowy zaufania. Od tego momentu dawni przeciwnicy stali się filarem integracji europejskiej.

Droga do pojednania polsko-niemieckiego była dużo trudniejsza, ponieważ ponieśliśmy podczas drugiej wojny światowej niewyobrażalne straty ludzkie i materialne. Symboliczny początek procesu nastąpił w 1965 r., wraz z historycznym listem polskich biskupów do niemieckich biskupów zawierającym słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Następnie ogromne znaczenie miał skłon kanclerza RFN Willy'ego Brandta, który w 1970 r. uklęknął przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Nie był to ukłon politycznej kalkulacji, lecz moralnego uznania cierpienia ofiar. Pojednanie mogło postępować dlatego, że pamięć o ofiarach została postawiona ponad narodową dumę.

Powyższe przykłady dowodzą, że trwałe pojednanie między narodami nie rodzi się z zapomnienia, lecz z odwagi zmierzenia się z trudną przeszłością. Nie wymaga rezygnacji z własnej historii, ale wymaga szacunku dla pamięci tych, którzy padli jej ofiarą. To właśnie ta zasada stała się fundamentem powojennej Europy, której Zełenski nie potrafił dostrzec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Leon XIV wobec zgnilizny w Europie



Papież Leon XIV wraz z arcybiskupem Barcelony Juanem José Omellą podczas czuwania modlitewnego na Stadionie Olimpijskim Lluís Companys w Barcelonie w Katalonii (Hiszpania), 9 czerwca 2026 r. FOT. DAVID ZORRAKINO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES



Paweł Chmielewski

Obecny następca św. Piotra stawia w stan oskarżenia demokrację liberalną, która lekceważy życie ludzkie, a w imię lewicowych ideologii depcze prawa rodziny. Problem tylko w tym, że wyjątkowo słabo rysuje się program naprawczy

W 2011 r. papież Benedykt XVI wygłosił jedno z najważniejszych przemówień swojego pontyfikatu. Stanął przed niemieckim Bundestagiem, zadając pytanie o moralne podstawy polityki. W jaki sposób władze państwowe mogą odróżnić dobro od zła? Skąd rządy czerpią przekonanie o sprawiedliwości własnych działań? Jak dostrzec granicę, która oddziela normalne działania państwowe od tego, co zbrodnicze? Te pytania miały szczególną wagę zarówno dla Benedykta, jak i dla deputowanych do Bundestagu z oczywistych względów historycznych. Joseph Ratzinger wprost odwoływał się do lat 1933–1945, wskazując, że III Rzesza stała się państwem przestępców, strukturą zła albo – jak powiedział św. Augustyn – bandą rozbójników.

Przemówienie papieża wywołało duże emocje i wiele komentarzy, bo Benedykt wyraźnie sugerował, że współczesna demokracja liberalna może podążyć drogą nazistowską. Nie chodzi o ponowne przyjęcie ideologicznego rasizmu, ale o zdolność do gwałtownego deptania ludzkiej godności w majestacie stanowionego prawa. Joseph Ratzinger tłumaczył Bundestagowi, że każdy kolektyw państwowy może wypaczyć się w tak śmiertelnie groźny sposób, jeżeli oderwie swoje prawo od porządku natury. Pozytywizm prawniczy – wywodzenie prawa wyłącznie z ludzkiej woli – nie zna koniecznych granic moralnych. Te może zapewnić tylko respektowanie prawa naturalnego, które pochodzi od Boga Stwórcy – przekonywał.

PODĄŻAJĄC ZA LIBERALNYM ZEITGEISTEM

Piętnaście lat po tamtym wystąpieniu jest jasne, że politycy europejscy nie posłuchali Benedykta. Rażącym tego świadectwem jest Hiszpania, którą w pierwszej połowie czerwca odwiedził jeden z następców niemieckiego papieża, Leon XIV. Hiszpania ma ściśle katolicką historię i bez ducha nauki Kościoła kraj ten stałby się kulturowo pusty, o czym Leon dobitnie jej przypomniał. Niestety, dziś jej prawodawstwo jest uformowane przez ideologię rewolucyjną, która hołduje właśnie skrajnemu prawniczemu pozytywizmowi. Wzorem Francuzów Hiszpanie zastanawiają się nad wpisaniem do konstytucji prawa do zabijania dzieci nienarodzonych. Aborcję praktykują zresztą bezkarnie od lat – obecnie każdego roku uśmierca się w tym kraju blisko 100 tys. dzieci.

Od niedawna w Hiszpanii dozwolona jest też eutanazja. W marcu 2026 r. jej ofiarą padła 25-letnia Noelia Castillo Ramos. Zginęła młoda kobieta o trudnym życiorysie, napastowana przez grupę młodych mężczyzn, prawdopodobnie migrantów, po nieudanej próbie samobójczej – słowem, osoba, która powinna zostać otoczona społeczną opieką. Hiszpańskie sądy, posiłkując się regulacjami unijnymi, wydały zgodę na jej uśmiercenie w imię prawa do samostanowienia. W takim przypadku, jak wie każdy rozsądny człowiek, dobrowolność jest wyjątkowo wątpliwa, ale lewicy w ogóle to nie przeszkadza. Można powiedzieć, że dla Hiszpanów nie ma żadnych ustalonych granic moralnych. Sami tego oczywiście nie wymyślili: podążają za liberalnym Zeitgeistem, który dominuje w wielu krajach

eprasa.pl ef045d2c96

świata zachodniego, zarówno w Europie, jak i w obu Amerykach.

Leon XIV odniósł się do tego przerażającego stanu rzeczy. 8 czerwca br. przemawiał przed hiszpańskim parlamentem. Odwoływał się do przemówienia Benedykta XVI do Bundestagu. Pytał, czy społeczeństwo, które pozwala na zabijanie bezbronnych, może uważać się za sprawiedliwe. Wskazywał, że takie społeczeństwo niweczy sam cel cywilizacji, jakim jest ochrona słabych. Choć w bardziej dyplomatycznych słowach, papież postawił Hiszpanów w stan oskarżenia, zarzucając im de facto zbrodniczość i barbarzyństwo. Parlamentarzyści chyba go nie zrozumieli. Przez kilka minut klaskali na stojąco, jakby sami wydawali osąd o własnej bezbożności. Być może skupili się tylko na tych częściach wystąpienia Leona, które były im akurat w smak. Papież mówił też o imigracji, apelował o kulturę dialogu, wzywał do pokoju na świecie. Centrum przemówienia stanowiło jednak mocne oskarżenie. Szkoda, że wybrzmiało tak słabo. Dobrze, że się jednak pojawiło – zresztą u tego papieża nie po raz pierwszy.

Tak samo postąpił na spotkaniu, które 25 maja tego roku odbył z przedstawicielami Parlamentu Europejskiego, którzy zajmują się demografią. Przywołał wówczas słowa papieża Franciszka, nazywając Europę „starym kontynentem", ale nie ze względu na jego chwalebną przeszłość, tylko nikczemną przyszłość. Napiętnował dwulicowość państw europejskich, które mówią wiele o polityce prorodzinnej, a jednocześnie „promują dyskryminację macierzyństwa, wynoszą aborcję do rangi prawa i podważają samą podstawę pragnienia, by założyć rodzinę". Z kolei w przemówieniu do watykańskiego korpusu dyplomatycznego z 9 stycznia br. Leon podkreślał, że niektóre kraje – nie tylko europejskie, lecz także w dużej mierze dotyczy to właśnie ich – przeznaczają publiczne środki na to, by „wyniszczać życie, choć powinny inwestować je celem wsparcia matek i rodzin"; krytykował też projekty nakierowane na finansowanie „transgranicznej mobilności w celu stworzenia dostępu do tzw. prawa do bezpiecznej aborcji". Podkreślał, że Stolica Apostolska kategorycznie odrzuca wszystkie praktyki wymierzone w życie, takie jak aborcja, a także surogacja.

Podobnych cytatów można byłoby wskazywać o wiele więcej. Leon krytykował też państwa liberalne – w tym samą Unię Europejską czy konkretnie Hiszpanię – za próby podważania prawa rodziców do wychowywania własnych dzieci zgodnie z sumieniem; albo za uderzanie w wyjątkowość rodziny, o której godność i specjalne miejsce papież upomina się bardzo konsekwentnie. Pisał zresztą o tych sprawach także w swojej encyklice „Magnifica humanitas"; to dobre passusy tego tekstu. Wszystko to stanowi bardzo ważny element jego pontyfikatu. Problem tylko w tym, że krytyka, zwłaszcza wyrażana tak dyplomatycznym językiem, potrzebuje konkretnego programu pozytywnego. Właśnie tego programu brakuje: nie tylko u Leona XIV, lecz także u poprzednich papieży.

POSOBOROWE NEGATYWNE KONSEKWENCJE

Powiedziałbym, że problem zaczął się w czasach Soboru Watykańskiego II. Decydenci kościelni stwierdzili w tamtym czasie, że w systemie globalnym po drugiej wojnie światowej nie ma już miejsca na państwa katolickie, dlatego Kościół musi stawiać na promowanie ogólnie pojętej wolności religijnej. Tak czynił sam sobór, tak robili w kolejnych dekadach papieże. Na pozór to mądra polityka: jeżeli wspólnota międzynarodowa uzna, że wolność religijna jest nadrzędną wartością, to również Kościół katolicki zyska wtedy swobodę działania i będzie mógł twórczo współkształtować społeczeństwa.

Takie podejście ma jednak również wiele negatywnych konsekwencji. Skoro Kościół prezentuje się publicznie jako element globalnego wielogłosu religijnego, to w zasadzie dlaczego miałby być traktowany ze szczególną powagą? Leon XIV mówił w Hiszpanii o konieczności oparcia praw państwowych na prawie naturalnym, co zakłada rozpoznanie Boga Stwórcy. Wskazywał na wagę religii, ale nie mówił jakiej. Czy ma to być religia katolicka? A może raczej muzułmańska? Słuchając papieża, który opowiada o tej sprawie językiem powojennej poprawności politycznej, ma się wrażenie, że to jakieś credo liberalnego relatywizmu: podkreśla się historyczną wagę katolicyzmu dla tego czy innego państwa, kiedy jednak formułuje się kluczowe konkluzje, odniesienia do katolicyzmu jako religii prawdziwej już nie ma.

Ktoś znowu stwierdzi, że tak właśnie trzeba, bo nadmierne podkreślanie roszczenia do prawdy jest zbyt polaryzujące i może prowadzić do konfliktów społecznych. Tak widział to chyba papież Franciszek, który wielokrotnie przestrzegał przed przekonaniem o „posiadaniu prawdy". Jednak wspólnota religijna, która ze swojej istoty mówi o sprawach ostatecznych, nie może kreować swojego wizerunku publicznego jako niepewnej własnych prawd. W przeciwnym wypadku jej apele o przestrzeganie prawa naturalnego czy rozpoznanie istnienia Boga będą z konieczności odbierane jako niewiążące.

Innymi słowy, Kościół redukując swoją obecność w przestrzeni publicznej do jednego z wielu aktorów konkurencyjnego rynku idei, traci własną wyjątkowość i potencjalnie uniemożliwia skuteczność swojej misji społecznej. Przed Soborem Watykańskim II papieże uczyli, że państwa są przez samego Boga zobowiązane do tego, by kształtować prawo w zgodzie z Ewangelią. Jest prawdą, że czynili tak, mając uzasadnioną nadzieję na wysłuchanie tych wezwań, jako że istniały jeszcze wówczas duże i silne katolickie wspólnoty polityczne.

W ostatnich dekadach to się zmieniło, takich wspólnot już nie ma – zresztą sam Watykan w imię liberalnie rozumianej wolności religijnej naciskał na niektóre kraje, by zrezygnowały z uznawania wiary katolickiej jako oficjalnie wyznawanej. Nawet jeżeli w dzisiejszej sytuacji ponawianie apeli o przyjęcie Ewangelii za podstawę życia publicznego ma dość marne widoki na realizację, to spełniałoby jedną niezwykle ważną funkcję: wskazywałoby właściwą perspektywę. Dziś większość polityków katolickich w krajach Zachodu przyjmuje liberalny relatywizm jako podstawę swojego działania. Czynią tak, bo nie mają poważnej alternatywy. Gdyby Kościół wyraźnie nakreślił tę alternatywę, prawdziwie katolicka polityka – choćby najpierw w opozycji – stałaby się znowu możliwa.

Dobrze, że Leon XIV krytykuje Unię Europejską i poszczególne kraje europejskie. Nie dziwię się jednak, że liberalni parlamentarzyści klaszczą, słysząc jego słowa. Wiedzą, że z tej krytyki ostatecznie niewiele może wyniknąć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Tomasz Zbigniew Zapert

Pionierska monografia „Solidarność na ekranie. Wizerunki fabularne", autorstwa Arkadiusza Bileckiego i Krzysztofa Kornackiego, wnikliwie omawia filmy poświęcone wielkiemu ruchowi społecznemu, który w sierpniu 1980 r. narodził się w Gdańsku



„Stan wewnętrzny" powstał w roku 1983, lecz na premierę musiał oczekiwać aż sześć lat; rozpowszechnianie uniemożliwił urząd cenzorski FOT. INPLUS/EAST NEWS

Panna „S" w oku kamery

Autorzy drobiazgowo omawiają kolejne tytuły, opatrując je sugestywnymi komentarzami. Losy przywoływanych produkcji bywały bardzo różne. Upływ czasu szczególnie źle wpłynął na „Człowieka z żelaza" Andrzeja Wajdy, uwypuklając doraźność obrazu nakręconego w rekordowym tempie podczas karnawału Solidarności. „Wigilia '81" Leszka Wosiewicza czy „Wolny strzelec" Wiesława Saniewskiego zyskały zaszczytne miano „półkowników", co spotęgowało ich legendę. Natomiast agitki powstałe na zamówienie umundurowanej władzy – „Godność" i jego kontynuacja „Czas nadziei", obie w reżyserii Romana Wionczka według scenariuszy Jerzego Grzymkowskiego – przysporzyły twórcom wstydu (o mianie kolaborantów nie wspominając). Seanse nierzadko odwoływano z braku frekwencji, a dyptyk pokrywa coraz grubsza warstwa kurzu. Jak najbardziej słusznie!

SEANSE WIDEO

Gdy odzyskaliśmy wolność, Solidarność także trafiała przed kamerę. W przeróżnych konfiguracjach, nierzadko z dobrym skutkiem. Vide: „Trzysta mil do nieba" Macieja Dejczera, „Ostatni prom" Waldemara Krzystka, „Rozmowy kontrolowane" Sylwestra Chęcińskiego, „Szczur" Jana Łomnickiego, „Śmierć jak kromka chleba" Kazimierza Kutza, „Popiełuszko. Wolność jest w nas" Rafała Wieczyńskiego, „Jack Strong" Władysława Pasikowskiego, „Żeby nie było śladów" Jana P. Matuszyńskiego, „Wezwanie" Mirosława Dembińskiego, „80 milionów" Waldemara Krzystka, „Rysa" Michała Rosy, „Kret" Rafaela Lewandowskiego, „Zwerbowana miłość" Tadeusza Króla. Zdecydowanie warto też przywołać przedstawienia Sceny Faktu Teatru Telewizji (m.in. „Oskarżeni", „Sprawa Emila B.", „Operacja »Reszka«", „Gry operacyjne"). Niestety, ku ubolewaniu publiczności unicestwionej przez włodarzy TVP w likwidacji.

W książce można znaleźć także odniesienia do filmów tematycznie wiele wspólnego z Solidarnością niemających. Tyle że skierowano je do produkcji na przełomie lat 1980 i 1981, w okresie poluzowania cenzuralnego kagańca. Dajmy na to: „Przypadek" Krzysztofa Kieślowskiego, „Był jazz" Feliksa Falka, „Wielki bieg" Jerzego Domaradzkiego, „Matka Królów" Janusza Zaorskiego", „Alternatywy 4" Stanisława Barei, względnie „Niedzielne igraszki" Roberta Glińskiego, po części filmowane w podwórzu studni kamienicy przy ul. Noakowskiego w Warszawie, co doskonale pamiętam, ponieważ podpatrywałem działalność ekipy podczas… licealnych wagarów.

Natomiast z czasów studenckich przypominam sobie prywatne projekcje z… wideokaset (czy to aby jeszcze czytelny termin?) „Przesłuchania". Wprawdzie urody zdjęć Jacka Petryckiego nie sposób było docenić, lecz wywierały piorunujące wrażenie. Po raz pierwszy pokazano na ekranie ubeckie kazamaty. Kulisy realizacji odsłonił po latach scenarzysta i reżyser Ryszard Bugajski. W obawie, by kopia obrazu – który na kolaudacji oprócz dyspozycyjnych wobec partii filmowców bezpardonowo krytykowali także filmowcy tej miary, co Jerzy Hoffman i Jan Rybkowski – nie została zniszczona, realizatorzy wykradli ją z Wytwórni Filmów Dokumentalnych, choć na przeszkodzie, nieoczekiwanie, usiłował stanąć Marek Piwowski. Bugajskiemu i osobom wtajemniczonym w operację nie mieściło się w głowie, że: „»Piwek« jest agentem. On? Donosicielem? Wtyką SB? To wykluczone, niemożliwe. Prędzej Jaruzelski jest tajnym agentem Mosadu albo Watykanu niż nasz wspaniały, uko-

eprasa.pl ef045d2c96

chany Mareczek Piwowski współpracownikiem bezpieki".

Beznadzieja lat 80. w połączeniu z brakiem możliwości zawodowych skłoniły w końcu Bugajskiego do emigracji. Zresztą myślał już o tym po 13 grudnia 1981 r.: „Jaruzelski – ty sowiecki sługusie […], ty żałosna gnido... Naród ci nigdy tego nie wybaczy" – kreślił stan swego ducha z tamtych dni. A z perspektywy III Rzeczypospolitej dodawał: „Nadal […] uważam Jaruzelskiego za człowieka słabego, bez kręgosłupa i bez serca, za sowieckiego sługusa".

SAMOTNY ŻAGIEL

Z racji historyczno-sportowych moją szczególną uwagę przykuł inny tytuł. „Stan wewnętrzny" powstał w roku 1983, lecz na premierę musiał oczekiwać aż sześć lat; rozpowszechnianie uniemożliwił urząd cenzorski.

Bohaterką jest polska żeglarka z tytułem naukowym, którą 13 grudnia 1981 r. zastał na oceanie podczas rejsu dookoła świata. Związana z opozycją rozważa, czy kontynuować wyprawę. Dowiaduje się, że w ojczyźnie leje się krew, a wielu znajomych internowano. PRL-owscy mocodawcy nakazują jej kontynuację podróży, licząc na propagandowe zdyskontowanie wyczynu, lecz kapitan zmienia kurs, kierując jacht do najbliższego portu, po czym wraca samolotem do kraju. Zwolniona z pracy angażuje się w konspirę.

Realizatorzy zadbali o gwiazdorską obsadę. W roli wiodącej wystąpiła, przeżywając wtedy szczyt formy, Krystyna Janda, której partnerowali m.in.: Jadwiga Jankowska-Cieślak, Ewa Błaszczyk, Daria Trafankowska, Janusz Gajos, Karol Strasburger, Mirosław Konarowski, Marek Bargiełowski oraz Jan Prochyra. Zwraca uwagę obecność ekranowa satyryków, bezrobotnych w chwili realizacji filmu. Jacek Fedorowicz zagrał samego siebie, Jan Pietrzak wojskowego komisarza stoczni w stopniu pułkownika. Czy dziś wystąpiliby obok siebie?

Marian Opania po raz kolejny (po „Człowieku z żelaza") wcielił się w dziennikarza. Na ekranie nazywał się Maciej Szumiński, co nasuwało skojarzenia z Maciejem Szumowskim. Redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej" przychylnej Solidarności, ale formalnie organem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W epizodzie pojawili się też aktorzy trójmiejscy: Jerzy Kiszkis i Szymon Pawlicki, represjonowani za działalność związkową. Z kolei Ewa Milde wkrótce po zakończeniu zdjęć „wybrała wolność" w Stanach Zjednoczonych.

Bez wątpienia twórców „Stanu wewnętrznego", Krzysztofa Tchórzewskiego oraz Jacka Janczarskiego, zainspirował życiorys Teresy Remiszewskiej. Marzącej o opłynięciu w pojedynkę ziemskiego globu. Przez lata usiłowała pomysł urzeczywistnić. Bezskutecznie. Władza ludowa nie wyraziła zgody, ponieważ tajne służby podejrzewały męża żeglarki o szpiegostwo na rzecz USA. Był nim Jerzy Damsz, sławny polski lotnik z piękną kartą wojenną, ostatni dowódca 307. Dywizjonu Myśliwców Nocnych, tzw. Lwowskich Puchaczy. Po drugiej wojnie pozostał na emigracji. Remiszewska poznała go w latach 70. w USA, nakłaniając, aby powrócił do Polski, gdzie wkrótce wzięli ślub.

W PRL zdawano sobie sprawę ze splendoru wynikającego z samotnego opłynięcia pod żaglami kuli ziemskiej. Dobrze pamiętano medialny rezonans, który wywołały od Tokio po Buenos Aires spektakularne ekspedycje Leonida Teligi i Krzysztofa Baranowskiego. Jak wieść niesie, rządzący skłonili ówczesnego prezesa Polskiego Związku Żeglarskiego (nie był nim jeszcze Mieczysław F. Rakowski) do poszukiwania kandydatki bardziej predestynowanej na kolejny symbol „dekady sukcesu Edwarda Gierka". Znaleziono Krystynę Chojnowską-Listkiewicz. Osiągnęła cel, ale nie dała się do wykorzystać do ilustracji hasła owej epoki „Polak potrafi!". Nadzieje na okołoziemski rejs Remiszewskiej odżyły po Sierpniu 1980. Przekroczyła już jednak wtedy pięćdziesiątkę, toteż doszła do wniosku, że nie jest to wiek do podejmowania aż tak ryzykownych wyzwań.

Przyszła na świat (rok 1928) w Międzychodzie. Jeszcze w niemowlęctwie zamieszkała w Gdyni. Jej ojciec był bankowcem, dziadek po kądzieli lekarzem. Doktor Andrzej Chramiec szefował zakopiańskiemu sanatorium dla suchotników (jak dawniej określano chorych na gruźlicę), dzielnicę tatrzańskiego uzdrowiska na jego cześć nazwano Chramcówki. Wygnana jesienią 1939 r. z Gdyni, którą po zajęciu Niemcy przemianowali na Gotenhafen, znalazła przystań w Krakowie. Tam uczyła się na tajnych kompletach. Po wojnie zdała maturę, ukończyła psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, zdobywała kolejne kwalifikacje jachtingu, poznała pierwszego męża, urodziła dwoje dzieci. Rodzina osiadła w Nowej Hucie, flagowej inwestycji doby bierutowszczyzny. Po 15 latach małżonkowie się rozstali, a Remiszewska wraz z potomstwem powróciła nad morze.

Jako pierwsza Polka samotnie opłynęła Bałtyk, za co otrzymała prestiżowe wyróżnienie – Rejs Roku 1970. Dwa lata później uczestniczyła w transatlantyckich regatach żeglarzy samotników. Z Plymouth do Newport żeglowała adaptowanym jachtem turystycznym. Wyprawa trwała aż 57 dni, gdyż większość trasy podróżowała z... pękniętym masztem, walcząc o przetrwanie – nie zwycięstwo.

Jesienią 1980 r. zaangażowała się w działalność sekcji ochrony środowiska NSZZ „Solidarność". Podczas stanu wojennego opracowywała zarys programu społeczno-ekonomicznego dla podziemia, zatytułowany „Nasze dziś i jutro". Wydana w ręce SB przez TW „Wiktora" ponad kwartał spędziła w areszcie śledczym. Wzbudziło to protesty światowych kręgów sportu. Pod ich naciskiem zrezygnowano z postawienia Remiszewskiej przed sądem.



ARKADIUSZ BILECKI, KRZYSZTOF KORNACKI „SOLIDARNOŚĆ NA EKRANIE. WIZERUNKI FABULARNE" IDS, GDAŃSK 2025

Odzyskawszy wolność przetłumaczyła – i opublikowała w drugim obiegu, pod pseudonimem Urszula Karpińska – sławetną dysertację prof. Normana Daviesa „Biały orzeł, czerwona gwiazda". Przeszła na wcześniejszą emeryturą, owdowiała, wspierała potomstwo i wnuki, kontynuujące żeglarskie tradycje.

Była obecna na pokazie „Stanu wewnętrznego" podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Wkrótce dopadły ją kłopoty kardiologiczne. Wymusiły rozstanie ze sterem. Na wieczną wachtę odeszła 2 marca 2002 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



KOMUCHOŻERCA

Niemcy czy naziści

LESZEK ŻEBROWSKI

Nie wiadomo, kiedy i jak do polskiego obrotu prawnego zostało wprowadzone pojęcie „naziści" jako sprawców masowych zbrodni na Polakach, które systematycznie zastępuje Niemców. Przez kilkadziesiąt lat po 1945 r. nie było z tym żadnego kłopotu, tym bardziej że pojęcie „naziści" pojawiało się niezwykle rzadko i dotyczyło tylko funkcjonariuszy NSDAP. Od początku wiadomo bowiem było, że nie każdy Niemiec był nazistą, czyli członkiem partii, ale każdy nazista musiał być pełnoprawnym Niemcem z udowodnionym pochodzeniem rasowym.

W Polskim Państwie Podziemnym określenie „nazista" w ogóle nie było stosowane. W dokumentach, gazetkach, rozkazach mamy cały czas Niemców i zamiennie: Szwabów, Teutonów, Germanów i wszyscy bardzo dobrze wiedzieli, o co chodzi. W ostatnich latach następuje jednak pewien przewrót i zamęt pojęciowy, którego skutki mogą być dla nas na dłuższą metę bardzo opłakane. Gdyby zamianę Niemców na nazistów stosowali publicyści, dziennikarze, propagandyści itd., to nie byłoby tak straszne, jeśli robią to przedstawiciele opiniotwórczych kręgów politycznych i przede wszystkim – organów wymiaru sprawiedliwości!

A od wielu lat taka zamiana w tych kręgach jest nachalnie stosowana i nie ma wątpliwości, że nie jest to zwykła samowolka jakiegoś prokuratora czy sędziego. Mamy bowiem do czynienia z podmianą instytucjonalną, która musi mieć akceptację (albo coś więcej) z samej góry. Oto drastyczny przykład. Syn żołnierza AK, zamordowanego przez Niemców, zwrócił się do polskich organów ścigania o pomoc w wyjaśnieniu jego losów. W piśmie podał wprost, że sprawcami byli Niemcy, załączając dokumenty, które są w jego dyspozycji. Jakie było jego zdziwienie, gdy otrzymał odpowiedź, że sprawcami byli mityczni „naziści". Szczerze tym oburzony odpisał, że jest to szerzenie propagandy gen. Reinharda Gehlena, który w powojennych Niemczech stosował taką retorykę. No i dostał za swoje. Prokurator IPN stwierdził bowiem, że używa on „w swoich decyzjach procesowych sformułowań prawnych, a te stanowią o zbrodniach nazistowskich. Nadto wskazuję, że określenie »zbrodnie niemieckie« […] jest niezgodne z faktami historycznymi, ponieważ odnosi się do narodowości sprawców"!

Według prokuratora były to przecież „osoby innych narodowości, które zdecydowały się na współpracę z III Rzeszą Niemiecką. Różnicowanie sprawców ze względu na ich narodowość nie wydaje się dopuszczalne w demokratycznym państwie prawa, jakim jest Rzeczypospolita [sic! Rzeczpospolita – przyp. L.Ż.] Polska". Kto i kiedy ich nauczy, jaka jest prawda? Czy ulegniemy kolejnej presji fałszowania rzeczywistości? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nieudany eksperyment

SŁAWOMIR KOPER

Epoka napoleońska trwała na ziemiach polskich zaledwie osiem lat, następnie większość terenów Księstwa Warszawskiego przyłączono do Rosji. Powołane podczas kongresu wiedeńskiego Królestwo Polskie (Królestwo Kongresowe, Kongresówka) zostało związane unią personalną z imperium Romanowów, otrzymując liberalną konstytucję i daleko idące swobody narodowe. Fakt ten został owacyjnie przyjęty przez polskie elity, które zmęczone pasmem wojen okazywały lojalność wobec cara noszącego polską koronę. Powszechnie starano się też wypracować konsensus z zaborcami, nawet jeżeli nieprzejednani piętnowali podobne zachowania jako zdradę.

Królestwo Polskie było dziwnym tworem w ramach absolutystycznego imperium Romanowów. Stanowiło rodzaj eksperymentu, który miał wykazać, czy dynastia i państwo rosyjskie dojrzały do liberalnych zmian. Konstytucja Kongresówki gwarantowała ludności własność prywatną, wolność słowa, wyznania i wiary, a kraj miał posiadać własną armię oraz systemy monetarny i oświatowy. Nic zatem dziwnego, że powszechnie uważano, iż Polska odzyskała niepodległość, chociaż ograniczoną do tworu państwowego o stosunkowo niewielkim obszarze.

Spodziewano się, że kolejnym krokiem prowadzącym do pełnego odrodzenia kraju będzie zjednoczenie dawnych ziem Rzeczypospolitej pod berłem carów. Aleksander cieszył się wówczas w Polsce niezwykłą popularnością. Dowodem tego była pierwsza wersja pieśni „Boże, coś Polskę" z 1816 r., gdzie w refrenie śpiewano: „Naszego króla zachowaj nam, Panie!", a nie: „Naszą ojczyznę racz nam wrócić, Panie!".

Liberalny eksperyment nie mógł się udać. Królestwo Kongresowe nie pasowało do imperium Romanowów i niemal od początku likwidowano jego swobody. Nie była to jednak zaplanowana i skoordynowana akcja – wybrano inną metodę. Rosyjscy dygnitarze i urzędnicy coraz bardziej ignorowali obowiązujące prawo, postępując tak, jakby byli na rosyjskiej prowincji. Dotyczyło to praktycznie wszystkich szczebli cywilnych i wojskowych.

Z czasem rozpoczęto planowe ograniczanie swobód. Na początek poszła wolność prasy, którą zniesiono 15 czerwca 1819 r., wprowadzając cenzurę prewencyjną. Dwa lata później zakazem objęto działalność masonerii i wolność zgromadzeń, a w 1825 r. zlikwidowano jawność obrad sejmowych. Kongresówka miała zachować odrębność od Imperium Rosyjskiego, ale konstytucję i parlament uznano za fanaberie, które należy ignorować. Dalsze ograniczanie samorządności Królestwa miało kilka lat później doprowadzić do wybuchu powstania listopadowego. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



FOT. SAGARMATHA POLLUTION CONTROL COMMITTEE (SPCC)

CUD W HIMALAJACH

Nepalski przewodnik wspinaczkowy Dawa Sherpa był już uznany za zmarłego. Zaginął podczas wyprawy na Mount Everest. Ostatni raz był widziany przez brytyjskiego wspinacza, któremu towarzyszył, w trakcie schodzenia ze szczytu. Tymczasem po sześciu dniach od zaginięcia 52-latka znaleziono go żywego (co poczytano za cud). Nepalczyk powoli schodził do bazy. Miał odmrożone dłonie, ale poza tym był w dobrym stanie. Wspomniany Brytyjczyk relacjonował, że warunki wyprawy były ekstremalnie trudne.

ZAPACH RYBY

W Myrtle Beach (Karolina Południowa) 46-letni funkcjonariusz policji został aresztowany i zwolniony z pracy po tym, jak rzekomo wyciągnął broń służbową i wycelował ją w innego policjanta w pomieszczeniu odpraw na komisariacie. Powodem takiego zachowania doświadczonego stróża prawa miała być irytacja z powodu zapachu ryby, którą jego kolega podgrzewał w mikrofalówce służbowej. Przestępstwo 46-latka zagrożone jest karą do pięciu lat więzienia.

ATAK NIEDŹWIEDZICY

O dużym szczęściu może mówić turysta z Kalifornii. Podczas pobytu w Parku Narodowym Glacier (Montana) 28-latek na krótko odłączył się od swojej towarzyszki, aby zrobić zdjęcia. Wtedy zauważył młodego niedźwiedzia grizzly. Kilka sekund później pojawiła się nad nim matka zwierzęcia, która się na niego gwałtownie rzuciła. Niedźwiedzica ugryzła mężczyznę w przedramię, gruchocząc je. Następnie ciągnęła go przez ok. sześć do dziewięciu metrów. Potem puściła. Mimo poważnych obrażeń turysta przeżył.

ZAKAZ NUGGETSÓW

Youtuber Allen Ferrell, którego kanał ma ponad 1,8 mln subskrybentów, otrzymał dożywotni zakaz wstępu do sieci parków rozrywki Six Flags. A wszystko przez viralowe wideo, które wrzucił do Internetu. Na nagraniu popisuje się jedzeniem nuggetsów podczas jazdy kolejką górską w Sandusky (Ohio). „Wyczyn" przykuł uwagę setki tysięcy osób. Tymczasem wnoszenie produktów do spożycia i innych luźnych przedmiotów na urządzenia rekreacyjne jest w Six Flags ze względów bezpieczeństwa zabronione.

AGRESYWNA BABYSITTERKA

Do niecodziennej awantury doszło w Bad Saulgau (Badenia-Wirtembergia). 58-letnia babysitterka odmówiła oddania dziecka rodzicom po zakończeniu zlecenia. Wezwano policję. Kobieta stawiła funkcjonariuszom opór, a jednego z nich ugryzła w rękę. Ostatecznie dziecko udało się bezpiecznie przekazać rodzicom. 58-latka została zatrzymana i oskarżona o napaść na policjantów. Motyw jej działania pozostaje nieznany. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Unijna troska o azylantów

Liczba wniosków o azyl w UE wyraźnie spada. W 27 państwach zarejestrowano ok. 822 tys. wniosków o ochronę międzynarodową, co oznacza spadek o 19 proc. w skali roku. To jednocześnie najniższa liczba wniosków od 2021 r.

Z danych opublikowanych 9 czerwca przez Agencję UE ds. Azylu w przypadku Portugalii liczba wniosków o azyl w 2025 r. spadła aż o 37 proc. (w porównaniu z 2024 r.) z 2797 do 1763.

8 czerwca Komisja Europejska wszczęła nowe postępowanie wobec władz w Lizbonie. Powód? Brak zagwarantowania pomocy prawnej dla podejrzanych i oskarżonych. Unijnym urzędnikom nie podoba się zwłaszcza ograniczenie pomocy wobec cudzoziemców bez ważnego zezwolenia na pobyt. Innymi słowy: Komisję Europejską drażni, że Portugalczycy ośmielili się ograniczyć prawo do pomocy prawnej podejrzanym lub oskarżonym, którzy nielegalnie znaleźli się na unijnym terytorium.

To nie pierwszy spór Brukseli z Lizboną. W styczniu Portugalia ogłosiła, że woli zapłacić 8,4 mln euro, niż przyjmować 420 nieudokumentowanych migrantów przydzielonych na podstawie paktu migracyjnego (tzw. wkład solidarnościowy to 20 tys. euro za każdego nielegalnego osobnika, którego nie chce się przyjąć).

Na cenzurowanym znalazły się także Polska i Bułgaria. Chodzi o „nieprawidłową transpozycję przepisów Unii Europejskiej (UE) dotyczących pomocy prawnej dla podejrzanych i oskarżonych". Te zaś nakazują „zagwarantowanie dostępu do pomocy prawnej niezależnie od obywatelstwa lub narodowości". A jeśli dany oskarżony dostał się do nas, łamiąc nasze prawo? To dla UE nie ma znaczenia.

eprasa.pl ef045d2c96



Ze Zbigniewem Parafianowiczem, dziennikarzem Wirtualnej Polski, autorem książki „Kłopot z Zełenskim”
rozmawia Maciej Pieczyński

Zełenski buduje obraz wroga w postaci Polski



FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP

MACIEJ PIECZYŃSKI: Komentując sprawę nadania imienia Bohaterów UPA jednej z ukraińskich jednostek, stwierdziłeś, że prezydent Wołodymyr Zełenski nie może przeciwstawić się mitom założycielskim państwa ukraińskiego. Ale przecież mówimy o rosyjskojęzycznym Żydzie z południa kraju, który – co potwierdzają twoi rozmówcy w książce „Kłopot z Zełenskim” – ma poglądy liberalne i gardzi prawicą. I ten człowiek nagle przefarbował się w brunatne barwy. Może więc to jest tak, że na fotelu prezydenta Ukrainy nacjonalizm wciągnie każdego, niezależnie od jego wyjściowych przekonań?

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ: To prawda. „Fotel nacjonalizmu” wciąga kolejnych prezydentów, o czym świadczą przykłady Wiktora Juszczenki i Petra Poroszenki. Wyjątkiem od reguły jest Wiktor Janukowycz, który był kleptokratą bez poglądów. Poroszenko pochodzi z wielonarodowego regionu Budziak na południu Ukrainy, wychowywał się zaś w naddniestrzańskich Benderach. Teoretycznie nie miał nic wspólnego z tradycją galicyjskiego nacjonalizmu. A jednak, podobnie jak wcześniej Juszczenko, przejął retorykę banderowską, eskalując konflikt z Polską o historię. Zełenski poszedł w ich ślady. Współczesny naród ukraiński powstał na barykadach pomarańczowej rewolucji i od tego momentu istotnym elementem jego tożsamości jest kult OUN-UPA.

Czy ukraińscy politycy wchodzą w buty banderyzmu, żeby zdobyć szerokie poparcie społeczne, czy bardziej ze strachu przed niewielką, za to silną grupą radykalnych nacjonalistów?

Politycy dopieszczają nacjonalistów, bo ci są najlepiej zorganizowani, najbardziej zmotywowani i najsilniejsi. Kult UPA, kiedyś ograniczony do zachodu kraju, od czasów pomarańczowej rewolucji przesuwa się wyraźnie na wschód. Ruch azowski, bodaj najbardziej radykalny wśród nacjonalistów, narodził się przecież w Charkowie i nabrał militarnych kształtów w formie batalionu ochotniczego w Berdiańsku. Wracając do aktualnej sytuacji, Zełenski w banderyzmie szuka rozwiązania swoich problemów politycznych. Coraz ostrzej jest krytykowany za aferę Mindicza. Wiadomo, że prędzej czy później będzie musiał dokonać ustępstw terytorialnych wobec Rosji. Rekompensatą za utratę ziemi miało być szybkie wejście Ukrainy do UE. Okazuje się jednak, że tym również nie będzie mógł się pochwalić przed potencjalnymi wyborcami.

W ramach zadośćuczynienia za brak sukcesów oferuje Ukraińcom kult UPA?

Kult UPA jest balsamem, który pozwala Zełenskiemu wkupić się w łaski z jednej strony nacjonalistów, z drugiej strony wojska, które w swej masie oczekuje od władzy asertywności w sprawie polityki historycznej. Armia stała się istotnym czynnikiem w polityce ukraińskiej. Wywodzący się z ruchu azowskiego generałowie Andrij Biłecki i Denys Prokopenko cieszą się sporą popularnością. Obaj mają ambicje

eprasa.pl ef045d2c96

polityczne. Sondaże dają Prokopence ledwie kilka procent, ale już Biłeckiemu – nawet do 10 proc. A to tylko dwie postaci, reprezentujące jedynie część środowiska nacjonalistycznego.

Z reguły sondaże na Ukrainie nie są prowadzone wśród żołnierzy. Biuro Prezydenta prowadzi jednak własne, wewnętrzne badania, z których wynika, że Zełenski nie cieszy się w armii szczególnym poparciem. W oczach elektoratu – umundurowanego i cywilnego – ukraiński prezydent zyskuje, nie tylko czcząc banderowców, lecz także budując obraz wroga w postaci Polski, która się temu kultowi sprzeciwia. Zdobywa poparcie naszym kosztem. Im bardziej protestujemy, tym lepiej dla Zełenskiego. Kolejną korzyścią z jego punktu widzenia jest wypychanie Polski z jakichkolwiek rozmów o przyszłości Ukrainy. Po bezowocnej wizycie Kyryła Budanowa w Warszawie widać wyraźnie, że stosunki na linii Kijów – Warszawa zostały zamrożone. Zełenski nie tylko nie zaprosił Polski na rozmowy z liderami europejskimi w Londynie, lecz także poleciał tam przez Kiszyniów, omijając Jasionkę. Na użytek wewnętrzny punktuje u nacjonalistów i wojska, robiąc z nas wroga Ukrainy, na użytek zewnętrzny – donosi zachodnim partnerom na nas, jako na hamulcowego integracji europejskiej. Co istotne, grupa batalionowa, której nadał imię Bohaterów UPA, nie wywodzi się z ruchu azowskiego czy z jakiegoś innego środowiska neobanderowskiego. To zwykła jednostka sił specjalnych. Zapotrzebowanie na kult UPA jest zatem w armii powszechne i nie dotyczy jedynie radykałów.

Sympatia do Bandery i Szuchewycza łączy Ukraińców ponad podziałami. To taki trochę tęczowo-brunatny sojusz. Nawet liberałowie i lewica popierają (żeby wspomnieć choćby pisarkę Oksanę Zabużko) kult UPA.

Pełna zgoda. Fascynujący synkretyzm. Na Ukrainie dominującym typem światopoglądowym jest sowietoliberał. Czyli ktoś, kto potrafi wyzywać innych od „pidarów" (pedałów), a jednocześnie maszerować w paradach LGBT. Po wybuchu wojny ulice Szuchewycza wyrastają na Ukrainie jak grzyby po deszczu. Ukraina realizuje nasze interesy, walcząc z Rosją, ale postępująca rebanderyzacja jest dla nas niekorzystna i niebezpieczna.

Czy kult UPA, dziś używany głównie przeciwko Rosji, może wrócić do antypolskich korzeni? Czy wyobrażasz sobie, że spór z Ukrainą przerodzi się w zamieszki polsko-ukraińskie albo nawet w otwarty konflikt między dwoma państwami? Czy istnieje ryzyko, że po wojnie ukraińscy weterani, sfrustrowani utratą terytorium, cierpiący na PTSD, przyjeżdżający do Polski w ślad za swoimi kobietami i dziećmi, wezmą do ręki broń i poleje się krew?

Ukraina jest państwem bardzo labilnym. Obecnie deklaruje kurs prozachodni, ale nie wiemy, co się wydarzy za 15 lat – czy Ukraina osiągnie sukces gospodarczy i zagospodaruje weteranów czy przeciwnie: będzie krajem sfrustrowanych weteranów, którzy będą szukać ujścia swojej frustracji.

Czyli Ukraina może stać się w przyszłości wrogiem Polski?

Ukraina już teraz pełni funkcję frenemy (półwroga, półprzyjaciela), realizując w pewnych sferach politykę, która Polsce nie sprzyja. Natomiast zagrożenie falą przemocy ze strony napędzanych agresywną ideologią weteranów jest jak najbardziej realne. O takiej perspektywie już teraz mówią raporty Komendy Głównej Policji.

Czyli, nawiązując do tytułu twojej książki, Polska ma nie tylko „kłopot z Zełenskim", lecz także generalnie „kłopot z Ukrainą". Dostrzegasz rosnące nastroje antypolskie na Ukrainie?

Polska nie jest tematem codziennych, intensywnych dyskusji na Ukrainie. Oni nie interesują się nami tak, jak my nimi. Antypolski hejt wybucha nie sam z siebie, tylko przy okazji takich sytuacji jak afera z uhonorowaniem UPA. Zełenski w ten sposób generuje nastroje nam niechętne, ale to ziarno hejtu trafia na podatny grunt. Każdemu, kto uważa, że hejt leje się tylko z naszej strony, polecam zajrzeć na ukraińskie media społecznościowe czy fora internetowe, by przekonać się, jak dużo jest tam antypolskich komentarzy i jak mało zrozumienia dla naszych argumentów.

Jeden z twoich rozmówców w książce twierdzi, że na Zełenskiego nie działa „sentymentalne gadanie o historii", tylko np. blokada granicy (jako kij) albo perspektywa wspólnego interesu (marchewka). Może więc słuszna jest propozycja Mateusza Lachowskiego, by postraszyć Kijów perspektywą rozpisania referendum na temat poparcia Polski dla wejścia Ukrainy do UE?

To ciekawa koncepcja, a zarazem opcja atomowa, ostateczna. Generalnie scedowanie odpowiedzialności na głos ludu byłoby inteligentnym zagraniem. Wówczas Zełenski by sobie uświadomił, że aby na poważnie myśleć o wejściu do UE, musi dbać nie tylko o dobre relacje z naszym premierem czy prezydentem, lecz także o proukraińskie nastroje w polskim społeczeństwie. Ja ze swojej strony proponowałbym próbę sterowania przyszłą odbudową Ukrainy. Polska będzie krajem tranzytowym dla firm, które będą inwestować nad Dnieprem.

Dobrze byłoby do tego celu zarezerwować jedno przejście graniczne, które w razie konieczności będzie można zamknąć pod jakimś pretekstem formalnym, aby w ten sposób wymusić na władzach w Kijowie konkretne ustępstwa. Oczywiście Zełenski będzie wtedy szukał alternatywnej drogi, tak jak znalazł Kiszyniów zamiast Jasionki, lecąc do Londynu. Za pośrednictwem ukraińskich mediów będzie spinował narrację, że wcale Polski nie potrzebuje. Będzie wywierana presja medialna i polityczna, aby zmiękczyć Warszawę. To jednak nie zmienia faktu, że nasze terytorium stanowi najwygodniejszy korytarz tranzytowy dla zachodnich firm, które będą odbudowywać Ukrainę. Kijów o tym wie.

Kolejną naszą kartą w grze powinny być świadczenia dla uchodźców. Trzeba ich uczynić zakładnikami relacji polsko-ukraińskich. Zełenski musi mieć świadomość, że jeśli pójdzie na polityczną wojnę z Warszawą, to ucierpią na tym jego mieszkający nad Wisłą rodacy. Wreszcie polskie władze powinny forsować na forum unijnym antybanderowską legislację. Będzie to o tyle łatwe, że dzięki skandalicznym decyzjom Zełenskiego wyczulona na nacjonalizm zachodnia opinia publiczna coraz bardziej się interesuje zbrodniami UPA.

Na dobry pomysł wpadł również poseł PiS Radosław Fogiel. Zaproponował, by dostawcy i odbiorcy przekazywanej na Ukrainę broni podpisywali oświadczenia, że broń ta nie trafi do jednostek nawiązujących do symboliki banderowskiej. Ktoś powie: „Kłótnia z Zełenskim wykluczy nas ze stołu rozmów o rozejmie". To prawda. Ale głównym interesem Polski jest, aby

eprasa.pl ef045d2c96

Ukraina jak najdłużej walczyła z Rosją na swoim terenie. I to się dzieje. Nie jesteśmy na musiku. Przecież Ukraińcy nie wycofają swoich wojsk z Donbasu, nie skapitulują przed Putinem, bo mają złe stosunki z Polską. Będą walczyć z Rosją, bo to leży w ich interesie. Nie cofną się pod polską granicę. Nasza obecność przy stole lub jej brak nic w tej kwestii nie zmieni.

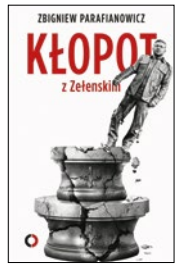
Ukraina już teraz pełni funkcję frenemy (półwroga, półprzyjaciela), realizując w pewnych sferach politykę, która Polsce nie sprzyja. Natomiast zagrożenie falą przemocy ze strony napędzanych agresywną ideologią weteranów jest jak najbardziej realne. O takiej perspektywie już teraz mówią raporty Komendy Głównej Policji

Wielu komentatorów ocenia, że Zełenski popełnia polityczny błąd, plując Polsce w twarz. Ale czy nie jest tak, że on to robi, bo może? Bo i tak będziemy pomagać Ukrainie, bo w naszym interesie jest jej niepodległość, a nawet jak przestaniemy pomagać, to Zełenski znajdzie dla nas zastępstwo, tak jak zastąpił Jasionkę Kiszyniowem?

Kiszyniów to jest dobry, symboliczny przykład. Zauważ, że Zełenski nie poleciał do Londynu z Węgier, ze Słowacji czy z Rumunii, tylko z Mołdawii. Nie wybrał więc żadnego z sąsiadów, który należy zarówno do NATO, jak i do UE. Podobnie może być z dostawami broni, jeśli nie pogodzi się z Polską. Kto mu zostanie do wyboru jako alternatywny hub logistyczny do celów pomocy wojskowej dla Ukrainy? W Rumunii rosną nastroje antyukraińskie. Słowacja nie będzie pomagać Ukrainie dopóty, dopóki rządzi Robert Fico. Péter Magyar też zapowiedział, że Węgry nie dostarczą więcej broni. Pozostaje Mołdawia. Państwo z kilkutysięczną armią, które nie należy do NATO, więc będzie łatwym celem dla Rosji. Kiszyniów też nie rzuci się w objęcia Kijowa, chyba że otrzyma od Ukrainy gwarancje bezpieczeństwa. Zełenski może też zdobyć dla Mołdawii Naddniestrze w zamian za urządzenie przez władze tego kraju „nowej Jasionki". Jednak Mołdawia to nie Polska – Ukraińcy wiedzą, z kim współpraca im się bardziej opłaca.

„Ukraińcy nas nie chcą przy odbudowie" – mówi w twojej książce „Kłopot z Zełenskim" minister w rządzie Tuska...

To perspektywa mojego rozmówcy. Moim zdaniem Ukraińcy chcą każdego, kto ma kapitał. Potrzebują inwestycji, ale nie chcą sprzedawać swoich klejnotów narodowych za bezcen. Dążą do tego, by jak największa część majątku pozostała w rękach lokalnych oligarchów. Gdy rozmawiałem z polskimi przedsiębiorcami na potrzeby książki, odniosłem wrażenie, że ich zdaniem ryzyko inwestowania na Ukrainie jest większe niż potencjalne zyski. Tam panuje inna kultura prowadzenia biznesu. Na przykład polskie firmy w ogóle nie stanęły do przetargu na budowę autostrady do Łucka. Nie tylko z uwagi na ryzyko ostrzałów, które na zachodniej Ukrainie jest mniejsze niż w innych regionach. Decydujący jest strach przed koniecznością wejścia w układy korupcyjne. Polskie firmy, robiące interesy na Ukrainie, nie mają dobrych doświadczeń.



ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ „KŁOPOT Z ZEŁENSKIM" CZERWONE I CZARNE 2026

Czy w sferze gospodarki Ukraina jest dla Polski bardziej wrogiem czy partnerem?

W interesie Polski są jak najdłuższe okresy przejściowe dla ukraińskiej gospodarki w procesie integracji z UE. Albo wręcz ustalanie w konkretnych branżach szklanych sufitów, aby dany produkt w ogóle nie mógł trafić na polski rynek. Wiadomo, że Ukraińcy tworzą dla nas groźną konkurencję w sferze rolnictwa i transportu. Podobnie będzie z branżą budowlaną. Musimy opracować jakieś rozwiązanie, opóźniające wejście Ukraińców na jednolity rynek unijny. Trzeba brać przykład z Niemców i Francuzów, którzy kiedyś też rzucali Polsce kłody pod nogi w obawie przed tanią konkurencją ze wschodu.

Biorąc pod uwagę szalejącą korupcję na szczytach władzy, największym wrogiem dla Ukrainy jest chyba sama Ukraina, a dokładniej: jej politycy. Nie milkną echa afery Mindicza. Co jakiś czas pojawiają się kolejne jej odsłony. Na jednej z taśm padają słowa o budowie domu pod Kijowem dla niejakiego Wowy. Prawdopodobnie chodzi o Zełenskiego. Czy ukraiński prezydent kradnie czy „tylko" pozwala innym kraść?

W ukraińskim systemie korupcyjnym głowa państwa w zasadzie nigdy bezpośrednio nie bierze w łapę. Jest raczej patronem schematu korupcyjnego. Wiktor Juszczenko nie brał osobiście łapówek. Miał od tego ludzi. Janukowycz też nie obciążał własnej kieszeni. „Portfelami" byli jego synowie i współpracownicy. Podobnie było z aferami korupcyjnymi, w które zamieszany był Poroszenko. Wszyscy prezydenci wiedzieli, pośrednio korzystali na okradaniu państwa, przyzwalali na korupcję, ale sami na tym nie zarabiali. Podobnie jest obecnie. W schematy korupcyjne był zamieszany Rustem Umierow, czyli główny negocjator porozumień rozejmowych, sam Timur Mindicz, czyli bliski przyjaciel Zełenskiego, wreszcie były szef Biura Prezydenta Andrij Jermak, który stanął przed sądem. Sam Zełenski walizek z pieniędzmi nie przyjmuje. Wzmianki na taśmach na to nie wskazują. Niemniej o wszystkim musiał wiedzieć.

Im bardziej wroga wobec Polski bywa Ukraina, tym większa w niektórych środowiskach pojawia się pokusa, by pomyśleć o resecie z Rosją. Czy o jakiejkolwiek próbie porozumienia z Moskwą, które mogłoby lewarować pozycję Warszawy w relacjach z Kijowem. Co ty na to?

Jakakolwiek próba rozmowy z Rosją o Ukrainie byłaby dla Polski szkodliwa. Moskwa traktuje Warszawę jak wroga. Trzeba pamiętać, że Rosja domagała się demilitaryzacji nie tylko Ukrainy, lecz także wschodniej flanki NATO. Polska jest dla Putina potencjalnym teatrem wojny. Państwem, które trzeba albo rozbroić, albo uczynić członkiem NATO podrzędnej kategorii, niezasługującym na obronę ze strony sojuszników. Rosja chce najpierw zniszczyć Ukrainę, a potem wziąć się za wschodnią flankę NATO. To nie jest partner do dealów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Premier Nikol Paszynian przemawia po wyborach parlamentarnych w Armenii, 8 czerwca 2026 r.
FOT. ANTHONY PIZZOFERRATO/AP/EAST NEWS

Porażka Rosji w Armenii



Witold Repetowicz

Zwycięstwo rządzącej partii w wyborach parlamentarnych w Armenii to przede wszystkim pokazanie czerwonej kartki Rosji, która nie zdołała zastraszyć Ormian, a zarazem wybór Europy. Jest to tym bardziej bolesne dla Kremla, gdyż nie szczędził on środków na agresywną propagandę w Armenii. Nie zmienia to faktu, że przed tym krajem stoi ogrom wyzwań

Umowa Obywatelska, czyli ugrupowanie rządzącego w Armenii od ośmiu lat premiera Nikola Paszyniana, zdobyła 49,87 proc. i 64 miejsca w 105-osobowym parlamencie, do którego weszły też dwa ugrupowania prorosyjskie. Łącznie na partie prorosyjskie głos oddało 37,5 proc. głosujących, a kolejne 4 proc. na rozdrobnioną opozycję antyrosyjską, która uważa, że Paszynian powinien w bardziej zdecydowany sposób odciąć Armenię od Rosji. Resztę otrzymały małe partie, które pozycjonują się między obozem rządzącym a prorosyjską opozycją.

Trzecie zwycięstwo Paszyniana z rzędu nie jest dowodem na jego popularność. Na razie jego strategia poradzenia sobie z gigantycznymi problemami Armenii nie przyniosła jeszcze owoców, choć sukces wciąż jest możliwy do osiągnięcia. Chodzi w szczególności o otwarcie granic z Turcją i Azerbejdżanem oraz zawarcie traktatu pokojowego z tym drugim. Porażka opozycji wynika raczej z tego, że jej liderzy postrzegani są jako rosyjskie marionetki oraz uosobienie korupcji. Rosja zaś od 2020 r. ma opinię zszarganą zdradą, której dopuściła się wobec Ormian. Przekonana, że Ormianie nie mają alternatywy, więc i tak będą jej posłuszni, skoncentrowała się na zaspokajaniu żądań Azerbejdżanu, byleby utrzymać go w swojej strefie wpływów. Dlatego ukartowała przekazanie mu Górskiego Karabachu.

OKRADANY KRAJ

To jeden z najbardziej drażliwych i bolesnych, a jednocześnie polaryzujących tematów, którymi żyje Armenia.

eprasa.pl ef045d2c96

W 2020 r. doszło do 44-dniowej wojny o Górski Karabach, region, który w czasach ZSRS został przyłączony do Azerbejdżanu jako obwód autonomiczny. Zamieszkany był jednak przez Ormian, którzy w 1988 r., jeszcze przed rozpadem ZSRS, postanowili się odłączyć od Azerbejdżanu, na co pozwalała konstytucja ZSRS. Choć mocno zakorzeniony jest stereotyp, że Armenia jest tradycyjnym sojusznikiem Rosji, to w rzeczywistości w ostatnich swych podrygach konający Związek Sowiecki usiłował rozwiązać kwestię Karabachu w sposób radykalny i satysfakcjonujący Azerbejdżan. Michaił Gorbaczow oraz jego minister obrony Dmitrij Jazow wymyślili operację „Kolco", czyli wysiedlenie Ormian z Karabachu do Armenii. Nie powiodło się, bo Ormianie sięgnęli po broń, ZSRS padł, a Azerbejdżanowi zabrakło woli walki. W rezultacie Ormianie wygrali tzw. pierwszą wojnę karabaską i ogłosili niepodległość Górskiego Karabachu. Później zmieniła ona nazwę na Republikę Arcachu, co było powrotem do starożytnej nomenklatury.

Wojnę w 2020 r. Ormianie jednak przegrali, gdyż nie byli do niej przygotowani. Przez ponad dwie dekady Azerbejdżan zbroił się, bogacił, a liczba jego ludności rosła. Tymczasem Armenia była okradana przez rządzący „klan karabaski", czyli grupę polityków pochodzących z Karabachu. Na jej czele stał Robert Koczarian, którego skorumpowane rządy w latach 1997–2008 doprowadziły Armenię do ruiny. Ewentualni konkurenci byli usuwani. W 1999 r. doszło do niewyjaśnionego w pełni do dziś zamachu. Uzbrojona grupa wtargnęła do parlamentu w czasie jego posiedzenia i zaczęła strzelać. Zginął wówczas m.in. charyzmatyczny premier Wazgen Sarkisjan, który mógł zagrozić pozycji Koczariana. Brat Wazgena, Aram, który został na krótko premierem po tym zamachu, należy obecnie do radykalnie antyrosyjskiej opozycji pozaparlamentarnej.

Koczarian prowadził natomiast politykę bezwzględnego podporządkowania Rosji i dlatego bezpieczeństwo kraju oparto nie na zwiększaniu własnych zdolności, ale na zależności od pomocy rosyjskiej. A gdy przyszło co do czego, to jej zabrakło. W 2020 r. Rosja nie kiwnęła palcem w obronie Armenii. Zawieszenie broni wymusiła dopiero wówczas, gdy Azerbejdżan przejął kontrolę nad terenami, które za czasów sowieckich należały do niego, a w pierwszej wojnie karabaskiej zostały zdobyte przez Ormian. Jednocześnie wprowadziła do Karabachu swoich „mirotworców", czyli tzw. siły pokojowe, które miały nadzorować zawieszenie broni. Tyle że nie kiwnęły one palcem, jak Azerbejdżan najpierw dokonał blokady Górskiego Karabachu, a następnie w 2023 r. zajął go, wykorzystując problemy Rosji związane z rozpoczętą przez nią wojną przeciwko Ukrainie. Klęska Arcachu spowodowała, że wszyscy jego mieszkańcy, tj. ponad 100 tys. osób, opuścili swoje domy, uchodząc do Armenii.

Siły prorosyjskie w Armenii próbowały zepchnąć odpowiedzialność za tę katastrofę na Paszyniana, ale się nie udało. W 2021 r. partie prorosyjskie zdobyły łącznie tylko 30 proc. głosów, a ugrupowanie premiera – 54 proc. Nic dziwnego, skoro liderem opozycji był znienawidzony Koczarian. Rosja to zrozumiała i zaczęła szukać kogoś innego. Najpierw wybór padł na Rubena Wardaniana, pochodzącego z Arcachu oligarchę rosyjsko-ormiańskiego, oskarżanego o pranie brudnych pieniędzy i finansowe wspieranie rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wardanian w 2022 r. zrzekł się obywatelstwa Rosji, przeprowadził się do Arcachu i został ministrem w tamtejszym rządzie. Ale w 2023 r. Azerbejdżan nie pozwolił mu opuścić Arcachu i wraz z grupą innych polityków karabaskich wywiózł go do Baku, gdzie zorganizował proces pokazowy. Choć Rosja mogła ewakuować Wardaniana, to tego nie zrobiła, gdyż chciała wykorzystać sprawę więźniów do nacisków na Paszyniana. Ale i to nie wyszło. Sprawa ta wprawdzie przyczyniła się do polaryzacji, ale większość Ormian znów nie kupiła tego, że to Paszynian, a nie Rosja i Koczarian, odpowiedzialny jest za całą tę katastrofę.

DALEKO IDĄCE USTĘPSTWA

Paszynian postanowił jednak pójść dalej i całkowicie odciąć się od kwestii karabaskiej, uznając to za zamknięty rozdział. Postawił jednocześnie wszystko na normalizację stosunków z Turcją i Azerbejdżanem. Turcja jednak uzależniła normalizację od dokonania jej przez Azerbejdżan, a ten postawił daleko idące warunki i zaczął grać na zwłokę. Wtedy jednak do akcji wkroczyli Amerykanie i Donald Trump ściągnął do Białego Domu Paszyniana oraz lidera Azerbejdżanu, Ilhama Alijewa, gdzie podpisali oni wspólną deklarację w sprawie normalizacji stosunków. Jednym z jej założeń był projekt TRIPP (Trump Route for International Peace and Prosperity), czyli plan szlaku tranzytowego przechodzącego przez południową prowincję Armenii, Sjunik, i łączącego Azerbejdżan właściwy z jego eksklawą – Nachiczewanem – oraz Turcją. TRIPP zastąpił nieakceptowalny projekt eksterytorialnego „korytarza zangezurskiego", forsowanego przez Azerbejdżan, który de facto pozbawiał Armenię kontroli nad Sjunikiem. Paradoksalnie plan „korytarza zangezurskiego" był wspierany przez Rosję, natomiast sprzeciwiał się mu Iran, gotowy nawet militarnie wspomóc Armenię, by utrzymać jej zwierzchność nad Sjunikiem.

Premier Armenii Nikol Paszynian całkowicie odciął się od kwestii karabaskiej, uznając to za zamknięty rozdział. Postawił jednocześnie wszystko na normalizację stosunków z Turcją i Azerbejdżanem

W takiej sytuacji Trump zaliczył konflikt Armenia – Azerbejdżan do wojen, które jakoby zakończył, ale traktat pokojowy do dziś nie został podpisany, gdyż Azerbejdżan zażądał zmiany armeńskiej konstytucji, w której jakoby znajdują się zapisy będące przejawem rewizjonizmu terytorialnego. Sam natomiast zaczął promować ideę „Azerbejdżanu Zachodniego" sugerującą, że większość terytorium Armenii (w tym stolica Erywań) to tak naprawdę ziemie bezprawnie mu zabrane. Paszynian postanowił w takich warunkach iść na daleko idące ustępstwa w ramach delimitacji granicy i zapowiedział przeprowadzenie referendum konstytucyjnego w celu spełnienia żądań Azerbejdżanu. To oczywiście wywołało niezadowolenie, i to nie tylko opozycji prorosyjskiej, a obecne wyniki wyborów wskazują, że sukces referendum może być wielce wątpliwy. Ponadto armeński premier postanowił całkowicie odciąć się od narracji o armeńskości Karabachu, w sytuacji gdy

eprasa.pl ef045d2c96

Azerbejdżan niszczy armeńskie dziedzictwo kulturowe na tym terenie. Uchodźcy z Karabachu stali się natomiast podejrzani w oczach władz i bardzo ślamazarnie przyznaje się im obywatelstwo Armenii. Determinacja Paszyniana w tym zakresie była tak wielka, że gdy dyrektor Muzeum Ludobójstwa Ormian wręczyła wiceprezydentowi J.D. Vance'owi książkę o Arcachu w czasie jego wizyty w Armenii, to została za to zwolniona ze stanowiska. Ta polityka przyniosła pewne efekty, gdyż doszło do uruchomienia handlu Azerbejdżanu z Armenią, ale nie przez wspólną granicę i w bardzo ograniczonym zakresie. Zintensyfikowane zostały natomiast kontakty, lecz nie na poziomie społecznym, a jedynie elit rządzących. Paszynian bardzo zabiegał, by choć Turcja otworzyła granicę z Armenią, i były takie zapowiedzi przed wyborami, ale ostatecznie Azerbejdżan to zablokował.

Nowa wojna o Arcach byłaby katastrofą dla Armenii, a do tego właśnie prze Rosja. Wtedy mogłaby wystąpić znów jako mediator, wprowadzić swoich „mirotworców" i handlować terytorium Armenii, w szczególności Sjunikiem, by zaskarbić sobie wdzięczność Azerbejdżanu. Ponadto są to otwarte rany i ogromna trauma. Wystarczy w Erywaniu pójść na Cmentarz Yerablur, gdzie są setki grobów młodych chłopców, którzy kilka lat temu polegli za Arcach, by to zrozumieć. Ponadto co do samej utraty Arcachu to stosunek Ormian do tego przypomina nasz tuż po wojnie w odniesieniu do Lwowa, Wilna czy Grodna.

Gdy Rosja zorientowała się, że na Wardanianie nie wygra, pojawił się bp Bagrat Galstanian, hierarcha Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, który zaczął organizować protesty. Nie miały one pokojowego charakteru, a sam Bagrat nie ukrywał, że jego celem jest siłowe obalenie Paszyniana, aby samemu zostać premierem. Kościół dystansował się wprawdzie od Galstaniana, ale hierarchia po cichu mu sprzyjała, co ostatecznie doprowadziło do ostrej konfrontacji między Paszynianem a głową Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, katolikosem Karekinem II. Ale spowodowało to też gwałtowny spadek zaufania do kościoła wśród Ormian, a Bagrat ostatecznie wylądował w więzieniu. Za kratki trafił też kolejny wybór Rosji, tj. Samwel Karapetian, rosyjsko-ormiański oligarcha. Wbrew temu, co twierdzą zwolennicy opcji prorosyjskiej, nie jest on jednak więźniem politycznym, gdyż jego aresztowanie związane było z przygotowaniami do wspieranego przez Rosję zbrojnego przewrotu. Ponadto ciążą na nim również poważne zarzuty prania pieniędzy i kupowania głosów poprzez należącą do niego największą firmę w Armenii, tj. Tashir Group. Tuż przed wyborami zarówno Galstanian, jak i Karapetian zostali zresztą przeniesieni do aresztu domowego.

ERUPCJA NASTROJÓW PROEUROPEJSKICH

Rosja bardzo mocno zaangażowała się w wybory w Armenii, inwestując bardzo dużo w media i inne instrumenty wpływu. Armenia wciąż pozostaje pod dużym jej wpływem we wszystkich niemal dziedzinach, a Domy Rosyjskie czy instytucje finansowane przez Gazprom prowadzą szeroko zakrojoną działalność propagandową, dezinformacyjną i indoktrynacyjną. Pomaga w tym powszechna w Armenii znajomość języka rosyjskiego, choć ostatnio zauważalne jest zjawisko wzrostu niechęci do jego używania. Obóz prorosyjski swoją narrację opiera na zarzutach o zdradę, kierowanych pod adresem Paszyniana, tyle że to Rosja zdradziła Armenię, a Koczarian doprowadził armię do ruiny. Straszy on też nową wojną z Azerbejdżanem, twierdząc, że tylko Rosja może obronić Armenię. W latach 2020 i 2023 już pokazała, jak bardzo jest „wiarygodna" jako sojusznik. Poza tym wojna z Azerbejdżanem groziłaby Armenii, gdyby wygrała opcja prorosyjska, bo zerwane zostałyby rozmowy. Teraz grozi jej raczej inwazja rosyjska. Tym też, tuż przed wyborami, zaczęła grozić Rosja, i to wprost. Pojawiła się bowiem narracja, że Zachód planuje „zaatakować Rosję Armenią", tak jak wcześniej zrobił to jakoby z Ukrainą. Stronnicy Karapetiana i Koczariana już zaczęli głosić, że wybory zostały sfałszowane.

To oczywiście przygotowania do organizowania masowych protestów, niekoniecznie o pokojowym charakterze. Mówiąc wprost, skoro opozycji nie udało się przejąć władzy legalnie, to będzie próbowała zrobić to siłą. W takim scenariuszu, jeśli dojdzie do rozlewu krwi, Rosja wkroczy do Armenii z „misją pokojową". Albo będzie próbowała zastraszyć takim scenariuszem Paszyniana, licząc, że „pragmatycznie" pójdzie on na ustępstwa i wycofa się z planów głębszego zbliżenia z Europą. Tyle że jest to ostatnia rzecz, jakiej pragną wyborcy Umowy Obywatelskiej. Po tym jak Ormianie zobaczyli zdradę Rosji, nastąpiła erupcja nastrojów proeuropejskich. Paszynian ani tego nie zainicjował, ani też szczególnie nie forsował. Wręcz przeciwnie, długo starał się balansować między Rosją a Zachodem. Ale w końcu 2024 r. prozachodnia opozycja pozaparlamentarna zaczęła zbierać podpisy w celu przeprowadzenia referendum w sprawie rozpoczęcia procesu akcesji Armenii do Unii Europejskiej. Presja ta spowodowała, że parlament przyjął ustawę o uznaniu członkostwa w UE za cel strategiczny. Kontakty z UE uległy intensyfikacji w 2025 r., ale nie pociągnęło to za sobą podjęcia formalnych kroków, takich jak złożenie wniosku akcesyjnego. Przeszkodą jest m.in. to, że Armenia nadal jest członkiem postsowieckich struktur gospodarczych i wojskowych, takich jak Euroazjatycka Unia Gospodarcza i Organizacja Układu Bezpieczeństwa Zbiorowego. W tym drugim wypadku członkostwo zostało jednak zawieszone, a żołnierze rosyjscy, choć wciąż są obecni na terenie Armenii, zostali usunięci z wielu miejsc, np. z erewańskiego lotniska. Ponadto w Armenii pojawiła się też misja UE monitorująca granicę z Azerbejdżanem, co zresztą bardzo mu się nie podoba. Ale mieszkańcy nadgranicznych wiosek są bardzo zadowoleni.

USA to odrębna kwestia, bo pod rządami Trumpa nie prowadzą one wspólnej z UE polityki wobec Rosji i dotyczy to również Armenii. Ale lobby ormiańskie w USA jest zbyt ważne, a poza tym Trump ma słabość do Recepa Tayyipa Erdoğana. Z kolei z Azerbejdżanem blisko współpracuje Izrael. Kluczowe znaczenie ma jednak tutaj sąsiedztwo z Iranem, z którym Armenia ma bardzo dobre relacje, zdeterminowane tysiącami lat tradycji. Ewentualna eskalacja w wojnie z Iranem to ogromne zagrożenie dla Ormian i to chyba jedna z nielicznych spraw, w których są oni zgodni bez względu na orientację polityczną. Ponadto wojna wstrzymuje realizację projektu TRIPP. Wprawdzie tuż przed wyborami do Erywania przyleciał Marco Rubio, ale łopata w ziemię nie została jeszcze wbita.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Pani prefekt z Watykanu



FOT. VATICAN MEDIA/FOTOGRAMMA, / ZUMA PRESS / FORUM



Piotr Semka

Nominacja, którą otrzymała Maria Montserrat Alvarado, to ważny znak dla tych, którzy myśleli, że wybór kard. Roberta Prevosta na Stolicę Piotrową będzie mechanicznym przedłużeniem linii papieża Franciszka. Leon XIV, jak widać, gra skrzydłami i postawienie akurat na konserwatywną aktywistkę katolicką jest swego rodzaju demonstracją

Nominację Marii Montserrat Alvarado na stanowisko prefekta watykańskiej Dykasterii do spraw Komunikacji przyjęto jako sensację. „Przełom w Watykanie. Papież mianował kobietę na kluczowe stanowisko" – ogłosił portal Radia RMF.

Decyzję papieża Leona XIV rozpatrywano głównie jako kontynuację linii swojego poprzednika, papieża Franciszka. Podczas trwającego 12 lat swojego pontyfikatu zaczął on promować obecność osób świeckich i kobiet na wysokich stanowiskach w Rzymie. Była to realizacja zapowiedzi z Konstytucji Apostolskiej „Praedicate Evangelium".

Kilka tygodni przed swoją śmiercią Franciszek mianował dwie zakonnice na kluczowe stanowiska administracji watykańskiej. Decyzja Leona XIV była kolejnym przekroczeniem dotychczasowych standardów, bo Maria Montserrat Alvarado jest osobą całkowicie świecką i jako taka jest pierwszą osobą niekonsekrowaną w roli prefekta rzymskiej Dykasterii, czyli kogoś w rodzaju ministra w „rządzie" watykańskim. Długi czas stanowiska takie zajmowali zazwyczaj kardynałowie, a przynajmniej osoby duchowne. W wypadku Dykasterii do spraw Komunikacji chodzi o kierowanie niemal wszystkimi instytucjami medialnymi Stolicy Apostolskiej. Prefekt tej Dykasterii nadzoruje portal Vatican News, biuro prasowe Stolicy Apostolskiej, watykańską telewizję, dziennik „Osservatore Romano" i watykańskie wydawnictwo wraz z drukarnią.

„Chociaż nominacja ta była nieoczekiwana, to przyjmuję ją ze szczerym pragnieniem służenia Ojcu Świętemu" – ogłosiła skromnie nominatka. Co charakterystyczne, większość mediów światowych skupiła się wyłącznie na fakcie, że papież nominował kobietę, i do tego osobę świecką. W notatkach bardzo niewiele mówiono o dotychczasowej karierze nowej pani prefekt. Niektóre media wprost zignorowały tę nominację. W Polsce „Gazeta Wyborcza" w ogóle nawet nie poinformowała o tej decyzji. Skąd ta rezerwa?

TWARDA LINIA

Większość Amerykanów zna ją pod zdrobnieniem „Montse", co być może wynika z faktu, że jankesom trudno wymówić skomplikowane imię Montserrat, które wywodzi się od nazwy sanktuarium maryjnego w Katalonii. Urodziła się w mieście Meksyk – stolicy Republiki Meksyku w 1986 r. Ale wychowała się w Miami na Florydzie, gdzie w 2008 r. uzyskała obywatelstwo USA. Z rodzinnego domu wyniosła głęboką cześć dla Madonny z Gwadelupy, czego znakiem do dziś jest noszony na szyi Alvarado spory medalion z wizerunkiem Matki Bożej z twarzą Indianki.

Na początku XXI w. ukończyła studia licencjackie na Florida International University, po czym kontynuowała naukę, podejmując studia podyplomowe na George Washington University w stolicy USA, gdzie kształciła się w zakresie nauk politycznych i zarządzania politycznego. Szerzej zaczęła być znana, gdy zaczęła działać w Becket Fund for Religious Liberty. To instytucja odgrywająca w USA rolę podobną do tej, którą w naszym kraju pełni Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. Nieprzypadkowo wzięła sobie za patrona św. Tomasza Becketa, żyjącego w latach 1118–1170 kapłana, arcybiskupa Canterbury, który zapłacił głową za żądanie swobody sumienia wobec angielskiego króla Henryka II. „Montse", przez 14 lat pełniąc w niej stanowiska kierownicze, zajmowała się obroną wolności religijnej przed sądami amerykańskimi. Dobrze znano ją w Sądzie Najwyższym USA, przed którym reprezentowała swoje stowarzyszenie w rozlicznych procesach. Ponad dekadę temu prowadziła ona przed tym sądem sprawę przeciwko administracji prezydenta Baracka Obamy. Występowała po stronie jednego z zakonnych zgromadzeń żeńskich, które nie godziło się na zapewnianie w myśl dyrektywy rządowej swoim pracownikom spoza zakonu pełnego pakietu zdrowotnych usług

eprasa.pl ef045d2c96

ubezpieczeniowych, w których skład wchodziło świadczenie aborcyjne. Do tego procesu po stronie Becket Fund dołączyła katolicka stacja telewizyjna EWTN i oba podmioty wygrały tę sprawę na swoją korzyść przed Sądem Najwyższym.

Przy okazji ostrych kontrowersji w tej kwestii obiektem ataków amerykańskiej liberalnej lewicy stała się konserwatywna sędzia Amy Coney Barrett. Bardzo krytyczna wobec jej poglądów kalifornijska senator z ramienia Partii Demokratycznej Dianne Feinstein, chcąc skrytykować niepokorną panią sędzię, wygłosiła głośną frazę: „Kiedy czyta się pani przemowę – dogmatyzm głośno żyje wewnątrz pani". Do słów tych „Montse" się odniosła, gdy prowadząc pro-liferski program w EWTN, kończyła swoje wystąpienia, zaznaczając, że „dogmat głośno we mnie żyje". Ta pośrednia szermierka słowna z lewicową panią senator z Kalifornii rozsławiła Marię Montserrat Alvarado wśród amerykańskich konserwatystów. Hasło „The Dogma lives loudly within me" pojawiło się zarówno na koszulkach EWTN, jak i na okolicznościowych naklejkach.

Ale „Montse" szczyt kariery osiągnęła dzięki programom na żywo w stacji EWTN. Ten amerykański fenomen przypominający znów karierę polskiego Radia Maryja to dzieło matki Angeliki z amerykańskiego Zgromadzenia Klarysek od Wieczystej Adoracji. Pod zakonnym imieniem matki Angeliki kryła się skromna Amerykanka włoskiego pochodzenia Rita Rizzo, córka ubogich włoskich emigrantów z Canton w stanie Ohio. Kiedyś przypadkowo została zaproszona do jednej z protestanckich telewizji i widok sprawnie zarządzanej stacji uświadomił jej, jak ważną rolę telewizja może odgrywać w powszechnej ewangelizacji. Siostra zaczęła od „telewizji garażowej", która rozpoczęła swoje nadawanie 15 sierpnia 1981 r. Był to strzał w dziesiątkę, bo program potrafił naprawdę wciągać. EWTN szybko zaczęła rozbudowywać się, obejmując całą Amerykę.

W 2021 r. do stacji s. Angeliki przyszła „Montse" jako dyrektor operacyjny nadzorujący pracę redakcji i paru internetowych platform informacyjnych – m.in. Catholic News Agency i National Catholic Register. Nie była to bynajmniej osoba chwiejna lub nieśmiała. W amerykańskim biznesie medialnym szybko zauważono, że ma mocny charakter i że lubi, a na dostatek wie, jak rządzić wielką korporacją medialną. Z tego powodu niektórzy widzieli w niej naturalnego następcę obecnego szefa EWTN Michaela Warsawa.

DROGA DO STOLICY APOSTOLSKIEJ

Jednocześnie do rosnącej popularności medialnej „Montse" zyskała zaufanie i poparcie wielu kardynałów, arcybiskupów oraz biskupów ze skrzydła konserwatywnego Kościoła w USA. Bardzo dobrze oceniano jej wsparcie dla inicjatyw episkopatu USA w dziedzinie obrony praw ludzi wierzących. Na dodatek Maria Montserrat Alvarado zaangażowała się też w działania na rzecz ochrony ludzi w podeszłym wieku, którzy pragnęli pełnego zabezpieczenia prawnego przed narastającym w amerykańskich szpitalach trendem do akceptacji eutanazji lub wspomaganego samobójstwa. Ale im bardziej EWTN rosła w siłę na rynku amerykańskim i prezentowała swój konserwatyzm, tym bardziej budziła ona irytację skrzydła liberalnego w katolickim episkopacie USA.

Nie było zatem też przypadkiem, że jezuicki magazyn „America" przytoczył cytat z rozmowy papieża Franciszka ze słowackimi jezuitami. W jej trakcie padło znamienne zdanie, które odnoszono do EWTN. Franciszek mówił: „Jest np. duży kanał telewizji katolickiej, który nie waha się, by ciągle mówić źle o papieżu. Ja osobiście zasługuję na ataki i despekty, ponieważ jestem grzesznikiem, ale Kościół nie zasługuje. Są to dzieła szatana". Uwaga papieża Franciszka była kojarzona z programami w EWTN prowadzonymi przez konserwatywnego publicystę Raymonda Arroyo. Faktycznie skrytykował on część działań papieża Franciszka, ale jednocześnie, jak zaznaczała „Montse", żadna inna amerykańska telewizja nie transmitowała niemal wszystkich publicznych wystąpień Franciszka. To wszystko tworzy obecnie kontekst dla oceny nominacji Marii Montserrat Alvarado na wysokie stanowisko watykańskie. Dlaczego nowy papież podszedł do ambitnej Meksykanki w zupełnie inny sposób w stosunku do tego, jak jego poprzednik reagował na stację EWTN w Ameryce?

Jeden z polskich księży posługujących w Watykanie komentuje to tak: „Wiele wskazuje, że Franciszek nie oglądał EWTN, tylko otrzymał informacje, że go atakuje. Nie była to prawda, ale w atmosferze epoki franciszkańskiej takie opinie bardzo często przekazywali pontifexowi hierarchowie z lewego skrzydła episkopatu USA. Papież Leon jako Amerykanin, nawet posługując w Peru, zapewne znał telewizję siostry Angeliki od czasu jej powstania w 1981 r. EWTN to telewizja amerykańskiego katolickiego mainsteramu. Siłą rzeczy musiał wiedzieć o niej znacznie więcej niż jego poprzednik".

Papież Leon XIV zwrócił uwagę na „Montse" przy okazji telemostu między Stolicą Apostolską a Narodową Konwencją Młodzieży Katolickiej, która odbyła się w amerykańskim Minneapolis w dniach 20–22 listopada 2025 r. Wtedy to miało dojść do rozmowy nowego papieża z szefową EWTN, w trakcie której Leon skomplementował Meksykankę za wyjątkową pieczołowitość w przedstawianiu jego nauk. W odpowiedzi usłyszał słowa: „Musimy być skrupulatni, bo żadne słowo Ojca Świętego nie może upaść na ziemię". Papież miał gorąco podziękować za tę rzetelność, gorzko zaznaczając, że wiele innych mediów bardzo często przekręca jego słowa.

Nominacja Alvarado to ważny znak dla tych, którzy myśleli, że wybór kard. Roberta Prevosta na Stolicę Piotrową będzie mechanicznym przedłużeniem linii papieża Franciszka. Leon XIV, jak widać, gra skrzydłami i wybór akurat tak konserwatywnej aktywistki katolickiej jest swego rodzaju demonstracją.

W Polsce nominacja nowej pani prefekt to dobra wiadomość dla polskiej sekcji EWTN, której audycje obecne są w Internecie oraz w ok. 60 sieciach kablowych na terenie całej Polski. Polską EWTN ogląda do 50 tys. widzów i stacja szybko się rozwija. Do jesieni ma być gotowe warszawskie studio stacji, a wśród jej twarzy jest np. była korespondentka TVP w Watykanie Magdalena Wolińska-Riedi.

„Montse" aktualnie wdraża się do nowej funkcji przy asyście swego, również świeckiego, poprzednika na stanowisku, Włocha Paola Ruffiniego, który piastował to stanowisko od czerwca 2018 r. i osiągnął niedawno wiek emerytalny. Sama Maria Montserrat Alvarado obejmie swoje stanowisko 1 listopada 2026 r. Trzynaście dni później będzie obchodzić swoje 40. urodziny. Zapowiada się długa posługa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

Bułgarska lekcja





Jacek Przybylski

Zaledwie w ciągu sześciu miesięcy po przyjęciu euro Bułgaria wpadła w solidne tarapaty. Bułgarzy płaczą na widok rosnących cen, bo inflacja w ich kraju była w maju najwyższa w całej unii walutowej. Dodatkowo Bruksela zdecydowała właśnie, że nie puści Sofii płazem skokowego wzrostu deficytu budżetowego

Tego jeszcze w historii Unii Europejskiej nie było. 1 stycznia 2026 r. – mimo sprzeciwu mniej więcej połowy mieszkańców – Bułgaria z hukiem porzuciła narodową walutę i przy dźwięku fanfar wprowadziła unijną walutę. Teoretycznie dołączenie do unii walutowej to synonim stabilności gospodarczej i finansowej, ponieważ dany kraj musi spełniać określone warunki nazywane „kryteriami konwergencji".

Zaledwie kilka miesięcy później kraj ten przestał jednak spełniać kryteria wejścia do strefy euro. Dokładnie 3 czerwca 2026 r. Komisja Europejska wszczęła zaś procedurę postępowania dyscyplinarnego przeciwko Bułgarii. Powód? Deficyt budżetowy, który od stycznia wystrzelił w górę i znacząco przekracza już limity wyraźnie określone w unijnych zasadach fiskalnych.

Zgodnie z regułami, mającymi na celu zapewnienie dyscypliny budżetowej w krajach UE, dług publiczny nie powinien przekraczać 60 proc. PKB, a deficyt budżetowy nie może przekraczać 3 proc. PKB. Tymczasem w swoim najnowszym raporcie dotyczącym Bułgarii, opublikowanym w maju obecnego roku, Komisja Europejska szacuje, że deficyt budżetowy Bułgarii w 2026 r. wyniesie 4,1 proc. PKB, a w roku 2027 aż 4,3 proc. PKB. A to i tak optymistyczna prognoza. – W tym roku deficyt będzie jeszcze wyższy. Bańka pękła – mówił nowy premier Bułgarii i były prezydent tego kraju Rumen Radew, podkreślając, że fatalny stan finansów publicznych odziedziczył po swych poprzednikach. Radew publicznie oskarżył także poprzedni rząd o takie manipulowanie danymi fiskalnymi, które umożliwiłoby Bułgarii spełnienie tzw. kryteriów konwergencji i porzucenie krajowej waluty.

Również bułgarski wicepremier i minister finansów Gyłyb Donew nawet nie próbuje mydlić oczu brukselskim urzędnikom i międzynarodowym inwestorom. Jego zdaniem tylko w obecnym roku deficyt budżetowy wzrośnie prawdopodobnie do poziomu 7,4 proc. PKB. Donew jest przy tym w pełni świadom, że taki deficyt z automatu oznacza podjęcie działań dyscyplinujących przez unijnych urzędników. Państwa, które nie przestrzegają unijnych zasad fiskalnych, są bowiem obejmowane procedurą nadmiernego deficytu. Kraje członkowskie otrzymują wówczas zestawy rekomendowanych przez Komisję Europejską środków zaradczych, które mają na celu przywrócenie dyscypliny fiskalnej. Zmiany powinno się wprowadzać w konkretnych terminach. Jeśli politycy danego kraju zwlekają z bolesnymi reformami, to Unia Europejska może wystosować stosowne ostrzeżenie, a w przypadku członków strefy euro ukarać krnąbrne rządy karą finansową w wysokości do 0,05 proc. wartości PKB za poprzedni rok.

CIĘCIA, CIĘCIA, CIĘCIA

Co takiego stało się w Bułgarii, że deficyt budżetowy wystrzelił niczym

eprasa.pl ef045d2c96



FOT. ADOBE STOCK

z procy? Główną przyczyną jest ciągnący się od lat kryzys polityczny. Trudności w wyłonieniu trwałej koalicji sprawiły, że w ciągu ostatnich pięciu lat Bułgarzy aż ośmiokrotnie (!) szli do urn, by wybierać członków Zgromadzenia Narodowego (trzy razy w 2021 r., w 2022 r., w 2023 r., w 2024 r. i w 2026 r.).

Zacięta walka o wyborców skłoniła polityków do ciągłego podnoszenia wynagrodzeń w sektorze publicznym oraz świadczeń społecznych. Efekt: Bułgaria wciąż nie ma budżetu na rok 2026, bo projekt przedstawiony w grudniu 2025 r. wywołał masowe protesty, które doprowadziły do upadku ówczesnego rządu Rosena Żelazkowa (który i tak przeszedł do współczesnej historii tego kraju jako gabinet, któremu udało się sprawować rządy dłużej niż rok). W kwietniu b.r. wybory – przy stosunkowo wysokiej frekwencji – zdecydowanie wygrał konserwatywno-socjalny blok Postępowa Bułgaria. To może być przełom, ponieważ jest to pierwsza koalicja mogąca się pochwalić samodzielną większością. Jej nadrzędnym celem jest „demontaż modelu oligarchiczno-korupcyjnego".

Przy obecnych problemach gospodarczych może to być trudne zadanie. Wróćmy jednak do pytania, jak to możliwe, że mimo problemów politycznych i szalonego rozdawnictwa władzom w Sofii udawało się przez pięć kolejnych lat trzymać deficyt w ryzach, aby wejść do strefy euro. Była minister finansów Temenużka Petkowa zapewnia, że w 2025 r. było to możliwe dzięki unijnej klauzuli elastyczności w wydatkach na obronę. Obecny minister finansów Głyb Donew tłumaczył zaś na początku czerwca, że ostatni rząd zmniejszał deficyt m.in. poprzez odraczanie niektórych płatności. Skomplikowane fiskalne manewry nie ograniczały się w ubiegłym roku jedynie do oddalania wydatków. Jak zauważył prof. Szterio Nożarow, ekonomista i wykładowca Uniwersytetu Gospodarki Narodowej i Światowej (UNWE) – cytowany przez portal Economic.bg – aby w roku 2025 nie pokazać niebezpiecznie wysokiego deficytu, ówczesny bułgarski rząd pobrał od banków ok. 250 mln euro zaliczki na podatek. Do budżetu szybciej wpływały też dywidendy z państwowych przedsiębiorstw. Zdaniem ekonomisty jedna ze sztuczek fiskalnych polegała na zaciąganiu zagranicznych pożyczek na „dokapitalizowanie publicznych firm", a następnie wypłacaniu tych pieniędzy w formie dywidendy zwiększającej wysokości przychodów budżetowych. Profesor Nożarow oszacował, że łączna kwota uzyskanych za pomocą różnych „zabiegów" mogła wynieść łącznie nawet 900 mln euro.

Gdyby te pieniądze nie zostały uwzględnione w fiskalnych rozrachunkach za 2025 r., to już w ubiegłym roku Bułgaria nie spełniałaby warunków wejścia do strefy euro. Zresztą prawda jest taka, że już w zeszłym roku bułgarski deficyt budżetowy na zasadzie memoriałowej wynosił 3,5 proc. Władze w Sofii nie powinny więc były dostać zielonego światła na przyjęcie wspólnej waluty. Innymi słowy: Bułgaria nie powinna stać się 21 członkiem strefy euro. Taka decyzja byłaby jednak niekorzystna zarówno dla ówcześnie rządzących w Sofii, jak i dla eurokratów w Brukseli czy polityków w Berlinie czy Paryżu. „Euro jest silnym symbolem tego, co Europa może osiągnąć, gdy działamy razem, a także wspólnych wartości i zbiorowej siły, które możemy wykorzystać, aby stawić czoła globalnej niepewności geopolitycznej, z którą mierzymy się obecnie" – mówiła na przełomie roku szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde.

Nowy minister finansów zapowiedział już, że rząd nie będzie czekał z podjęciem działań na wytyczne UE

Po kilku miesiącach od przyjęcia wspólnej waluty – za czym według sondaży było zaledwie 40 proc. ankietowanych Bułgarów – czoła niepewności musi stawić nowy bułgarski rząd. Zresztą już obalony w grudniu premier Rosen Żelazkow przyznawał na przełomie roku – cytowany przez „Financial Times" – że bułgarskie wskaźniki gospodarcze nie mają nic wspólnego z kryteriami obowiązującymi w krajach strefy euro. Kazał jednak zwracać uwagę na „długotrwale pozytywny" wpływ wprowadzenia euro na gospodarkę.

DROŻYZNA I ŹLI „SPEKULANCI"

A skoro różnego rodzaju księgowe tricki dawnych rządzących wychodzą na światło dzienne, to aby sprostać aktualnym wymogom Brukseli, władze w Sofii będą zapewne zmuszone ogłosić mocne zaciskanie pasa. Minister finansów Głyb Donew zapowiedział już, że nowy rząd nie będzie czekał z podjęciem działań na surowe wytyczne z Brukseli. Ostrzegł, że zmniejszenie deficytu do poziomu poniżej 3 proc. PKB wymagać będzie cięcia publicznych wydatków. – Przyjmiemy odpowiedzialną politykę ograniczania wydatków rządowych w rozsądnych granicach – uspokajał polityk.

Tradycyjnie te słowa oznaczałyby m.in. zamrożenie podwyżek płac pra-

eprasa.pl ef045d2c96

cownikom strefy budżetowej. W napiętej sytuacji politycznej w Bułgarii takie decyzje mogą jednak wywołać protesty. Z kolei wybuch niepokojów społecznych może doprowadzić do zgrzytów w rządzącej koalicji, a być może nawet do upadku rządu.

Jednocześnie brak stanowczych działań oznaczałby, że poza sankcjami finansowymi ze strony Unii Europejskiej pogrążonym w długach Bułgarom groziłyby surowe kary od międzynarodowych inwestorów. Szkody wizerunkowe prowadzą bowiem do niższej oceny kredytowej, a ona z kolei do coraz kosztowniejszej obsługi krajowego zadłużenia. Już teraz mówi się, że wysoki deficyt budżetowy zagraża członkostwu Bułgarii w Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD).

Zamrożenie podwyżek w najbiedniejszym kraju Unii Europejskiej może być szczególnie bolesne w sytuacji, gdy władze bułgarskie nie potrafią poradzić sobie z coraz wyższym tempem wzrostu cen. Jeszcze w lutym 2026 r. dziennikarze w różnych krajach Europy, w tym w Polsce, pisali, że „obaw o drożyznę nie potwierdzają dane", a twierdzenia związkowców o szybko drożejącym chlebie wszem wobec wyśmiewano nie tylko na łamach „Gazety Wyborczej".

Niestety, po sześciu miesiącach widać już bardzo wyraźnie, że obawy przeciwników wejścia do strefy euro mogły być w pewnym stopniu uzasadnione, za to pozytywy wejścia do strefy euro wydają się na razie mocno wyolbrzymione. Jeszcze w styczniu 2026 r. inflacja w Bułgarii wynosiła 3,5 proc. w skali roku (czyli tyle samo, co w Polsce). W marcu wynosiła 4,1 proc., a w kwietniu już 6,8 proc. (już wówczas było to najwyższe tempo wzrostu cen rok do roku od sierpnia 2023 r. wśród krajów strefy euro).

Inflacja w maju znów osiągnęła najwyższy poziom w strefie euro, liczącej już 21 państw. Według bułgarskich statystyków aż 7 proc. (według Eurostatu tempo wzrostu cen w Bułgarii wyniosło 6,3 proc.). Ceny pomidorów wzrosły w ciągu roku o 28,8 proc., papryki o 24,8 proc., a kapusty o 18,3 proc.

Oczywiście to nie tylko efekt wejścia do strefy euro, lecz także politycznego rozdawnictwa, które wywindowało płace wysoko ponad poziom odpowiedniej do nich produktywności. Własna waluta i niezależny bank centralny bez wątpienia ułatwiają jednak podejmowanie działań korzystnych dla własnej gospodarki, w tym walkę z inflacją.

W pierwszym publicznym wystąpieniu w charakterze nowego szefa rządu Rumen Radew podkreślał, że jego rząd nie zamierza co prawda wprowadzać cen urzędowych, ale wykorzystać do walki z inflacją „wszystkie narzędzia gospodarki rynkowej". Nowe władze w Sofii zapowiedziały więc ściślejszy nadzór nad sprzedawcami detalicznymi, wprowadzenie wskaźnika „uczciwych cen" i surowsze sankcje za nieuzasadnione podwyżki cen. Nowy rząd wzmocnił jednocześnie uprawnienia Krajowej Komisji Antymonopolowej oraz rozszerzył listę zakazanych nieuczciwych praktyk handlowych z 13 do 33. Przewidziane w ustawie kary dla „spekulantów" wahają się od 1 tys. do 10 tys. euro dla osób indywidualnych oraz od 10 tys. do 100 tys. euro dla przedsiębiorców.

Inflacja w Bułgarii jest najwyższa wśród 21 krajów strefy euro. To efekt rezygnacji z lewa oraz błędów polityków

Niestety, wysoki deficyt i szybko rosnące ceny to jeszcze nie koniec bułgarskich problemów. Bułgarska Rada Fiskalna ostrzegła pod koniec kwietnia, że w najgorszym scenariuszu inflacji i zadłużeniu towarzyszyć będzie hamowanie wzrostu gospodarczego, wynikające m.in. z zaostrzającej się sytuacji na Bliskim Wschodzie i towarzyszących jej podwyżek cen surowców energetycznych.

BUŁGARIA A SPRAWA POLSKA

Nieodpowiedzialne zachowanie rządzących to cecha nie tylko bułgarskich polityków i publicystów. Z tego powodu procedurą nadmiernego deficytu kilkukrotnie objęta była również Polska. Szybko rosnące zadłużenie i koszmarnie wysoki deficyt budżetowy to efekt skrajnie nieodpowiedzialnej polityki kolejnych rządów, rozrzutnie szastających pieniędzmi podatników i wprowadzających kolejne systemy bezmyślnego rozdawnictwa („800+", „babciowe" etc.).

We wrześniu 2025 r. Komisja Europejska zdecydowała się jednak ograniczyć konsekwencje z niej wynikające. I zrobiła to, mimo że rząd w Warszawie nie spełnił najważniejszego warunku wyjścia z procedury, którym jest obniżenie deficytu budżetowego do 3 proc. PKB. Bruksela uznała bowiem niespodziewanie, że liczy się już ograniczanie wydatków netto, a nie sam deficyt. Złośliwi mogliby podejrzewać, że stanowisko Komisji Europejskiej zależy od tego, kto akurat rządzi w danym kraju. Niezależnie od wielkiej polityki Polska ma szanse uniknąć unijnych kar – rząd Donalda Tuska zyskał bowiem więcej czasu na wprowadzenie działań zaradczych, zanim Rada UE nałoży na nas sankcje. To nie znaczy jednak, że rząd w Warszawie (a w konsekwencji polski podatnik) może uniknąć wszelkich kar. Wysoki deficyt pozostaje wysokim deficytem. A rynki i tak wiedzą swoje. Inwestorzy doskonale zdają więc sobie sprawę z tego, że jeśli obecny rząd Donalda Tuska nadal będzie w tak szalonym tempie zadłużał Polskę, to doprowadzi do poważnego kryzysu finansów publicznych. Ten zaś może uderzyć w system bankowy i doprowadzić do gwałtownego załamania wartości złotego. Efekt? Od kilku miesięcy rynki wymagają od polskiego ministra finansów coraz wyższych rentowności od sprzedawanych przez polski rząd obligacji. Szybko rośnie zatem nie tylko samo zadłużenie, lecz także koszt jego obsługi.

Na szczęście zarówno wśród rządzących, jak i wśród polityków opozycji nie ma obecnie zbyt wielu zwolenników porzucenia złotego. Gorzej jest z wiedzą o mechanizmach polityki pieniężnej u publicystów. „Myśląc o przyszłości Polski i wspólnej walucie nad Wisłą trzeba z uwagą przyglądać się temu, co się dzieje u naszych braci z południa" – pisał 2 stycznia 2026 r. redaktor naczelny „Rzeczpospolitej". „Nie można zapomnieć o euro. Bo Unia to też euro. Zarazem przepustka do lepszego świata. Świata polskich aspiracji. Nie można z tego zrezygnować" – przekonywał Bogusław Chrabota. Przyglądam się Bułgarii i ja za taką przepustkę na razie podziękuję…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



PROSTO ZYGZAKIEM

Miliard złotych długu dziennie

PIOTR GABRYEL

Tak, tak – to już. Albo… prawie „już". Za sprawą rządzących Polską polityków, dołączyliśmy do niechlubnego grona państw zadłużających się najszybciej na świecie. Dług Polski przyrasta bowiem już o miliard złotych dziennie – o prawie miliard albo o nieco ponad miliard, a to – przyznajmy – nie w kij dmuchał.

Tak czy owak – jak w charakterystycznym dla siebie, czyli nieznoszącym sprzeciwu, stylu rozstrzyga AI – „dług publiczny Polski rośnie w 2026 r. w rekordowym tempie, szacowanym przez część źródeł na ponad miliard złotych dziennie. W lutym 2026 r. zadłużenie osiągnęło najwyższy poziom w historii, przekraczając 2 bln zł, przy czym prognozy wskazują na dalszy, bezprecedensowy wzrost". I w rozwinięciu uzupełniając: „Dane wskazują, że dług sektora instytucji rządowych i samorządowych przyrasta w tempie ok. 940 mln–1,2 mld zł na dobę".

Jeśli więc, jak chce AI w przypadku dolnych widełek, dług przyrasta u nas na razie nieco wolniej niż o 1 mld zł na dobę, to obserwując poczynania polityków rządu i opozycji, można być pewnym, że ten przyrost o cały miliard złotych długu dziennie – albo i więcej – jest w naszym zasięgu.

Z kolei przyjmując, że rząd już teraz zadłuża Polskę na nieco ponad 1 mld zł dziennie, oznaczałoby to, iż każdego dnia zadłuża każdego Polaka – bez względu na jego wiek na ok. 30 zł. Czyli każdy z nas codziennie, tylko z tego jednego powodu, staje się za sprawą rządu uboższy o ok. 30 zł plus koszty odsetek od tej kwoty liczone przez wiele lat, a może i całych dekad – aż do chwili spłacenia tego długu.

A zatem premier Tusk zadłuża dziś Polskę w tempie ok. 1 mld zł dziennie. To dopiero skok w porównaniu z premierem Morawieckim, który pod koniec swoich rządów zadłużał Polskę w tempie nieco ponad 300 mln zł dziennie. Choć warto pamiętać, że znaczna część (większość?) sztywnych wydatków (głównie socjalnych), na które idą pieniądze z zaciąganych wciąż nowych długów, narzucona została budżetowi Polski właśnie za czasów i za sprawą rządów Morawieckiego.

A wydatki publiczne nadal rosną w Polsce lawinowo i w relacji do PKB zaprowadziły nas już w UE – z wydatkami na poziomie 50,9 proc. PKB – na niechlubne czwarte miejsce, po niedawnym wyprzedzeniu przez nas Niemiec (50,5 proc. PKB). Przed nami w tym fatalnym rankingu najbardziej rozrzutnych państw UE znajdują się już tylko Włochy (51,2 proc. PKB), Francja (57,2 proc. PKB) i Finlandia (57,5 proc. PKB).

I obawiam się, że dla premierów Tuska i Morawieckiego informacja ta nie brzmi jak przestroga, lecz przeciwnie – jak wyzwanie: Dlaczego by nie wydawać – czyli także zadłużać Polskę – jeszcze szybciej i jeszcze bardziej? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Siódme miejsce w UE

ŁUKASZ WARZECHA

Zaczynają się negocjacje w sprawie kolejnych podwyżek płacy minimalnej. Podwyżek, które mają być oczywiście wyższe, niż wynikałoby to z ustawy o wynagrodzeniu minimalnym z 2002 r., ale niższe – zgodnie z propozycją rządu – niż to, czego życzyło sobie Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, czyli Agnieszka Dziemianowicz-Bąk – osoba całkowicie pozbawiona kompetencji, jeśli idzie o gospodarkę i biznes.

Związki są nie tylko roszczeniowe. Są też ślepe na negatywne ekonomiczne skutki windowania płacy minimalnej

Negocjacje zakończą się prawdopodobnie tak jak zawsze od lat – niczym. Ustawa daje RDS 30 dni na uzgodnienie płacy minimalnej na podstawie rządowej propozycji, a jeśli do takiego uzgodnienia nie dojdzie w tym czasie – rząd robi, co chce poprzez rozporządzenie. I tak dzieje się od lat, ponieważ stanowiska pracodawców i związków zawodowych coraz bardziej się od siebie oddalają. Związki zawodowe są nie tylko roszczeniowe – są też kompletnie ślepe na negatywne ekonomiczne skutki windowania wynagrodzenia minimalnego.

Jednym z nich jest impuls inflacyjny. Niewynikające z rynku podwyższanie wynagrodzeń zmniejsza siłę nabywczą pieniądza, a więc wyższa płaca jest atrakcyjna tylko przez pewien czas, po którym jej wzrost jest konsumowany przez inflację, którą częściowo on sam spowodował. Co staje się powodem, aby domagać się kolejnych podwyżek. Błędne koło.

Jednak jeszcze gorszym, a mniej widocznym skutkiem jest demotywacja do budowania kompetencji, kształcenia się, podnoszenia kwalifikacji. Już dzisiaj pensje ulegają spłaszczeniu, płaca minimalna dogania średnią. W relacji do cen nasz poziom wynagrodzenia minimalnego jest na siódmym miejscu w UE – wyżej niż w Czechach czy Hiszpanii. A ponieważ pracodawcy nie mają nieograniczonych środków, nie są w stanie windować całej siatki płac wraz z pensją minimalną. To oznacza, że kogoś, kto ma wysokie kwalifikacje, coraz mniejsza różnica finansowa dzieli od kogoś niewykwalifikowanego. To fatalne zjawisko, ale rządy – i poprzedni, i obecny – pozostają na nie całkowicie obojętne. A przecież są kraje, gdzie płacy minimalnej nie ma lub też jest negocjowana sektorowo – takie jak Włochy czy Austria. Zatem – da się. Trzeba by tylko pójść na zwarcie ze związkowcami, a ci są w Polsce wciąż traktowani jak święte krowy. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



Z Andrzejem Sadowskim, prezydentem Centrum im. Adama Smitha
rozmawia Jakub Wozinski

Coraz mniej wolności gospodarczej w Polsce



FOT. ADOBE STOCK

JAKUB WOZINSKI: Polska delegacja pojawiła się po raz pierwszy w historii na szczycie G20. Czy to dowód na to, że mamy do czynienia z polskim cudem gospodarczym?

ANDRZEJ SADOWSKI: Polska znajduje się w grupie państw G20 wyłącznie dlatego, że przedsiębiorcy nie bacząc na kolejne ograniczenia dla wolności gospodarczej i pogarszania warunków dla prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce, kontynuowali swoją działalność. Zauważmy, że politycy odpowiadają swoim działaniem za pozycję Polski w Międzynarodowym Rankingu Wolności Gospodarczej Instytutu Frasera, w którym bierze też udział od blisko trzech dekad Centrum im. Adama Smitha. W tymże rankingu konsekwentnie od kilku kadencji rządowych pozycja Polski pod względem wolności gospodarczej cały czas się obniża. Dochodzi do sytuacji, w której nawet w ramach przeregulowanej Unii Europejskiej Polska znajduje się na samym końcu państw Unii Europejskiej pod względem wolności gospodarczej. Bez wątpienia za tą pozycję odpowiadają kolejne rządy, a za pozycję Polski w grupie G20 odpowiadają przedsiębiorcy.

A może jednak wolność gospodarcza po prostu nie jest aż tak bardzo istotna?

Lata temu ekonomiści ze Szkoły Głównej Handlowej wyliczyli, że straty, jakie ponosi polska gospodarka z tytułu niepotrzebnych i szkodliwych regulacji, które gdzie indziej w Unii nie występują, były rzędu ponad 70 mld zł w skali roku. Pytanie, jaką dzisiaj pozycję Polska mogłaby mieć, gdyby nie te wszystkie nieistniejące w innych państwach Unii Europejskiej dodatkowe bariery i przepisy, które kosztują czas i pieniądze.

Taką symulację można dzisiaj łatwo przeprowadzić, pokazując, że przy stosowaniu chociażby zasady „dyrektywa unijna plus zero jakichkolwiek dodatkowych nowych przepisów" mielibyśmy o wiele wyższą pozycję w grupie G20 ze względu na polską pracę, pracowitość i przedsiębiorczość oraz zbudowany dotychczas potencjał.

Czy my aż tak kolosalnie się tutaj różnimy w tym aspekcie pracowitości od naszych sąsiadów?

Można wyjechać do Budapesztu i faktycznie poprawić sobie samopoczucie, oglądając to miasto z perspektywy chociażby Warszawy jako stolicy państwa. Różnica jest zauważalna bez jakiegokolwiek szkła powiększającego, oczywiście na niekorzyść Budapesztu po 16 latach rządów władzy, która właśnie ją straciła. Ale to nie powinna być miara rozstrzygająca dla oceny sytuacji. Jeśli weźmiemy za punkt odniesienia napisaną w roku 2009 przez George'a Friedmana książkę „Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek", w której Polska została przeanalizowana pod kątem potencjałów ekonomicznych, demograficznych i innych, to w ciągu kolejnych dekad miała wszelkie możliwości stać się regionalnym mocarstwem. Prognozy te sprawdziły się jednak nie w przypadku Polski, lecz Turcji, bo państwo to z tamtego okresu było peryferyjne, a dzisiaj jest faktycznym regionalnym mocarstwem, co potwierdza tezę George'a Friedmana, że taka zmiana pozycji politycznej jest możliwa.

Przypomnę fragment wywiadu z jednym z komisarzy Unii Europejskiej przeprowadzonego kilka miesięcy przed referendum akcesyjnym. Kiedy go pytano, dlaczego Polska jest dopuszczona do Unii Europejskiej, powiedział: „Bo macie młode, dynamiczne, dobrze wykształcone społeczeństwo, któremu chce się pracować". Praca i demografia były rozstrzyga-

eprasa.pl ef045d2c96

jące, gdyż jeśli popatrzymy na otwarcie granic po roku 2004 i brak ograniczeń dla zatrudniania naszych obywateli w Wielkiej Brytanii, to z różnych analiz angielskich wynikało, że bez polskiego pracownika wiele branż w tym państwie w najbliższym czasie przestałoby praktycznie istnieć. Plakat, którego polski rząd używał w reklamowaniu naszego państwa na terenie Unii Europejskiej w postaci dobrze wyglądającego hydraulika, nie był przesadą, bo właśnie dzięki napływowi polskiej przedsiębiorczości i pracowitości poprawiła się jakość usług we wszystkich stolicach państw Unii Europejskiej. W Londynie czas podłączenia pralki czy zmywarki skrócił się z kilku tygodni do kilku dni i ceny tej usługi drastycznie spadły dzięki pojawieniu się takich właśnie pracowitych i przedsiębiorczych polskich obywateli.

Czyli płynie z tego taki wniosek, że jesteśmy najwidoczniej tak pracowici, że nawet bez kolejnej ustawy Wilczka jesteśmy w stanie i tak zdziałać wiele, nie mając dobrego prawa i przychylnych instytucji.

Ale jakie ponosimy tego bezsensowne koszty? W ostatnim corocznym raporcie Banku Światowego „Doing Business", oceniającym łatwość prowadzenia działalności gospodarczej w 190 państwach, opublikowanym za rok 2020 i ostatnim, bo od 2021 r. przestał ukazywać się na życzenie niektórych rządów, zamieszczono jedno z zestawień, z których wynika, że przedsiębiorca w Estonii zużywa na przymusowe rozliczanie podatków w ciągu roku 50 godzin, a w Polsce aż 334 godziny rocznie. Oznacza to, że polski przedsiębiorca zamiast zajmować się własną firmą, rodziną, relaksem, musi poświęcać czas na biurokratyczną mitręgę podatkową. Moglibyśmy być w zupełnie innym miejscu, gdyby ten czas nie był przez polskich przedsiębiorców najzwyczajniej marnotrawiony na biurokratyczne poddaństwo, które jest w nadmiarze właśnie w naszym państwie. W przeprowadzonym w ostatnich latach rankingu systemów podatkowych państw OECD Polska klasyfikowała się na przedostatnim miejscu, i to przed wprowadzeniem Polskiego Ładu.

Kto zatem bardziej szkodzi polskiemu systemowi podatkowemu: Warszawa czy Bruksela?

Po pierwsze, nie demonizowałbym Brukseli, bo jednak pamiętajmy, że część poziomu wolności gospodarczej w Polsce, która się ostała, jest wynikiem interwencji Komisji Europejskiej z początku naszej obecności w Unii Europejskiej. To Unii zawdzięczamy chociażby odblokowanie nieba, czyli przewozów lotniczych, oraz likwidację monopolu telekomunikacyjnego w Polsce. Przed wejściem Polski do Unii cena połączenia Warszawa – Waszyngton i Berlin – Waszyngton miała różnicę 2000 proc. za minutę połączenia. Proszę zauważyć, że dzisiaj mamy jeden z bardziej konkurencyjnych rynków telekomunikacyjnych na tle innych państw Unii Europejskiej.

Tej Unii Europejskiej z tamtego okresu już nie ma.

W latach późniejszych oczywiście Unia Europejska czy też działalność Komisji Europejskiej przybrały zupełnie inny charakter. Nasze postulaty od dwóch dekad głosiły, aby przyjąć zasadę Unia plus zero. Niestety, w Polsce każda dyrektywa unijna była wprowadzana przed innymi państwami i zwykle zawierała dodatkowe, nieistniejące w innych państwach obciążenia i przepisy. Stąd nawet, przy tej samej polityce klimatycznej, mamy w Polsce w zależności od momentu badania najwyższe ceny energii elektrycznej.

Unia miała pierwotnie liberalizować wiele przepisów i wspierać konkurencję, a weszła na ścieżkę wiodącą ku centralizacji i ujednolicaniu. Czy pana zdaniem ten walec federalizacyjny i centralizacyjny da się w ogóle jeszcze powstrzymać?

Przypomnę taką obserwację prof. Cyrila Parkinsona, który zauważył, że „ustroje padają nie dlatego, że są złe, okrutne czy niesprawiedliwe; padają, ponieważ bankrutują", i z tą prawidłowością mamy do czynienia w historii od zawsze, łącznie ze spektakularnym bankructwem Związku Sowieckiego i państw należących do jego strefy wpływów. Policje polityczne działały do końca tego systemu i nawet przeżyły ten system, który najzwyczajniej nie był w stanie dalej funkcjonować, bo zbankrutował.

Przykład Grecji pokazuje, że nawet będąc w systemie takim jak UE i jeszcze dodatkowo wzmocnionym przez obecność w unii monetarnej euro, można zbankrutować. Nie ma takiego tworu politycznego czy gospodarczego, niezależnie, jak bardzo byłby zdecentralizowany czy scentralizowany, który w wyniku prowadzonej różnej polityki nie mógłby się sam doprowadzić do bankructwa. Jeszcze w roku 2007, gdy miał miejsce spekulacyjny krach na rynkach finansowych, m.in. banku inwestycyjnego Lehman Brothers, Unia Europejska i USA znajdowały się na porównywalnym poziomie PKB zbliżającym się do 15 bln dol., w roku 2023 PKB Unii było na niewiele wyższym poziomie jak kilkanaście lat temu, a PKB USA przekroczyło 25 bln. Zauważmy, że po roku 2007 Europejski Bank Centralny prowadził wielokrotnie politykę luzowania ilościowego i te biliony euro miały pobudzić do większego rozwoju gospodarki strefy euro.

Okazało się, że nawet luzowanie finansowe nie było w stanie podnieść tych gospodarek, bo to nie luzowanie finansowe jest rozwiązaniem, tylko luzowanie pod względem przepisów. W dużej mierze wskazywał na to tzw. raport Draghiego, który ujawnił poziom wewnętrznych ceł w Unii, przytaczając szacunki MFW, że „wewnętrzne bariery Europy są równoważne taryfie celnej wynoszącej 45 proc. dla produkcji i 110 proc. dla usług. Bariery o tej skali i dotkliwości praktycznie nie istnieją w USA. Stąd pod pretekstem zniesienia tych barier forsowanie centralizacji, której alibi mają dać USA.

Czy dopuszcza pan taką ewentualność, że polexit może być w końcu jedynym rozsądnym rozwiązaniem?

Unii, jaką znamy, zawdzięczamy przede wszystkim aktywności polskiej części ponadnarodowej biurokracji Komisji Europejskiej, która przy każdej dyrektywie dopisuje niepotrzebne oraz czasochłonne i szkodliwe dodatkowe przepisy, których nie ma poza Polską. Nie ma zatem nic zaskakującego w tym, że ze względu na pamięć w Polsce o instytucjonalnym absurdzie, którym był system realnego socjalizmu, pojawiają się hasła o polexicie czy polescape. Jednak deep state każdego państwa powinien mieć gotowe nawet te najmniej prawdopodobne scenariusze. Kiedy państwo greckie było technicznym bankrutem i stanowiło zagrożenie dla całej strefy euro, to w niemieckich mediach pojawiły się informacje, że rząd ma awaryjny plan wyjścia z niej Niemiec i przywrócenia marki. Po 22 latach powinien być przeprowadzony uczciwy bilans korzyści, ale też kosztów naszej obecności w Unii. Podobnie jak powinno się przeprowadzać kompleksowe badania.

eprasa.pl ef045d2c96

Dość powszechne jest wzdraganie się na samą myśl takich badań i stąd niechęć do profilaktyki i życia dalej w nieświadomości, co się w ich organizmie dzieje. Jakakolwiek decyzja wymaga uczciwego bilansu, a on jest potrzebny, żeby podejmować racjonalne decyzje, ale to z kolei wymagałoby, aby polityka była wreszcie oparta na wiedzy.

Proszę zauważyć, że mieliśmy nawet taką kampanię rządową lata temu, gdzie mówiono, że to przedsiębiorcy muszą korzystać z wiedzy i to gospodarka powinna być oparta na wiedzy. Tymczasem w pierwszej kolejności to polityka powinna być oparta na wiedzy. Politycy unikają, jak tylko mogą, podporządkowania się wnioskom płynącym z twardych danych. No bo jak można np. tolerować sytuację, w której Polska ma najgorszą pozycję, jeżeli chodzi o wolność gospodarczą, a to jest element fundamentalny dla polskiego cudu gospodarczego z przełomu lat 80. i 90. wieku XX.

Dlaczego wprowadzono KSeF? Nikt się przecież tego nie domagał.

Nie wiem, bo nawet trudno zidentyfikować korzyści dla rządu, a zwłaszcza te wyborcze. W Polsce nawet cyfryzacja służy rządom do realnego zwiększenia, a nie zmniejszenia ciężarów przedsiębiorcom. W raporcie sprzed dekady Banku Światowego o wdrożeniu cyfryzacji podatku VAT zbadano czas, jaki zajmowało rozliczanie podatków polskiemu i hiszpańskiemu przedsiębiorcy przed cyfryzacją i po niej. W przypadku Hiszpanii nowy system skrócił czas wypełniania obowiązków związanych z podatkiem VAT o 4,5 godziny, do 30,5 godziny, a w Polsce czas wzrósł o 76 godzin, do 172 godzin.

Kto w takim razie jest głównym decydentem, jeśli chodzi o polski system podatkowy?

Od lat twierdzę, że nikt nie narzuca kolejnym ministrom finansów i polskim rządom przyjmowania najgorszych możliwych rozwiązań podatkowych w ramach państw należących do OECD. Nie ma takiej siły, w co wierzę, która by zmuszała rządy w Polsce, by wprowadzać jak najgorsze przepisy i rozwiązania, o czym świadczy niemała emigracja polskich przedsiębiorców do Czech czy na Słowację.

Polskim przedsiębiorcom przy okazji KSeF dokręcana jest śruba, a duże podmioty międzynarodowe mają spokój. W czasach gdy stery nad polskimi finansami sprawował Mateusz Morawiecki, wielkie nadzieje wiązano z tzw. planem Yellen, zakładającym wprowadzenie globalnego, minimalnego podatku CIT. Ostatecznie Donald Trump niemalże w pierwszych dniach swojego urzędowania tę inicjatywę pogrążył. Czy warto polegać na tego rodzaju międzynarodowych porozumieniach podatkowych czy raczej powinniśmy wszystko załatwiać we własnym zakresie?

Propozycje tego typu wskazują na dramatyczną nieznajomość konstrukcji podatku CIT, który w swej istocie czyni cnotą ponoszenie kosztów i tym samym minimalizowanie zobowiązań podatkowych. CIT nagradza zwłaszcza międzynarodowe korporacje, które mogą wybierać sobie miejsce płacenia podatków, stąd polskie państwo stało się dla wielu korporacji centrum ponoszenia kosztów, a zyski płyną w inne miejsca, bo taki mamy system, którego rządy nie chcą zmienić. Chociaż ze względu na indywidualne przywileje podatkowe, które wydają rządy w Polsce, pod pewnymi względami jesteśmy uważani za lepszy raj podatkowy niż Malta czy Cypr, bo w tych państwach te kilka procent trzeba jednak – chcąc nie chcąc – zapłacić. Od lat twierdzę – i słyszę, jak jest to powtarzane – że CIT w Polsce jest podatkiem praktycznie dobrowolnym albo jest karą za nieumiejętność jego niezapłacenia.

Zmiana tego systemu, o czym doskonale wiedzą wszyscy premierzy, a przynajmniej ministrowie finansów, jest prosta i banalna. Ustawa o CIT powinna liczyć dwa artykuły. Pierwszy artykuł powinien przewidywać, że podatek CIT wynosi 1,5 proc., bo tyle wystarczyłoby, aby uzyskać większe wpływy, niż dzisiaj się uzyskuje z 19-procentowej stawki liczonej od przychodu, a punkt drugi powinien likwidować wszelkie koszty uzyskania przychodu. I to jest cała ustawa o CIT. Wszystko to zgodnie z metodą, którą proponował Stefan Kisielewski ostatniemu rządowi komunistycznemu, żeby zlikwidować socjalizm bez likwidacji nazwy.

Rząd francuski zauważył, że CIT w obecnej formie jest fiskalnie bezproduktywny i stąd była inicjatywa wprowadzenia podatku cyfrowego, ale wyłącznie dla amerykańskich korporacji. Jako Centrum im. Adama Smitha dwie dekady przed rządem francuskim proponowaliśmy powszechny podatek przychodowy, ale zamiast CIT, który właśnie się dzisiaj nazywa cyfrowy, od wszystkich, którzy prowadzą większą działalność gospodarczą. Oczywiście nie dla mikro- i małych przedsiębiorstw, bo jest to bez sensu.

Największe polskie partie są głuche na tego typu propozycje, ale polska scena polityczna przebudowuje się bardzo mocno po prawej stronie. Czy obie konfederacje byłyby bardziej skłonne do tego, żeby podążyć w tym kierunku, który pan zaprezentował?

Nasz system podatkowy, który w roku 2004 był w skrócie reklamowany jako likwidacja podatku CIT i PIT, pojawiał się już w kampaniach wyborczych, tyle że później liderzy partii, które weszły do parlamentu, przestawali realizować swoje zobowiązania wyborcze. Obecnie znów widzimy, jak nasz system podatkowy pojawia się na sztandarach kolejnych ugrupowań. Bez komplikacji jest systemem win-win, bo zyskują i rząd, i przedsiębiorcy.

Co z polskim zadłużeniem publicznym? Czy w związku z naszą postępującą coraz szybciej katastrofą demograficzną scenariusz bankructwa staje się coraz bardziej realny?

Zadajmy sobie pytanie: Czy dług publiczny, który nie wiadomo, ile pokoleń będzie musiało spłacać, nie jest demontażem ustroju demokratycznego? Państwo polskie nie prowadzi żadnej wojny, a jego nominalny dług w roku 2025 był ponad dwa razy większy niż Ukrainy. Czy dalsze zadłużanie w jakikolwiek sposób przekłada się na poprawę jakości życia Polaków? Dług publiczny jest de facto dramatyczną wadą konstytucji, która mimo wprowadzenia limitu zadłużenia pozwala na pozbawianie praw wyborczych nienarodzonych pokoleń. Nasze zadłużenie jest ponad miarę możliwości polskiej gospodarki, która w dodatku działa na zaciągniętym przez kolejne rządy hamulcu. Gdyby uwolnić polską gospodarkę od biurokratycznego poddaństwa, to byłaby przynajmniej szansa na to, że moglibyśmy zacząć spłacać zobowiązania, a nie tylko balansować na granicy obsługi odsetek od zadłużenia.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



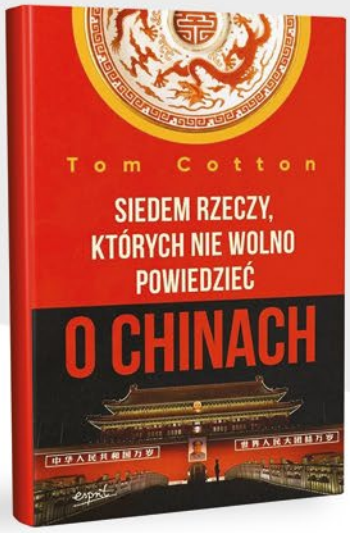
Andrzej Sadowski *– ekonomista, publicysta gospodarczy, prezydent Centrum im. Adama Smitha.*

eprasa.pl ef045d2c96

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ef045d2c96



Maja Chwalińska z talerzem dla wicemistrzyni Roland Garros 2026
FOT. MARCIN CHOLEWINSKI/ZUMA PRESS/FORUM

Wyjście z cienia



Radosław Wojtas

Maja od najmłodszych lat nosiła łatkę „wielkiej nadziei". Pozostawała jednak w cieniu swojej rówieśniczki, prawdziwego diamentu polskiego tenisa – Igi Świątek. Dziś Maja jest na ustach wszystkich. I musi sobie z tą presją poradzić

Poniedziałek 8 czerwca 2026 r., godz. 9.27. Warszawskie Lotnisko Chopina przeżywa oblężenie, którego nie widziano tu od czasów powrotów medalistów olimpijskich. Tłum kibiców, las mikrofonów, błyski fleszy i policja zmuszona do czasowego wstrzymania ruchu na jednym z pasów dolnej strefy przylotów. I nagle z głośników zaczyna płynąć... głos Zbigniewa Wodeckiego śpiewającego piosenkę, która przez lata mocno go zmęczyła, ale którą śpiewał niemal na każdym koncercie, bo komfort publiczności był dla tego wielkiego artysty zawsze ważniejszy niż jego własny.

Wchodząca na to wszystko 24-letnia dziewczyna z Dąbrowy Górniczej, zamiast wyreżyserowanego przez speców od PR uśmiechu, reaguje z rozbrajającą spontanicznością: „Kto puścił tę piosenkę?".

W tym obrazku kryje się fenomen Mai Chwalińskiej. Dziewczyny, która dwa dni wcześniej odebrała talerz dla wicemistrzyni Roland Garros 2026. Sukces bezprecedensowy, niemożliwy z punktu widzenia chłodnych sportowych statystyk. Oto 114. rakieta świata staje się pierwszą w historii tenisistką, która po trzystopniowych kwalifikacji dociera do wielkiego finału singlowego w Paryżu. Przed wyjazdem do Francji Maja Chwalińska nie miała na koncie ani jednego zwycięstwa nad tenisistką z czołowej pięćdziesiątki rankingu WTA. 8 czerwca Polka awansowała o 93 lokaty – ze 114. na najwyższe w karierze 21. miejsce. Osiągnięcie to gwarantuje jej bezpośredni start w turniejach głównych wszystkich imprez wielkoszlemowych oraz turniejów rangi WTA 1000 i 500 przez najbliższy rok. W jej życiu zaszła rewolucja. Także finansowa. Za sam udział w finale Roland Garros 24-latka zarobiła ponad dwukrotność tego, co do tej pory udało jej się zarobić na tenisie.

– Przysłowiowo „kliknęło". Gram w tenisa 18 lat, ciężko pracuję, tak się złożyło, że akurat w tym momencie, i kompletnie na to nie narzekam. To doskonały moment, by wszystko złożyło się w całość – mówiła wicemistrzyni Roland Garros podczas przywitania z kibicami.

ŚLĄSKA SOLIDNOŚĆ

Maja Chwalińska urodziła się 11 października 2001 r. w Miechowie, ale wychowywała się i przez większość życia mieszkała w Dąbrowie Górniczej. Jej ojciec jest już dziś na emeryturze, pracował jako elektryk w kopalni węgla kamiennego. Jej

eprasa.pl ef045d2c96

mama zatrudniona była w dąbrowskim centrum sportu i to tam kilkuletnia Maja stawiała pierwsze kroki na korcie. Tam też spotkała trenera Pawła Kałużę, z którym pracowała nieprzerwanie przez kilkanaście lat. Współpraca zakończyła się dopiero po sezonie 2020 w atmosferze pełnego szacunku. Maja znalazła się wówczas pod opieką czeskiego speca, Jaroslava Machovsky'ego, który prowadzi ją do dziś. „Sześć lat razem sprawiło, że ta relacja przypomina już bardziej stosunek ojca do córki. Jest dla mnie ogromnym wsparciem. Daje mi przede wszystkim spokój ducha" – mówiła tenisistka w jednym z wywiadów.

Maja od najmłodszych lat nosiła łatkę „wielkiej nadziei". Pozostawała jednak w cieniu swojej rówieśniczki, prawdziwego diamentu polskiego tenisa – Igi Świątek. Dziewczyny od 10. roku życia dzieliły korty, hotele i młodzieńcze marzenia, tworząc zgrany debel. Złote medale mistrzostw Europy kadetek w grze podwójnej (2015 i 2016) były tylko preludium. Kamieniem milowym okazał się rok 2016 i triumf w Junior Fed Cup w Budapeszcie. W finale Polki odprawiły z kwitkiem faworyzowane Amerykanki, a w decydującym deblu Chwalińska ze Świątek dosłownie rozbiły parę Claire Liu/Caty McNally 6:4, 6:0. Kilka miesięcy później, w styczniu 2017 r., grały już w finale juniorskiego Australian Open, ulegając po walce kanadyjskiemu duetowi z Biancą Andreescu w składzie.

Potem jednak drogi przyjaciółek się rozeszły. Iga wystrzeliła w kosmos, wygrywając Roland Garros 2020 i rozpoczynając swoją erę dominacji. Maja utknęła w rzeczywistości turniejów ITF, kontuzji i zamrożonego przez pandemię rankingu. Obserwowanie rakietowego wzlotu przyjaciółki, choć podszyte autentyczną dumą, musiało być dla młodej Dąbrowianki też obciążeniem psychicznym. Trudno uciec od porównań: „Ona jest tam, wygrywa Wielkie Szlemy. A gdzie jestem ja?".

TRUDNE CHWILE

Jej kariera toczyła się różnie. Obiecujące przebłyski, jak ten z sierpnia 2019 r., gdy wygrała 15 meczów z rzędu i wbiła się do pierwszej dwusetki światowego rankingu, były natychmiast kontrowane przez problemy zdrowotne. Ich kulminacja nastąpiła na przełomie lat 2020 i 2021. To wtedy Maja musiała się zmierzyć z najtrudniejszą i najbardziej podstępną przeciwniczką, jaką można sobie wyobrazić – depresją. Po przegranej w pierwszej rundzie kwalifikacji do Wimbledonu w 2021 r. z Clarą Burel Polka podjęła trudną decyzję o zawieszeniu kariery.

„Doszłam do takiego punktu, w którym nie jestem już w stanie zmusić się do trenowania [...]. Miałam nawet problem z tym, by wstać z łóżka. Zawsze bardzo dużo trenowałam i czułam, że i tak robię za mało; byłam cały czas przemęczona. W pewnym momencie przez brak wiary w siebie i niską samoocenę nie potrafiłam wyjść z domu [...]. Byłam bez życia" – mówiła w wywiadach.

„Doszłam do takiego punktu, w którym nie jestem już w stanie zmusić się do trenowania. Miałam nawet problem z tym, by wstać z łóżka" – tak przed kilkoma laty mówiła w jednym z wywiadów Maja Chwalińska, która po walce z depresją wróciła na kort silniejsza

Współczesny sport zawodowy rzadko wybacza chwile słabości. Presja każe zawodnikom być gladiatorami z tytanu, którzy nie płaczą, tylko realizują plany treningowe. Chwalińska wpadła w pułapkę utożsamiania własnego człowieczeństwa z wynikami na korcie. „Wszystko jest w porządku, gdy wygrywasz. Ale jeśli przegrywasz, a tenis to całe twoje życie, to myślisz, że jesteś beznadziejny jako człowiek" – opowiadała BBC.

Kilkumiesięczny odpoczynek od rakiety pomógł, a Maja wróciła na kort silniejsza. Historia jej życia zapisana jest na jej ciele – w postaci kilku tatuaży, które (jak wszystko, co dotyczy tej zawodniczki z dalekiego miejsca w rankingu, która stała się taką niespodzianką w Paryżu) wzbudziły zainteresowanie mediów. BBC poświęciło im nawet osobny artykuł, zauważając, że skóra Polki to intymny pamiętnik jej powrotu ze sportowego niebytu.

„Zachowam to dla siebie. Możecie sami dopowiedzieć sobie własne historie" – odpowiedziała pytana przez dziennikarzy o napis „free" (wolna), wytatuowany na lewej dłoni. Na przedramieniu nosi napis „courage" (odwaga), a na nadgarstku – kwiat.

WIELKIE ZASKOCZENIE I JESZCZE WIĘKSZE NADZIEJE

Powiedzieć, że dojściem do finału Roland Garros Maja Chwalińska sprawiła kibicom niespodziankę, to nic nie powiedzieć. To była prawdziwa sensacja. Eksperci zachwycali się jej stylem, tak odmiennym od skutecznego siłowego współczesnego tenisa. Przeciwniczki stające naprzeciw zawodniczki, której nikt nie brał na poważnie pod uwagę jako faworytki, nie wiedziały, jak przeciwko niej grać. Aż do finału, kiedy to jej rywalka była solidnie przygotowana na finezyjne zagrywki Polki.

Nieeksperci zachwycali się szczerością, skromnością i prostolinijnością Mai. Jak wtedy, gdy na konferencji prasowej przyznała wprost, że nie ma żadnych sponsorów. Albo wtedy, gdy po raz pierwszy wyszła na kort centralny im. Philippe'a Chatriera i wyciągnęła telefon nie po to, żeby wrzucić rolkę na Instagrama (Maja podczas turnieju zafundowała sobie detoks od mediów społecznościowych), ale po to, by zrobić pamiątkowe zdjęcie tablicy poświęconej Rafaelowi Nadalowi, jej idolowi.

Media pisały o wszystkim, na siłę próbowały wymyślić coś oryginalnego, byle tylko zebrać kolejne kliknięcia. Mój faworyt, artykuł pt. „W takich warunkach mieszka Chwalińska. »Tylko na takie było ją stać«", pochylał się nad losem sportsmenki, która „ma małe mieszkanie". Dziennikarze wyliczyli, że w całej karierze Maja Chwalińska zarobiła ok. 864 tys. dol., z czego lwią część pochłonęły koszty związane z treningami, dojazdami, zakwaterowaniem etc. Zresztą nawet na ostatnim turnieju w miarę awansów do kolejnych rund konieczność opłacenia kolejnych dób za hotel była kłopotliwa.

Akurat ten problem Maja ma już z głowy. Z Paryża wróciła z premią w wysokości ponad 1,6 mln dol. i sponsorami. Ale także z wielkim bagażem oczekiwań. Obyśmy jej jako kibice tym ciężarem nie przygnietli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96



Joanna Bojańczyk

Korty tenisowe ogarnia nowy trend: „court couture". Chodzi o to, żeby zabłysnąć strojem niekojarzącym się z tenisem



Na Roland Garros popis ekstrawagancji, dość osobliwy, dała japońska tenisistka Naomi Osaka. Wkroczyła na kort w swoistej zbroi

FOT. THOMAS SAMSON/AFP/EAST NEWS

Rewia na korcie

Dlaczego pani nie nosi markowych ubrań – zapytał dziennikarz Maję Chwalińską. Było to jeszcze przed finałowym meczem z Mirrą Andriejewą. Maja grała w cytrynowożółtej koszulce, nieobklejonej znakami firm sporowych.

– Nie noszę, bo nie mam sponsorów – odpowiedziała Maja z właściwą sobie prostolinijnością.

Wszystko zmieniło się po finale. Trener Mai powiedział, że zostali zasypani propozycjami, a sama bohaterka wychodziła z kortów Roland Garros ubrana w bluzę Oshee, tej samej marki, którą promuje Iga Świątek.

Trwają wielkoszlemowe turnieje, więc jako (byłą) zapaloną tenisistkę trudno mnie odkleić od kanału sportowego. Paryż, Nowy Jork, Strasbourg, Madryt, Londyn... Mogę godzinami oglądać mecze, zwłaszcza damskiego tenisa, chociaż pod względem jakości gry jest on słabszy niż męski. Za to rewia na korcie wynagradza wszystko.

Co faceci mogą zaoferować w tej sprawie? Spodenki, koszulkę i tatuaż – mało ciekawe, chociaż i tu przesyłane są zaszyfrowane komunikaty – kto się zna, ten odbierze, co trzeba. Gdy kamerzysta puszcza zbliżenie na buty lub logo koszulki, fani wiedzą, o co chodzi.

Dziewczyny to co innego. Jest się na co pogapić: nogi, włosy, spódniczka, a zwłaszcza w momentach, kiedy w dramatycznych pogoniach za piłką odsłaniają się gatki, zazwyczaj dobrane do spódniczki. Bez żadnych podtekstów zawsze się na to gapię.

W domowych archiwach mam zdjęcie babci Zuzanny i jej dwóch sióstr. Rok może 1914, coś koło tego, w każdym razie jeszcze suknie są długie, więc dzieje się to przed pierwszą wojną. Panny zeszły właśnie z kortu, w rękach dzierżą rakiety. Czy była to gra na serio czy tylko dziewczyny chciały się pochwalić, jak ładnie wyglądają w białych spódnicach i bluzkach z haftem? Pozują z rakietami, gadżetem niewątpliwie ponadstandardowym w tamtych czasach. Na widok tego stroju oraz drewnianych rakiet dzisiejszy tenisista, nawet amator, by się zaśmiał. Jak one mogły w tym się poruszać?

A jak mogła grać Aryna Sabalenka (przeciw Hiszpance Jessice Bouzas Maneiro) w tegorocznym Roland Garros, mając na sobie dwa solidnej wagi naszyjniki, kolczyki oraz złoty zegarek? Jest oczywiste, że bez biżuterii, zwłaszcza w upalny dzień, byłoby przyjemniej, ale jak się przyjęło prezent wart 75 tys. dol. i podpisało zobowiązanie, żeby go pokazać, trzeba się pomęczyć. Zegarek Audemars Piguet dopełniał biżuteryjnej oprawy.

Doceniam grę Sabalenki, ale irytują mnie krzyki na korcie i arogancka postawa. Trudno mi też zapomnieć epizod sprzed bodajże dwóch lat, kiedy z kilkoma kolegami w ordynarny sposób wyśmiewała się z turnieju, w którym nie udało jej się wygrać. Myśleli, że nikt ich nie widzi, ale nagranie trafiło do sieci. Mam wrażenie, że przez wszystkie zachowania Białorusinki fani tenisa mają podobny do mojego stosunek do niej. Komentarze w Internecie nie pozostawiają złudzeń.

Cóż, białoruskie wychowanie...

Na konferencji prasowej zapytano Sabalenkę, czy to nie hipokryzja, gdy apeluje ona o więcej pieniędzy na nagrody, a jednocześnie przyjmuje brylantowe naszyjniki.

– Widzę to inaczej – odpowiedziała Sabalenka ze swoim niezmąconym spokojem

eprasa.pl ef045d2c96

i pewną siebie miną. – Ja walczę o pieniądze nie dla siebie, ale dla zawodników niższych ode mnie w rankingu.

KABARET CZY TENIS

Jeszcze nie tak dawno za królową mody tenisowej niektórzy, zwłaszcza amerykańscy dziennikarze, chcieli uznać Serenę Williams. Osobliwy wybór zawodniczki, która np. w 2018 r. pojawiła się na korcie w dopasowanym czarnym kombinezonie z neonoworóżowym paskiem. Strój przypominający bardziej kabaret całkowicie zakrywający nogi (podobno aby poprawić krążenie krwi) nie zyskał aprobaty ani publiczności, ani Francuskiej Federacji Tenisowej, która zakazała noszenia na korcie tego typu przebrań.

Jeśli chodzi o wyczucie stylu i słabość do krzykliwych kreacji, to Venus Williams niewiele się różni od siostry. Na meczu z 2010 r. miała na sobie jedną ze swoich najodważniejszych kreacji: czarną sukienkę na ramiączkach, bardzo krótką, marszczoną, z gorsetem z czerwonymi akcentami. Do spektaklu go-go by się to nadawało. Szczegółem, który wywołał skandal, stały się cieliste szorty; kibice stojący dalej mogli sądzić, że zawodniczka nie ma niczego pod spódnicą. Widzów, zwłaszcza męskich, ta tania prowokacja zapewne kręciła – media zacierały ręce. Dla pewnego rodzaju odbiorców była to z pewnością doskonała reklama marki odzieżowej EleVen by Venus...

Nie powiem, żebym zachwycała się strojem Igi Świątek z 125. Roland Garros. Kibicowałam jej, ale sceny złości na kortach, tłuczenie rakiety uważam za brak opanowania, a to cecha ważna w tym eleganckim sporcie. A ubranie? Luźna koszulka, na szczęście spódniczka, nie szorty. Całość kompletnie wyprana z kobiecości, równie dobrze mógłby w tym stroju występować mężczyzna. Wyprana także z pomysłów – wszystko poprawne, ale banalne.

SAMURAJ WCHODZI

Na Roland Garros popis ekstrawagancji, dość osobliwy, dała japońska tenisistka Naomi Osaka. Wkroczyła na kort w swoistej zbroi: lśniąca cekinami brązowa kamizelka, nakrycie głowy, do talii przymocowany beżowy tren, który a to ciągnął się po ziemi, a to unosił w powietrzu. Po dotarciu do swego miejsca samuraj najpierw zdjął kamizelkę, a następnie spódnicę, odsłaniając minisukienkę również pokrytą cekinami. Tego samego dnia magazyn „Outlander" opublikował na Instagramie sesję zdjęciową mistrzyni w obu strojach, na tle przywodzącym na myśl French Open. Sukienkę zaprojektował szwajcarski projektant Kevin Germanier, drugą Nike, której Naomi Osaka jest ambasadorką od 2019 r. Japonka przeforsowała swój pomysł, ale można pokusić się o życzenie, żeby moda przenikała do tenisa w bardziej subtelny sposób. Jednak klikalność zdjęć tej zawodniczki i radość stacji telewizyjnych oraz reklamodawców z oglądalności musiały być zadowalające.

– Mało mówię, wyrażam siebie poprzez ubrania – opowiadała Japonka dziennikarzom na konferencji prasowej. Tłumaczyła, że wzoruje się na siostrach Williams. No cóż, inspiracji trudno nie zauważyć. Ale przecież na korcie gra toczy się o co innego niż o konkurs ekstrawaganckich przebrań.

Tenis jest bez szans wobec konkurujących o oglądalność zdjęć z festiwali i imprez celebryckich, których zdjęcia setkami obiegają Internet. Tam wszystko jest dozwolone, na korcie panują ścisłe reguły.

Jednak żądne sławy zawodniczki usiłują zawalczyć nie tylko o puchary, lecz także o własny show i sławę. Osaka jest przykładem trendu „court couture", który ogarnia wielkoszlemowe turnieje. Zawodniczki występują w metalizowanych strojach, teatralnych fasonach, krojach stylizowanych na retro. Czy widownia tenisowa to zaakceptuje? Możliwe, zważywszy, że współczesna widownia oczekuje nie tylko gry, lecz także show.

Ten zresztą nie zawsze polega na epatowaniu cekinami. Chodzi o to, żeby ubrać się inaczej, niż wszyscy się spodziewają. Włoszka Mattia Bellucci miała w Paryżu kostium we wzory paisley – orientalne motywy kwiatowe. Novaka Djokovicia widziano w kurtce Lacoste w kolorze terakotowym – jej wierzchnia warstwa była z materiału wyprodukowanego z użyciem prawdziwej mączki. Ukrainka Marta Kostyuk wystąpiła na szaro, w kostiumie w stylu retro.

Innego rodzaju ciekawostką jest współpraca marek sportowych z markami fashion. Na razie niezbyt jeszcze częsta, ale jej przykład widzieliśmy w zeszłym roku na Flushing Meadows, gdzie Amerykanka Coco Gauff wystąpiła w stroju Prady, specjalnie dla niej zaprojektowanym. Zważywszy, jak ostrożną politykę PR prowadzi słynna włoska marka, można to uznać za wyróżnienie – dla zawodniczki. W tym roku Gauff ubrana jest przez New Balance. Grafitowoszare sukienki z półprzezroczystymi warstwami, asymetryczne kurtki – to wszystko odbiega od standardowych strojów tenisistek. I o to chodzi.

ŁADNA DZIEWCZYNA SIĘ LICZY

Nawet najstarsi widzowie nie pamiętają czasów, gdy na Wimbledonie mężczyźni musieli grać w koszuli obowiązkowo z długimi rękawami i w spodniach z zakładkami. Wszystko w kolorze białym oczywiście. Jedyne, co się z tej tradycji ostało, to obowiązkowy kolor biały, którego trzyma się jeszcze Wimbledon. Dobre i to.

Gwiazdą kortów wczesnych lat 2000 była Rosjanka Maria Szarapowa – wtedy jeszcze rosyjscy zawodnicy nie musieli się ukrywać pod innymi banderami. Ja Szarapową pamiętam – była może nie największej klasy tenisistką (chociaż przez trzy tygodnie udało jej się utrzymać na czele rankingu), za to świetnie się prezentowała na korcie.

A w tej grze ładna dziewczyna to ważna rzecz. Ma najlepsze reklamy, najwięcej zdjęć w magazynach, a znalezienie się na liście „beautiful people" magazynu „People" generuje zarobki. Maria reklamowała tylko marki z najwyższej półki: biżuterię Tiffany, samochody Land Rover, drukarki i aparaty Canon, zegarki Tag Heur. W końcu została ambasadorką marki Porsche... Małżeństwo z amerykańskim milionerem przypieczętowało listę jej finansowych sukcesów. Podążając za innymi tenisistami, którzy stworzyli własne kolekcje ubrań, Szarapowa razem z firmą Nike w 2010 r. uruchomiła linię odzieży tenisowej: „Nike Maria Sharapova Collection".

Ale stać ją było i na miłe gesty. W 2015 r. zrobiła miły ukłon w stronę projektanta mody Jeana Paula Gaultiera, zakładając strój składający się z bluzy w bretońskie paski i niebieskiej plisowanej spódnicy. Strój nie został zaprojektowany przez dom mody projektanta, lecz przez Nike, co nie przeszkodziło rosyjskiej tenisistce w zestawieniu jej stroju z uwielbianym strojem projektanta na jej Instagramie.

Czy dziś kogoś stać na bezinteresowne gesty?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ef045d2c96

POCZET POLSKICH WODZÓW

Przyjemski zamordowany



JACEK KOMUDA

Zygmunt Przyjemski herbu Rawicz był jednym z nielicznych, tak bardzo nam potrzebnych na dawnym polu walki inżynierów. Dziś powiedzielibyśmy o nim: saper i artylerzysta. Jego kariera pokazuje zaś, że nie zawsze najlepszą szkołą wojskową były Dzikie Pola na Ukrainie; podjazdowa walka z Tatarami i co jakiś czas – tłumienie kolejnych powstań kozackich. Bohater bowiem zaciągnął się najpierw, w czasie wojny trzydziestoletniej, do armii… szwedzkiej i walczył pod wodzą Bernarda księcia Weimarskiego.

Być może dzięki wsparciu księcia Przyjemski rozpoczął w 1638 r. studia w Orleanie, dołączając do uczącego się tam brata Andrzeja. Później wrócił do Polski, gdzie zajął się przeprowadzaniem nowych zaciągów. W 1646 r. zawarł umowę z ambasadorem Ludwika XIV na werbowanie oddziałów piechoty, które następnie miał poprowadzić na wojnę do Rzeszy. Do tego jednak nie doszło.

W 1648 r. wybuchło w Rzeczypospolitej powstanie kozackie Chmielnickiego i Francja zgodziła się, aby nowo formowane jednostki zostały wykorzystane w walkach z buntownikami. Przyjemski zapewne wziął udział w kampanii 1648 r. zakończonej klęską pod Piławcami. Rok później Zygmunt objął dowództwo w regimencie dragonii po Andrzeju Koniecpolskim, zaciągał też w Wielkopolsce oddział piechoty, z którym jednak nie zdążył pod Zbaraż, gdzie z kolei także zasłużył się jego brat, Krzysztof, dowódca artylerii i główny inżynier, który zaprojektował umocnienia obozu.

W lutym 1650 r. Zygmunt Przyjemski otrzymał urząd generała artylerii koronnej, z którego ustąpił



FOT. DOMENA PUBLICZNA

schorowany Krzysztof Arciszewski, a jednocześnie godność pisarza polnego koronnego po Adamie Hieronimie Sieniawskim. Natychmiast zabrał się do pracy – kontynuując rozbudowę arsenału warszawskiego, realizując nowe i mało znane reformy armii polskiej. Wprowadził do oddziałów piechoty lżejsze działa regimentowe, stworzył w arsenale warszawskim stałe miejsce na przechowywanie wojskowych mostów i parku pontonowego. Przede wszystkim jednak wyróżnił się w kampanii beresteckiej 1651 r., gdy wszedł w skład królewskiego sztabu planującego przemarsze i wszystkie ruchy wojska. Prawdopodobnie to on sporządził schemat marszu wojska pod Beresteczko trzema osobnymi kolumnami, które podzielono na jeszcze mniejsze grupy, oznaczone odrębnymi kolorami wozów. Wywołało to konflikt z hetmanem Mikołajem Potockim, który nieprzyzwyczajony do takich porządków, a przy okazji zazdrosny o względy u króla zaczął wymyślać Janowi Kazimierzowi, a upomniany miał krzyknąć w desperacji: „Dajcie mi pokój, bo się nożem pchnę!”.

Przyjemski odegrał wielką rolę w bitwie pod Beresteczkiem. To właśnie on był dowódcą artylerii i pomysłodawcą szyku armii polskiej 30 czerwca, kiedy jazdę przemieszano z piechotą, a artylerię polową prowadzono przed regimentami pieszymi. Dzięki jego pomysłom armia koronna wsparta pospolitym ruszeniem odniosła ogromne zwycięstwo nad Kozakami i Tatarami, odzyskując Ukrainę i doprowadzając później do zawarcia ugody w Białej Cerkwi. W najbardziej krytycznym momencie bitwy 30 czerwca to właśnie jego działa na rozkaz króla ostrzelały poczet chana tatarskiego, zmuszając go do ucieczki z pola bitwy.

Przyjemski niedługo cieszył się poważaniem i sławą. Zginął w 1652 r. w bitwie pod Batohem, w której hetman polny Marcin Kalinowski nakazał założyć zbyt wielki obóz na drodze przemarszu wojsk kozackich do Mołdawii. Pisarz polny był przeciwny staczaniu tutaj bitwy, a kiedy doszło do pierwszych starć z Tatarami, zaproponował na naradzie, że pozostanie w zmniejszonym obozie z piechotą i będzie bronił się, dając hetmanowi i jeździe czas na ucieczkę. Jednak Kalinowski plan ten odrzucił, co doprowadziło do buntu żołnierzy. Przeprowadzony przez Kozaków i Tatarów atak zakończył się klęską wojsk koronnych i wzięciem do niewoli większości armii koronnej, następnie Chmielnicki wykupił jeńców od ordyńców i nakazał ich wymordować, płacąc za tę krwawą usługę najdzikszej ordzie nogajskiej. Zginęło wówczas wielu wybitnych rotmistrzów i poruczników, jak Marek Sobieski, brat Jana, przyszłego króla. Nasz bohater, o ile wierzyć Wawrzyńcowi Rudawskiemu, został zamordowany po przyprowadzeniu razem z innymi znacznymi jeńcami przed oblicze kozackiego wodza. „Przyjemski, gdy usilnie zaklinał Chmielnickiego zaprzestać rozlewu krwi chrześcijańskiej, powolnymi razami został zakłuty”. Wydarzenia z 3 czerwca 1652 r. zakończyły o wiele za wcześnie karierę oficera, który wiele jeszcze mógł dokonać na służbie Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

OMODA 7 SUPER HYBRID



FOT. JAP

Ten kompaktowy SUV to kolejny krok w dobrym kierunku popularnej nad Wisłą chińskiej marki. Wygląda bardzo nowocześnie (design tylnych reflektorów zapewne spędza sen z powiek wielu zachodnim konkurentom), potrafi jeździć wyłącznie na prądzie, można go ładować z gniazdka, ale nadal głównie „żywi się" benzyną. Łączny zasięg na akumulatorze i benzynie wynosi ok. 1100 km (w tym do 90 km wyłącznie na prądzie).

Kierowca łatwo może przełączać się między trybem elektrycznym (wówczas pojazd bezszelestnie napędza wyłącznie silnik elektryczny) a trybem hybrydowym (ruszanie zawsze odbywa się przy wykorzystaniu energii elektrycznej, ale akumulator trakcyjny doładowuje specjalnie zaprojektowany silnik spalinowy). Warto pochwalić Chińczyków za to, że włączanie się i wyłączanie jednostki spalinowej (1.5 T-GDI o mocy 143 KM) odbywa się nie tylko bez wycia, lecz także praktycznie niezauważalnie. Nieźle spisuje się też zawieszenie, które zestrojono tak, aby autem można było szybko mknąć po serpentynach bez uczucia nieprzyjemnego przechyłu, a jednocześnie dobrze tłumi wibracje.

Maksymalna moc układu napędowego wynosi 279 KM, a maksymalny moment obrotowy to aż 365 Nm. Kompaktowy SUV na rozpędzenie się od zera do 100 km/h potrzebuje nieco ponad 8 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h. Średnie spalanie w cyklu mieszanym (przy rozładowanym akumulatorze trakcyjnym) wynosi ok. 6 l/100 km. Czas ładowania akumulatora (od 20 do 80 proc.) o pojemności 18,4 kWh na szybkiej ładowarce trwa trochę ponad 20 minut.

Ten model Omody wyraźnie przyjemniej się prowadzi niż wcześniejsze modele tej marki (układ kierowniczy jest już wystarczająco precyzyjny, choć na tym polu nadal jest jeszcze przestrzeń do poprawy) i bardzo stabilnie zachowuje się podczas gwałtownego hamowania.

Omoda 7 mierzy 466,6 cm długości, 187,5 cm szerokości (bez lusterek) i 167 cm wysokości. Dzięki temu wygodnie można nią podróżować zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Kabina została wykończona materiałami niezłej jakości, a poszczególne elementy są bardzo dobrze spasowane. Na liście wyposażenia wyższych wersji są m.in. panoramiczny szklany dach, oświetlenie ambientowe, system kamer 540 stopni, asystent zdalnego parkowania oraz – uwaga, uwaga – elektrycznie przesuwany po desce rozdzielczej ekran o przekątnej 15,6 cala. Bez trudu połączymy się też z Apple CarPlay czy Android Auto.

Kufer mógłby być większy. Przy rozłożonym oparciu tylnej kanapy bagażnik do wysokości rolety ma 401 l pojemności. Gdy trzeba przewieźć coś większego, kufer da się powiększyć do 1294 l.

Objęta ośmioletnią gwarancją Omoda 7 PHEV w najtańszej wersji wyposażenia (Comfort) kosztuje 169,9 tys. zł. Opcja luksusowa to wydatek 179,9 tys. zł, a za wersję premium zapłacić trzeba 184,9 tys. zł.

SONOS PLAY



Czysty, potężny i pełen detali dźwięk, minimalistyczne wzornictwo, odporność na warunki atmosferyczne, łączność wi-fi 6 oraz Bluetooth 5.3, możliwość dołączenia tego modelu do ekosystemu Sonos – to największe zalety najnowszego głośnika przenośnego amerykańskiej marki Sonos.

Testowany głośnik ma minimalistyczny design, matowe wykończenie i kompaktowe wymiary (19,23 cm wysokości, 11,25 cm szerokości i 7,67 cm głębokości). Solidnie wykonany sprzęt sprawia wrażenie dość odpornego na upadki. Producent zapewnia także, że głośnikowi ani pył, ani woda nie są straszne (stopień ochrony zgodnie z normą IP67). I rzeczywiście podczas testu w czasie jednej z czerwcowych burz z ulewnym deszczem grał dalej bez żadnego problemu. Bardzo praktyczny jest również zaczep, który ułatwia przenoszenie głośnika i umożliwia jego powieszenie na haczyku.

Największą zaletą tego modelu jest jednak brzmienie – czyste, pełne szczegółów, z dobrze wyważonym basem i wyraźnie słyszalnymi tonami średnimi. Jednocześnie to zaskakująco potężny głośnik jak na swoje niewielkie rozmiary. Dzięki temu nadaje się zarówno do słuchania podcastów na leżaku, jak i do nagłośnienia małej imprezy na tarasie.

Ze źródłem dźwięku Play łączyć się może poprzez Wi-Fi 6 i w domowych warunkach to zdecydowanie najlepsza opcja. Podczas imprezy na plaży lub przy ognisku można też wykorzystać łączność Bluetooth 5.3 (ten standard trochę już trąci myszką, ale wciąż daje radę). Trzecia opcja to wyjście liniowe, ale trzeba w tym celu dokupić specjalną przejściówkę z USB-C/3,5 mm.

Play można szybko i łatwo podłączyć do ekosystemu Sonosa i za pomocą dedykowanej aplikacji odtwarzać muzykę prosto z popularnych systemów streamingowych.

Play ma też wbudowane mikrofony, co umożliwia m.in. sterowanie za pomocą anglojęzycznych komend przy użyciu systemów Sonos Voice Control lub Amazon Alexa.

Na pochwałę zasługuje również pojemny akumulator, dzięki któremu głośnik na jednym ładowaniu może grać bez przerwy i głośno przez kilkanaście godzin. Fajnie też, że Play można ładować bezprzewodowo za pomocą zgrabnej indukcyjnej stacji dokującej.

Wady? Ten model obsługuje jedynie podstawowe kodeki. Mimo wysokiej ceny w zestawie brakuje zasilacza USB-C. Dla niektórych może być również nieco zbyt ciężki, aby wrzucić go na całodzienną pieszą wyprawę (waży 1,3 kg), choć do bagażnika zabierałbym go chętnie na każdy wypad. Cena: 1499 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl ef045d2c96



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Przekąska na spacer

Strąki bobu to letni rarytas. Kiedy pojawia się na straganach, wiemy, że wakacje tuż-tuż. Bób jest dobry pod wieloma względami – zawiera dużo białka, jest smaczny, łatwy w przygotowaniu, a przy tym mało kaloryczny. 100 g ugotowanego bobu to zaledwie 70–80 kcal. Możemy z niego zrobić pasty na kanapki, dodać go do makaronów czy zapiekanek albo zjeść po prostu ugotowany z dodatkiem soli. Radzimy zjadać ze skórką, bo w niej znajduje się całe bogactwo wartości odżywczych.

Bób wspiera układ krążenia, wspomaga odchudzanie i obniża cholesterol. Jednak osoby z cukrzycą powinny ostrożnie go spożywać, gdyż ma wysoki indeks glikemiczny. Ale jeśli spędza się cały dzień na świeżym powietrzu – pracując w ogrodzie, spacerując czy po prostu kręcąc się tu i tam – bób może być znakomitą przekąską. Nikt u nas nie odmawia ugotowanego bobu z bułką tartą lub tartym parmezanem. Często zabieramy bób jako przekąskę do pracy, bo na zimno również smakuje doskonale. Przygotowujemy go także z czosnkiem, sokiem z cytryny i świeżym koperkiem. Możemy go również połączyć z sosem pomidorowym na bazie cebuli i czosnku albo podać z dodatkiem ajwaru, czyli bułgarskiego sosu z czerwonej papryki (można kupić gotowy w słoiczkach).

FOT. ADOBE STOCK



Bób z cebulką

• 500 g bobu • 1 cebula cukrowa lub czerwona • 2 ząbki czosnku • garść pomidorków koktajlowych • 1 jajko ugotowane w koszulce • parmezan do posypania • sól, pieprz do smaku • masło lub oliwa z oliwek

Bób gotujemy w osolonej wodzie z dodatkiem 1 łyżeczki cukru przez ok. 5–7 min. Wyjmujemy i studzimy. Cebulę kroimy w piórka, czosnek przeciskamy przez praskę. Na rozgrzanej patelni podgrzewamy olej, dusimy cebulę i czosnek, dodajemy pokrojone pomidorki, wszystko razem dusimy na patelni, tak aby warzywa puściły soki. Dodajemy ugotowany bób, a na koniec jajko w koszulce. Można też dodać kawałki mozzarelli i na koniec posypać parmezanem. Z kromką chleba smakuje wyśmienicie i można danie podać na obiad lub na kolację. © ℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kiełbasa wykluczająca

Pomysł jest prosty: stoły dla dziesiątek biesiadników, regionalne potrawy. Od tartiflette po cassoulet – każdy znajdzie coś dla siebie, pod warunkiem że nie będzie skrupulatnie liczył kalorii, bo ludowa kuchnia francuska nie jest przesadnie lekkostrawna. Do potraw – miejscowe wina, bez ograniczeń. Za 81 euro można kupić cztery dania i wino. Dla amatorów – wspólne śpiewanie. Wszystko, co jest na stole, jest wspólne, oprawa muzyczna stawia na równi tradycyjne pieśni i francuski pop. Największym powodzeniem cieszy się Joe Dassin.

Oto impreza organizacji Francuski Kanon (Le Canon Français), inicjatywa młodych przedsiębiorców pragnących promować rodzime tradycje gastronomiczne i bezpośrednie kontakty społeczne, odtworzyć chwile dzielenia się bez interakcji cyfrowych, mediów społecznościowych itp. Spotkać się z nieznajomymi przy wspólnym posiłku, bez ekranu. Celebrować ludową gościnność: długie stoły, lokalne produkty, regionalne wina i bezpretensjonalne spotkania towarzyskie.

Goście noszą miano Kanonierów, posiłek w stylu francuskim – wpisany na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO – staje się centralnym momentem w życiu społecznym. Bankiety Kanonierów gromadziły setki, nawet tysiące osób w całej Francji. Wszystko to powinno być chwilą przyjemności dobrego jedzenia, picia i towarzystwa. Ale nie ma lekko.

Imprezy spotkały się z ostrą krytyką ze strony lewicy. Smutni cenzorzy oskarżyli ruch o promowanie wykluczającej wizji kultury francuskiej, skrywanie podejrzanych podtekstów ideologicznych. Bo miłość do kiełbasy i wina znad Loary „wyklucza część populacji"...

Kanonierów obsadzono w roli nowych demonów współczesności. Na właścicieli lokali wywierano presję mającą na celu zaniechanie działalności. Lokalni urzędnicy i aktywiści próbowali zakazać niektórych bankietów, powołując się na ryzyko zakłócania porządku publicznego lub promowanie „odrażającej" ideologii. W Caen mobilizacja przeciwników – choć w mniejszości – doprowadziła do starć. Opozycja zorganizowała alternatywny piknik, ale frekwencja była mierna.

Jednak, jak wiadomo socjologom, krytyka zjawiska zwiększa tylko jego widoczność i wzmaga zainteresowanie nim. Próba dyskredytowania akcji Kanonierów spowodowała gwałtowny wzrost liczby zwolenników, zwłaszcza wśród młodych ludzi szukających alternatyw kulturalnych. Francuzi komentowali, że każdego roku imprezy rave przyciągają tysiące uczestników wykrzykujących obelgi, dewastujących pola rolników. Jakoś władze nie podejmują kroków przeciwko tym zgromadzeniom. Jak widać, są równi i równiejsi. © ℗

eprasa.pl ef045d2c96



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Churchillu i żabie

Jedną z ostatnich instytucji, które podejrzewałbym o galopujący progresizm, jest Bank of England. Jednak wiele przemawia za tym, że szacowny strażnik brytyjskiego funta też uległ presji wokeizmu i cuchnącej faszyzmem kultury wykluczenia, czyli zideologizowanej głupoty. Brnąc jeszcze głębiej w teorię spiskową, można podejrzewać, że bankowcy zmówili się z animalistami.

Bank Anglii ogłosił, że zamierza wprowadzić zmiany wizerunkowe na banknotach, zgodne z przemianami zachodzącymi w sposobie myślenia Brytyjczyków i w brytyjskim społeczeństwie. Zatrudnił firmę wyspecjalizowaną w badaniach rynku, a ta sondowała opinie zainteresowanych grup fokusowych. Rezultaty budzą poważny niepokój o stan umysłów mieszkańców Albionu.

Wyszło bowiem na to, że grupy fokusowe nie chcą już oglądać na banknotach pięciofuntowych Winstona Churchilla, który w powszechnej opinii obronił Wielką Brytanię przed Hitlerem. Dlaczego? Bo był zbyt elitarny. Wiadomo: arystokrata, cygara, whisky...

Nie życzą sobie też matematyka Alana Turinga na 50-funtówce, który w Bletchley Park rozszyfrował tajemnice niemieckiej „Enigmy", co wydatnie pomogło aliantom wygrać drugą wojnę. Dlaczego go odrzucili? Bo był... imperialistyczny. Zdaniem grup fokusowych służył wojnie, a pośrednio amerykańskiemu imperializmowi. Nie jest jasne, czym im podpadła znakomita pisarka Jane Austen (10-funtówka), ale pewnie chodziło o to, że opisywała angielską arystokrację, a nie maluczkich. Czym im zawinił malarz William Turner (20-funtówka), doprawdy nie wiadomo.

Potem wykonano następne badania, pytając, czym ich na banknotach zastąpić. Może ikonicznymi angielskimi krajobrazami albo brytyjską architekturą? Białe klify Dover? Przenigdy. Kojarzą się z odrzucaniem migrantów. A może domek gregoriański albo wiktoriański? Też nie. Przywodzą na myśl epokę kolonializmu. Padło więc na naturę, a konkretnie zwierzęta. „Zwierzęta są bardzo ważne. To część ekosystemu. Inspirowały i inspirują malarzy, muzyków i pisarzy" – powiada prezes Banku Anglii Andrew Bailey.

Teraz Bank Anglii z pomocą ekspertów opracował listę zwierzęcych propozycji. Znajdują się na niej m.in.: delfin butlonosy, jeż europejski, zając szarak, foka szara, kuna sosnowa, ważka cesarska, przeplatka aurinia (motyl) i żaba trawna pospolita. Cztery z nich pojawią się na banknotach. Prześmiewcy dworują sobie, że gdy Churchilla na banknocie zastąpi żaba, nikt się nie zorientuje, bo bardzo do siebie podobni. Co przerażające, to wszystko dzieje się naprawdę. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wspomnijcie Andrzeja

Wszyscy się tak sadzą na tego Zełenskiego, nawet Orderowi Orła Białego się dostało. Ale pomyślcie o byłym prezydencie, Andrzeju Dudzie. Jak on się musi czuć? Tyle wysiłków i jak krew w piach. Postawił na Ukrainę i samego Zełenskiego w sposób ostateczny i bez wyjścia – wszystkie jabłuszka do jednego koszyka. Ciekawe, na co liczył? Obawiam się, że jednak na własne korzyści. Miał zbudować międzynarodową rozpoznawalność na temacie ukraińskim – ale okazało się, że Ukraina pogoniła samozwańczego akwizytora. Takie rzeczy robi się samemu i podziękowano Dudzie za misję „dobrych usług", zanim się w niej rozsmakował.

Ta proukraińskość Dudy, moim zdaniem, nie była obliczona na polskie korzyści. Ja wiem, znam tę opowieść, że Ukraińcy giną za nas, ba – jak się można ostatnio dowiedzieć – za całą Europę. Można takimi opowieściami karmić walczących Ukraińców, by zyskali motywację dodatkową, ponad tę wewnętrzną i wyraźnie już gasnącą. Ale tego uzasadnienia przepływów wdzięczności dla Ukraińców nie podziela coraz więcej Polaków, zresztą fakty militarne i geopolityczne przemawiają za fałszem takiej argumentacji, a w związku z tym za błędem bezwarunkowego poparcia wysiłku Ukrainy.

Duda, a z nim Polacy, dostali już przecież ostrzeżenie, że chyba nie bardzo się rozumiemy z Ukrainą. We wrześniu 2023 r., w czasie sesji ONZ, Zełenski wygłosił tezę, że pośrednio my, Polacy, gramy w jednym teatrze z Putinem, i wyszedł demonstracyjnie z sali, podczas kiedy jego wierny przyjaciel Duda wygłaszał swoje, przecież akwizycyjne w stosunku do Ukrainy, przemówienie. To musiał być cios dla Dudy, ale nie było widać, że z tego faktu w sferze politycznej wyciągnięto jakieś wnioski, bliskie polskiej racji stanu.

No i Duda i stracił cnotę, i rubelka nie zarobił. Dołączył swoją aktywność do ciągu chybionych starań, jak np. w przypadku pracy prezydenta Kwaśniewskiego nad kontynuacją kariery politycznej na arenie międzynarodowej, po zakończeniu dwóch kadencji. Widać świat się poznaje na serwilizmie, który gwarantuje przecież możliwość koniunkturalnej zmiany postawy w jednej chwili, podczas kiedy sam serwilizm myśli, że to jest jego zaleta.

Dziś w przypadku tego orderu mamy do czynienia z pustym już tylko gestem. Jest to rozgrywane politycznie, by ciułać punkty na wyraźnej i stymulowanej zmianie orientacji ukraińskiej Polaków. Jak się musi czuć Duda z tym wszystkim? Zwłaszcza po tym, kiedy szef Związku Ukraińców w Polsce oświadczył, że po takim orderowym afroncie Zełenski nigdy nie zechce przyjechać do Polski. Na co Lachy ochoczo zakrzyknęły: hurra! ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

SPODE ŁBA

Koniec faktów bezdyskusyjnych?



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

W charakterystyczny sposób odniósł się były prezydent Andrzej Duda do dyskusji na temat przyznania Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego. „Wołodymyr Zełenski otrzymał Order Orła Białego w innym czasie i gdy warunki były inne. Teraz one się zmieniły i zachowanie Wołodymyra Zełenskiego także" – stwierdził polski polityk.

Podobne, acz pogłębione refleksje zamieścił na Facebooku znakomity krakowski historyk, prof. Andrzej Nowak. Bezlitośnie zdemaskował on „gigantyczną korupcję, w której centrum jest prezydent Ukrainy". Profesor odkrył nawet, że założona wraz z ukrywającym się w Izraelu „najbliższym partnerem finansowym" Zełenskiego firma Kwartał 95 była „postsowieckim studiem filmowym". „Odwołanie do antypolskich resentymentów na Ukrainie okazało się w cynicznej grze Zełenskiego skutecznym narzędziem […]. Bardzo smutne to i skrajnie szkodliwe – i dla Ukrainy, i dla Polski". W kolejnym wpisie prof. Nowaka padają pod adresem prezydenta Zełenskiego równie ciężkie zarzuty. Założyciel „postsowieckiego studia" jest opisany jako „prezydent żyjący w Kijowie jak car"!

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



To, że politykom PiS nawet łuski z oczu spadają zawsze w tym samym czasie, nikogo nie dziwi. Umiejętności jednoczesnego wykonywania zwrotów, w zwartej formacji, mogliby im pozazdrościć pruscy grenadierzy Fryderyka II. Wypada zachować nadzieję, że szokujące refleksje prof. Nowaka zgrały się z tymi manewrami za sprawą przypadku. Gdyby kwestia cynizmu Wołodymyra Zełenskiego objawiła się krakowskiemu akademikowi kilka lat wcześniej, mogłoby to zaowocować przykrymi konsekwencjami. W roku 2023 Rządowe Centrum Bezpieczeństwa przy kancelarii premiera Morawieckiego publikowało co tydzień lakoniczny przewodnik po wrogich Polsce narracjach propagandowych: rosyjskiej, chińskiej, białoruskiej i rosyjsko-białoruskiej. Znaleźć je można w Internecie, na stronie DisInfo Radar. Rządowe wskazówki, przygotowane zapewne pod okiem Stanisława Żaryna, są dziś i śmieszne, i straszne. Za „agenturalną narrację" uchodzić mógł wówczas nawet zdrowy rozsądek. Stwierdzenie, że „Szczyt NATO w Wilnie okazał się fiaskiem", opisane zostało jako „fałszywa linia rosyjskiej narracji", podobnie jak konstatacja faktu, że „Rosjanie odparli już ukraińską kontrofensywę, która okazała się katastrofą". Na agenturalną robotę Pekinu wskazywać miały nawet tak ogólne opinie jak sąd, że: „NATO zostało na Ukrainie upokorzone bądź poniosło porażkę". Opisywanie ukraińskiego przywódcy jako „prezydenta żyjącego jak car" wskazywałoby, w świetle analiz RCB, nie tylko na samego Putina, lecz także Łukaszenkę i Kim Dzong Una.

Na swoje szczęście jednak prof. Andrzej Nowak wygłaszał w tamtych czasach bezpieczniejsze opinie. W udzielonym w marcu 2023 r. wywiadzie dla „Dziennika Polskiego" zapewniał: „Wizyta prezydenta Bidena w Warszawie ma ogromne, naprawdę historyczne znaczenie […]. Centrum polityki bezpieczeństwa Zachodu przeniosło się na pewno z Berlina i Paryża w stronę Trójmorza, którego z kolei bezdyskusyjnym centrum jest Polska. Jesteśmy centrum Trójmorza, a zarazem nowym centrum bezpieczeństwa Europy. I dzieje się to akurat w chwili, gdy tym centrum, czyli Polską, rządzi Prawo i Sprawiedliwość, a prezydent Duda w tych ostatnich kilkunastu miesiącach pokazał dyplomatyczną stronę polskiego znaczenia na arenie międzynarodowej w najlepszy z możliwych sposobów […]. Dlatego to, co jeszcze kilka lat temu traktowano jako fantazję – tę wizję Trójmorza i poważniejszego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w tym regionie – stało się bezdyskusyjnym faktem".

Dekretowanie „bezdyskusyjnych faktów" to dla historyka ryzykowne zajęcie. Sklerotyczny Joe Biden jest dziś w amerykańskiej polityce epizodem wstydliwie skrywanym. „Cyniczny" Wołodymyr Zełenski „skutecznie odwołuje się dziś do antypolskich resentymentów". „Centrum bezpieczeństwa" w Europie nie byliśmy i nie jesteśmy.

W odpowiedzi na „zmianę warunków" prof. Andrzej Nowak napisał nam, że mu smutno. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ol i Olina

Mój wiek" Aleksandra Wata, jedna z ważniejszych polskich książek, świadectwo tego, czym był komunizm, nasz odpowiednik „Archipelagu GUŁag" Sołżenicyna, wydany najpierw na Zachodzie w 1977 r., u nas dopiero w 1990 r., po zniesieniu cenzury, nigdy by nie powstał, gdyby nie żona Wata, Ola, która miała na imię Paulina, ale została Olą, Oliną, żeby podkreślić ich więź. W literackim światku, gdzie zdrady i rozwody były codziennością, małżeństwo Ola i Oli było absolutnym wyjątkiem, mówiono, że są syjamskim rodzeństwem. Pochodziła z bogatej, żydowskiej rodziny, była jedną z piękniejszych kobiet międzywojennej Warszawy, miała zostać aktorką, ale gdy poznała Ola, chciała być tylko Oliną, jego żoną, matką ich synka Andrzeja. Aprobowała wszystkie jego wybory, zaczynał bowiem jako skandalizujący futurysta, bolszewik z nożem w zębach – razem z Brunonem Jasieńskim wysyłał na śmietnik dotychczasową kulturę, był redaktorem prokomunistycznego „Miesięcznika Literackiego".

Ich świat zawalił się we wrześniu 1939 r., gdy jako Żyd i komunista musiał uciekać do Lwowa, zajętego wkrótce przez Sowietów, gdzie na własnej skórze poznał propagowaną przez niego ojczyznę światowego proletariatu. Głód, terror, procesy, STRACH, polskojęzyczny, gadzinowy „Czerwony Sztandar", gdzie z innymi polskimi pisarzami pisał – jak sam przyznawał – najobrzydliwsze teksty o Krasnej Armii, wyzwolicielce gnębionych narodów. W styczniu 1940 r., po zorganizowanej przez NKWD prowokacji, m.in. z Broniewskim, Peiperem został aresztowany, więziony przez sześć lat w sowieckich mamrach, osławionej moskiewskiej Łubiance, w łagrach, co było, pisał w „Moim wieku", słuszną karą za jego komunistyczne znikczemnienie, które musiał odkupić. W Związku Sowieckim represjonowano też rodziny „wrogów ludu" i trzy miesiące po jego aresztowaniu Olę i Andrzejka wywieziono z transportem setek Polaków w zatłoczonych, zaplombowanych bydlęcych wagonach do Kazachstanu, w stepy Semipałatyńska, do sowchozu Iwanowka. Zamieszkali razem z Kazachami w nędznej lepiance z glinianym klepiskiem, ogrzewanym krowim łajnem. Ola pracowała fizycznie na bawełnianych polach, wyrabiała cegły. Jak wyzłośliwiał się Zygmunt Hertz, prześladował ją ciągły płacz syna: „Mamo, jeść!". Ratowały przywiezione z Warszawy rzeczy, sukienki, futro, pantofle, wymieniane na mąkę, tłuszcz, mleko. Od załamania uchroniła towarzyszka niedoli, prof. Stefania Skwarczyńska, katoliczka, która nauczyła ją modlitw, wiary w Boga, wierząc, że tylko On może je stamtąd wyciągnąć. W tym samym czasie w kolejnym więzieniu nawrócił się Wat, a po powrocie do Polski ochrzcił się z Olą, w wielkiej tajemnicy przed ateistycznym, literackim środowiskiem. Wypuszczony z więzienia po układzie Sikorski-Majski rozpoczął poszukiwania Oli i syna, wysyłając setki listów i pism. Udało się, ocaleli, odnaleźli się, choć początkowo nie poznali.

Dopiero w 1946 r. pozwolono im wrócić do Polski, Jerzy Borejsza, zarządzający wtedy kulturą, próbował kupić Wata, ofiarując mu mieszkanie, posadę w PIW, skąd wkrótce go zwolniono za krytykę wprowadzonego socrealizmu. Dopadła go też ciężka, bolesna, nieuleczalna choroba nerwowa, nieuśmierzana nawet morfiną. Traktowany już jako wrak otrzymał zgodę na leczenie za granicą, w Szwecji, potem we Francji, oskarżany przez kolegów pisarzy, że symulował chorobę, żeby wyrwać się z PRL i byczyć na Riwierze za pieniądze polskich robotników. Zdecydowali więc „wybrać wolność", niełatwy los emigrantów. Jak wyzłośliwiał się Zygmunt Hertz, Wat tylko jęczał, Ola natomiast, nazywana przez niego dójką, która z kamienia wydoi, starała się dla niego o stypendia. Chciał bardzo zrealizować cel swego życia – napisać książkę o ich przejściach, dać świadectwo, ostrzec Zachód zafascynowany komunizmem, odkupić swoje zaangażowanie. Nie miał już jednak na to sił i to Ola wybłagała, zaprzyjaźnionego z nim Miłosza na przeprowadzenie z mężem nagrywanej rozmowy rzeki i ten chętnie się zgodził – Wat był rozmówcą fascynującym.
W 1967 r., po zakończeniu rozmów, 17 latach cierpień, popełnił samobójstwo, kończąc swą męczarnię.

Mimo rozpaczy zajęła się przygotowaniem taśm do publikacji, przepisała na maszynie 1,5 tys. stron, zredagowała i razem z Miłoszem szukała wydawcy, Jerzy Giedroyc odmówił bowiem wydania publikacji tak zdecydowanie antykomunistycznej, wyszła więc w 1977 r. w londyńskiej Polonia Book Foundation. Okazała się bestsellerem, przełożonym na wiele języków, jej dopełnieniem była napisana przez Olę książka „To, co najważniejsze", o zsyłce do Kazachstanu i życiu z Aleksandrem, sfilmowana przez Roberta Glińskiego. Walka o „Mój wiek" napędzała ją; gdy zrealizowała swój cel, straciła siły, odeszła w wieku 86 lat, pochowana w Paryżu obok swego Ola, porównywana w nekrologach do Nadieżdy Mandelsztam, bo tak jak ona ocaliła dzieło swego męża. ©℗

eprasa.pl ef045d2c96

ZŁA...



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czy określenie „baba” jest obraźliwe? Och, nie bądźmy przesadnie delikatni. Osoby ludzkie, których zachowanie prowokuje nas do powiedzenia o nich „wredna baba”, często lansują feminizm walczący. A feminizm walczy o równouprawnienie. Skoro więc wolno powiedzieć o kimś „wredny dziad”, to nie tylko wolno, lecz także należy stosować określenie „wredna baba”, bo tylko wtedy mamy językowe równouprawnienie płci.

„Męska szowinistyczna świnia” to ja. A kim w takim razie byłoby moje przeciwieństwo? „Damską szowinistyczną świnią”? A może „feministyczną świnią”? To ja już wolę zwyczajnie „wredną babę”, bo to jakieś takie bardziej kulturalne od tych świń. Powyższy paragraf nie miał nic wspólnego z dalszym ciągiem felietonu. W ogóle nie miał nic wspólnego z niczym ani z nikim konkretnym – ot, takie ogólne dywagacje językowe.

***

Barbara Nowacka jest ministrem edukacji. Poglądy ma ekstremalne – gdyby była nauczycielką, trzeba by ją zwolnić, bo nauczyciel ma się dzielić wiedzą, a nie sprzedawać ideologię. Minister edukacji nie ma takich ograniczeń. Dlatego Nowacka deklaruje publicznie swoje poglądy, a one są dalekie od średniej populacyjnej.

Przedstawia się jako ateistka. Popiera aborcję i finansowane przez państwo zapłodnienia in vitro. Opowiada się za przyznaniem homoseksualistom prawa do adopcji i wychowywania małych dzieci. Jest przeciwnikiem lekcji religii w szkole. Gdyby mogła, to by ich zakazała. Nie może, ponieważ w Polsce obowiązuje konkordat, no ale jako minister podjęła działania, by religię maksymalnie ograniczyć. Z kolei inne rzeczy pompuje siłowo. Edukacja zdrowotna to tylko powierzchowna nazwa, a konkretnie chodzi o seks i Nowacka wcale się z tym nie kryje. Lawiruje pomiędzy paragrafami, które ją na razie trochę ograniczają, ale nie kryje się wcale z tym, dokąd zmierza i czego by chciała, gdyby tylko mogła to wykonać.

Słyszeli Państwo, by ona kiedykolwiek mówiła o matematyce, fizyce, chemii, zoologii? Tym się Nowacka nie zajmuje. Zajęła się likwidacją prac domowych i ocen na świadectwie. Nawet nauczaniem języka polskiego się nie zajmuje – zainteresowała się wybiórczo kanonem lektur szkolnych i postanowiła go rozwalić. A co zrobiła dobrego? Cokolwiek? Jakiś jeden drobiazg?

Niedawno znalazłem jedną rzecz, która mnie ucieszyła. Podniosłem odruchowo kciuk w górę, gdy usłyszałem o planach, by zakazać komórek w szkołach. Cieszyłem się krótko, dwa dni zaledwie, a potem do mnie dotarło, że dałem się na chwilę omotać.

***

Gdy władza coś proponuje „dla naszego dobra”, należy bardzo uważać i lepiej jest przyjąć założenie, że władzy wcale nie chodzi o moje dobro, tylko o coś złego. Być może to jest jakieś ICH dobro – im (czyli ludziom władzy) będzie lepiej – może będzie im łatwiej nami rządzić albo łatwiej nas kontrolować, albo za mordę trzymać, ale raczej nie chodzi o nasze dobro w rozumieniu potocznym.

Gdy człowiek, o którym wiesz, że jest zły, podchodzi do ciebie z propozycją, która na pierwszy rzut oka wydaje się dobra, należy być ostrożnym. Pierwszy rzut oka w tej sytuacji to za mało. Konieczny jest drugi i trzeci, a każdy podejrzliwy.

Gdy resort Barbary Nowackiej wyskakuje z pomysłem by zakazać uczniom noszenia telefonów komórkowych na terenie szkoły, lepiej jest założyć, że tu wcale nie chodzi o dobro uczniów ani rodziców. Nowacka do tej pory nie interesowała się dobrem rodziców ani uczniów. Ją interesuje ostry program ideologiczny. Nie robi nic dobrego, wprowadza złe zmiany, nawet gdy z pozoru wyglądają niewinnie lub neutralnie. Czyli gdy Nowacka proponuje zakazać komórek, to znaczy, że chce ukryć coś, co się będzie działo w szkołach. Nie ma telefonów, nie ma nagrań, nie ma dowodów.

***

Dostałem w tej sprawie następujący list:

„Szanowny Panie Wojciechu, a nie zastanowiło Pana, czemu ta głupia lewaczka, minister edukacji, wprowadza zakaz telefonów w szkołach? Ja to widzę oczyma szura i odklejeńca jako bardzo precyzyjne działanie mające na celu odebranie rodzicom kolejnego kawałka odpowiedzialności za własne dzieci. Dziecko bez telefonu nie będzie w stanie zadzwonić do rodziców po pomoc, gdyby w szkole działo się coś złego. Lub... gdyby sama szkoła chciała mojemu dziecku zrobić coś złego. Przyjadą ze zbiorowym szczepieniem lub przyjdzie jakiś edukator seksualny... A rodzice dowiedzą się o tym dopiero w domu i nie będą mieli żadnego dowodu, bo bez komórki nie będzie nagrania. Nauczyciele są różni i lekcje bywają różne. Ja zwyczajnie chcę wiedzieć, co tam się dzieje”.

Tu się zgadzam z tą panią, która przysłała list. Rodzice i dzieci powinni mieć nieograniczone prawo nagrywania i transmitowania wszystkiego, co się w szkole dzieje. Każdej lekcji i każdej przerwy. Gdy lekcje są źle prowadzone – chcemy to widzieć. Gdy są nudne, złe, byle jakie... Kontrola jakości, kontrola władzy, kontrola Nowackiej! Rodzice powinni mieć nieograniczone prawo wejść na każdą lekcję, usiąść z tyłu i patrzeć szkole na ręce: jak uczy i czego uczy.

Ciąg dalszy listu:

„Moje dzieci mają telefony i noszą je do szkoły, i będą je nosić dalej. Nie ufam szkole na tyle, abym mogła zostawić dziecko bez wsparcia. Na telefonach mają założoną kontrolę rodzicielską:

1. Blokuje wszystkie aplikacje na czas zajęć w szkole. Dziecko może wyłącznie dzwonić do rodziców;

2. Może zablokować wybrane aplikacje na zawsze, np. YouTube;

3. Daje dostęp do lokalizacji telefonu = pokazuje, gdzie jest dziecko. Co uważam, że w obecnych czasach jest nieodzownym elementem życia.

Każde ze znanych mi dzieci otrzymuje własny telefon. Rodzice uczą dziecko, że to jest narzędzie, jak rower, nożyczki i młotek, które ma służyć nam, a nie my mu”. ©℗

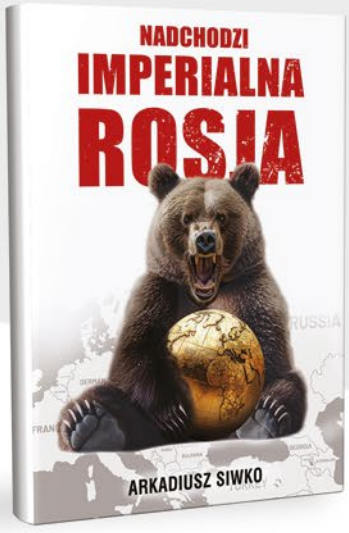
eprasa.pl ef045d2c96

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ARKADIUSZ SIWKO:
„NADCHODZI IMPERIALNA ROSJA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301 ZŁ~~

546,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 755 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ef045d2c96

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl ef045d2c96